

- Wisła płynęły tysiące martwych ryb — str. 6
- Truskawka bywa owocem wrednym — str. 7
- Jak w 1956 roku doszło do wojny o Kanał Sueski? — str. 13
- Dlaczego Sudan nie jest spichlerzem Afryki — str. 12
- Kim był naprawdę Giovanni Casanova — str. 14

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 30 (1478) ROK XXIX

26 LIPCA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

Do wszystkiego dochodziłem sam...

Nakładem Czytelnika ukazała się druga część książki ANDRZEJA KEPIŃSKIEGO i ZBIGNIEWA KILARA „Kto jest kim w Polsce inaczej”. W książce tej między innymi została opublikowana rozmowa z Tadeuszem Czechowiczem. Rozmowa ta została przeprowadzona i opracowana przed X Zjazdem PZPR, w czasie, gdy Tadeusz Czechowicz był członkiem Biura Politycznego KC PZPR, I sekretarzem KL PZPR oraz przewodniczącym Komisji Młodzieżowej KC PZPR. Tadeusz Czechowicz jest posłem na Sejm PRL i przygotowuje się obecnie do pracy w dyplomacji. Rozmowę Andrzeja Kępińskiego i Zbigniewa Kilara z Tadeuszem Czechowiczem publikujemy z niewielkimi skrótami, które w niczym nie zmieniają zasadniczego charakteru i sensu jego wypowiedzi. Tytuł pochodzi od redakcji.

1.

— Pan się urodził 29 lipca 1935 roku w miejscowości Małecz...
— ...w gminie Lubochnia, niedaleko Tomaszowa Mazowieckiego w obecnym województwie piotrkowskim. Pochodzę z biednej rodziny chłopskiej. Rodzice gospodarzyli na niewielkim gospodarstwie na niezbyt urodzajnych glebach. Było bardzo ciężko. Pamiętam, jak z rodzeństwem oczekiwaliśmy za każdym razem powrotu matki z miasta, do którego się chodzilo, aby coś sprzedać. Gdy tylko pojawiła się w zasięgu naszego wzroku, wybieraliśmy jej naprzeciw z wyciągniętymi rękoma, licząc, że dostaniemy bułkę czy może nawet ciastko.

Sytuacja znacznie się pogorszyła w 1945 roku, kiedy zmarł ojciec.

Miałem wtedy dziesięć lat i po ojcu w pamięci zostało mi to, co o nim mówiła matka, oraz to, że był wobec nas, dzieci, bardzo wymagający, ale jednocześnie sprawiedliwy i dobry. Wiem, że był w Legionach i posiadał odznaczenia wojskowe. Dzięki ojcu utrzymywaliśmy się na powierzchni życia. Był dla nas ostoją i autorytetem ostatecznym. Po śmierci ojca staraliśmy się matkę pomagać, jak tylko umieliśmy — w 1945 roku najstarszy brat miał 22 lata, a najmłodszy 3. Wtedy już rozumiałem, że o własnej przyszłości będę musiał decydować sam, tak jak wielu moich rówieśników znajdujących się w trudnej sytuacji.

Moje dzieciństwo było szare. Nie mam zbyt wielu radosnych wspomnień i nie mogę powiedzieć, mimo wielkiego szacunku i miłości do matki, że z mlekiem jej piersi wysłane jakieś nadzwyczajne zdolności czy umiejętności łatwego życia. Do wszystkiego dochodziłem sam dzięki wytrwałej pracy.

— Co jeszcze zostało w pamięci z tamtych lat?

— Z okresu okupacji hitlerowskiej pamiętam prześladowania ludności — wywożenie do przejściowych obozów pracy. W lasach tomaszowskich działała partyzancka grupa Gwardii Ludowej pod dowództwem legendarnego Franka Zubrzyckiego. Pamiętam akcje hitlerowców skierowane przeciwko mieszkańcom wsi. Hitlerowcy rozstrzelali wielu młodych ludzi. Mój brat został ranny podczas ucieczki. Później — już jako żołnierz Ludowego Wojska Polskiego — walczył pod Białymostem, likwidując bandy nacjonalistów ukraińskich w Bieszczadach.

Najdramatyczniej przeżyłem śmierć ojca. Pamiętam mdlejącą matkę i lek przed przyszłością, niepewność jutra: „Co z nami będzie?”. Ta konieczność walki o byt, o przyszłość, zaszczepiła we mnie dużą samodzielność i odpowiedzialność za życie. Od tamtych dni nigdy nikomu nie przypisuję winy za własne porażki i niepowodzenia.

W pamięci też utkwiły mi kłopoty ze zdrowiem — zaraz po okupacji byłem ciężko chory, a opieki lekarskiej na wsi nie było. Dziś, po latach, z uśmiechem wspominam przekonanie ciotek i babć o tym, że tylko okoliczni znachorzy są w stanie podreperować moje nadwątlone zdrowie, ale taka była wówczas w większości świadomość mieszkańców wsi.

— Czy naprawdę nie było przyjemnych chwil w Pana życiu?

— Był nią na pewno moment otrzymania skierowania, bez egzaminów, do technikum włókienniczego w Białymostku. Stało się to po ukończeniu państwowego gimnazjum przemysłowego w Tomaszowie Mazowieckim, do którego trafiłem tylko dlatego, że był tam internat i otrzymałem stypendium. Nie moje osobiste zainteresowania, lecz był określał decyzję o wyborze. Był to dla mnie przełomowy moment w życiu. Uwierzyłem w siebie. Podstawą tej wiary było ukończenie gimnazjum przemysłowego z oceną wyróżniającą. Zrozumiałem wówczas, że mogę osiągnąć w życiu to, co sobie zaplanuję, pod warunkiem, że cel ten, będę widział wyraźnie, a uporczywą pracą dążyć do jego realizacji.

Ale jak to w życiu bywa, zbyttna pewność siebie o mało nie okazała się dla mnie zgubna. Rozpocząłem studia w Politechnice Łódzkiej na wydziale włókienniczym. W dniu swoich imienin otrzymałem trzy oceny: niedostateczne: z koronnej dla mnie dziedziny matematyki, z kreślenia liter technicznych oraz za nieznaną sobie regulaminu i musztry wojskowej. Po takim zimnym tuszu udałem się plechotą prawie 6 km do akademika na osiedlu „Bystrzycka”. Miałem dość czasu, by zrozumieć, że nie jestem genialny. Ten incydent utkwił mi w pamięci, wziąłem się solidnie do nauki i I semestr ukończyłem ze średnią powyżej czterech. Studia ukończyłem w 1958 roku. Pracę rozpocząłem w Zakładach Przemysłu Włókiennego im. Gwardii Ludowej w Łodzi.

— A jakie wspomnienia łączą się z pierwszą pracą?

— Dyplom magistra inżyniera włókiennika obroniłem z bardzo dobrym wynikiem. Nie zostałem jednak na uczelni ani nie szukałem pracy w jakimś instytucie naukowym. Poszedłem do pracy jako robotnik, na trzy zmiany. Zacząłem pracować przy obsłudze zgrzeblarek w oddziale czesalni. Początkowo obserwowano z za maszyn, jak „pan magister”, radzi sobie w pracy. Z każdym jednak dniem, poprzez wspólne śniadania i przepracowane noce, moje kontakty ze współtowarzyszami pracy stawały się coraz bliższe.

Zresztą wydaje mi się, że jestem człowiekiem, z którym łatwo jest nawiązać kontakt. I chyba dzięki temu, a także posiadanym kwalifikacjom dość szybko awansowałem z podmiistrza na mistrza.

To była dobra szkoła życia. Praca mistrza wymagała decyzji w rozwiązywaniu spraw produkcyjnych i podległych mi pracowników. W większości były to kobiety,

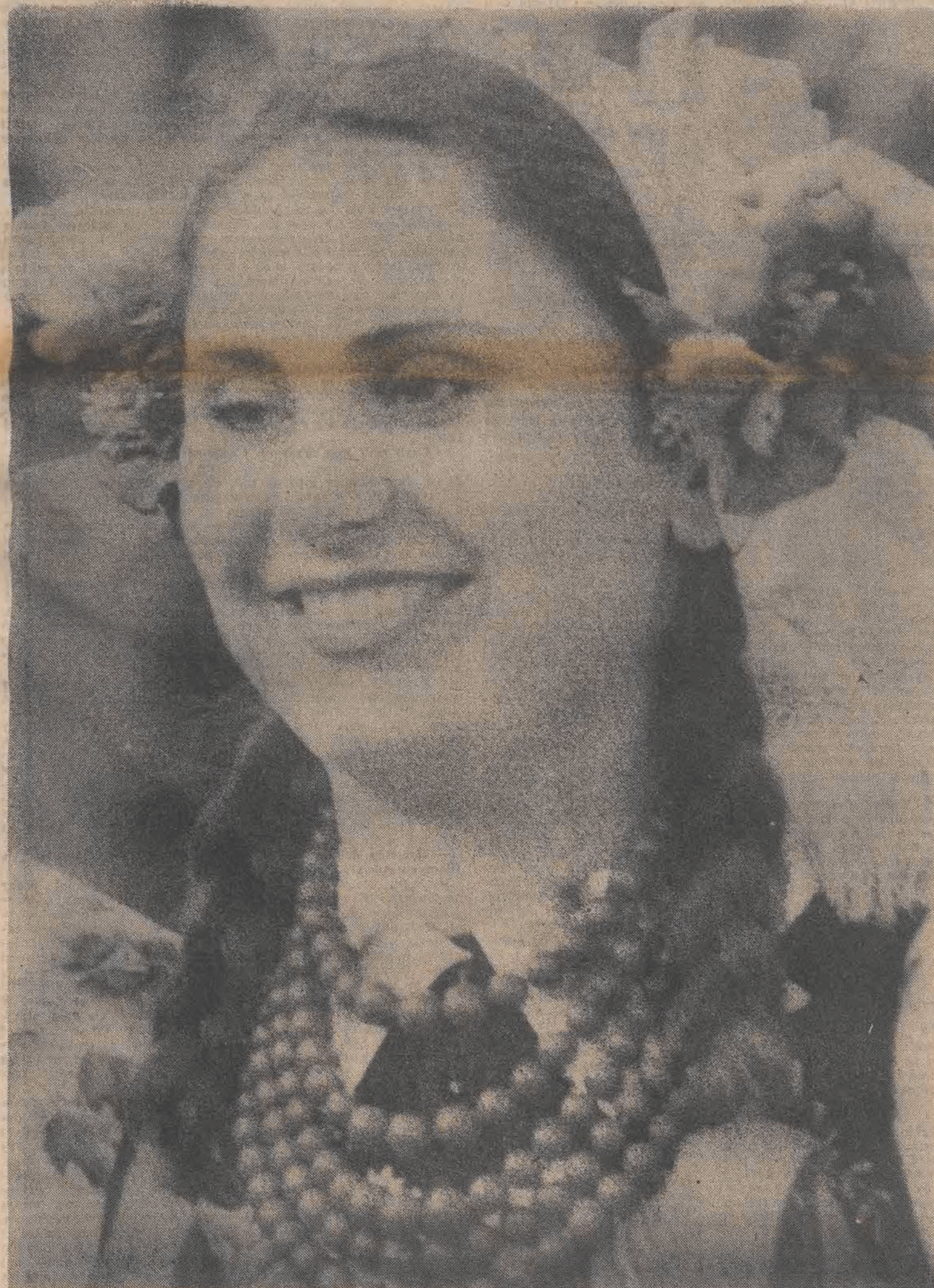


Foto: Grzegorz Golasinski

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny,
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelny: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorczyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Gałasinski.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błazewski,

Krzysztof

Drzewiecki, Bohdan

Gadomski, Witold

Kasperkiewicz, J. Stanisław

Knypl, Marek Koprowski,

Włodzimierz

Krzemiński, Alfred

Lufrzykowski, Władysław

Malka, Marek Mamos,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Jerzy Panaszewicz, Karol

J. Strvjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa” —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch”, Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojew-
ódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u dore-
czyteli; 2. dla indywidualnych
prenumerat: osoby fizyczne
zamieszkałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miej-
sca zamieszkania prenumerato-
ra. Wpłaty dokonuje się używa-
jąc blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa —

Książka — Ruch”; 3. prenumeratę za
zleceniem wysyłki za granicę
przyjmuje RSW „Prasa —

Książka — Ruch” Centrala Kolpor-
tażu Prasy i Wydawnictw,
ul. Towarowa 28, 00-958 War-
szawa, konto NBP XV Oddział
w Warszawie, nr 1153-201045-
139-11. Prenumerata za zlece-
niem wysyłki za granicę pocztą
zwykłą jest droższa od prenume-
raty krajowej o 50 proc. dla
zleceniodawców indywidualnych
i o 100 proc. dla zlecających in-
stytucji i zakładów pracy. Ter-
miny przyjmowania prenumera-
ty na kraj i za granicę — do
dnia 10 listopada na I kwartał
i półrocze roku następnego oraz
cały rok następny — do dnia
1 każdego miesiąca — poprze-
dzającego okres prenumeraty
roku bieżącego.

Zam. 2216. B-2.

Przegląd prasy

Ciągle powraca się do proble-
mów poruszanych na X Zjeź-
dzie PZPR i myślę, że będzie się
jeszcze do spraw tam porusza-
nych powracać, bo przecież ma-
ją one wytyczać kierunek nasze-
go działania we wszystkich dzia-
łach życia. W 29 numerze
„TYGODNIKA WSPÓŁCZESNEGO — ARGUMENTY” (z 24
lipca 1986 roku) profesor Uni-
wersytetu im. Marii Skłodow-
skiej-Curie w Lublinie — Zdzisław
Cackowski opowiada, jak
jadąc na X Zjazd PZPR do
Warszawy otrzymał od przyja-
ciela wołanie:

„ZROBIE COŚ”

Jest to tekst przemówienia
Zdzisława Cackowskiego na X
Zjeździe PZPR. Nosi ono ty-
tuł „Czynu — naród woła”. Mo-
wił on ze zjazdowej trybuny:

„Przecież potok słów, które
nie prowadzą do czynu, zalewa
nas nader często i to powo-
dnie jest odczuwane (...).

Mówię o ograniczeniu takich
słów, które nie prowadzą do
czynu. Nie mówię o ich elimi-
nacji, o ograniczeniu, ponie-
waż czasami już myślę, że to
nasze słowotwórstwo przybiera
charakter jakiejś kultury magi-
cznej, że zamiast pokonania au-
tentycznych trudności, zamiast
działa — zagadujemy”.

Trudno się z tym nie zgodzić.
Mówić umiemy dużo i długo.
Utarli się już taki — zły zresz-
tą — zwyczaj, że na wszystko
jest dobra rada. Kiedy wylania
się jakaś trudność, jakiś problem
do rozwiązania, zwołuje się na-
radę, problem omawia się do-
głębnie, a następnie podejmuje
się wnioski, zalecenia i, wszy-
scy rozchodzą się do domu, do
codziennych zajęć, ze spokoj-
nym sumieniem, że zrobili wszy-
stko, co do nich należało. Wnio-
ski podjęto. Teraz niech się o-
ne realizują.

„Niesprawności gospodarcze —
mówił dalej Zdzisław Cackowski
— nieskuteczność wewnętrz-
nych mechanizmów samokontro-
li gospodarczej, rodu lawinę
kontroli zewnętrznych, często
wręcz pseudokontroli, które są
mało skuteczne, bo zewnętrzne
mechanizmy kontroli mogą tylko
wspomagać mechanizmy wewnę-
trne. Nie mogą ich zastąpić”.

„Ale czy tak dzieje się tylko
w gospodarce?”

Zdzisław Cackowski nie bez
ogromnej racji stwierdza, że
„spółniona jest mądrość polity-
czna, która ujawnia się i re-
aguje dopiero wtedy, gdy troski
społeczne i społeczne zanepo-
kojenie przybierają charakter
masowy i publiczny”. Polityka
różni się zasadniczo od strachu
pozarnej i dlatego „potrzebna
mądrość politycznej wyprzedza-
jącej”. A ta mądrość wyprze-
dzająca powinna być właściwa
partii.

„Partia — mówił z trybuny
zjazdowej — pierwsza musi do-
strzec przyczyny możliwego
niepokoju, żeby mogła skutecz-
nie zapobiegać przekształcaniu
się społecznego niepokoju w
niepokój destrukcyjny i wybu-
chowy. Ale nade wszystko i w
pierwszej kolejności, żeby mo-
gła wykorzystać ów niepokój
społeczny, jako siłę twórczą w
przezwyciężaniu trudności i
rozwiązywaniu nabrających
problemów. Hasło rozsądku i
spokoju, do którego słusznie od-
woływaliśmy się w czasie nie-
pokojów destrukcyjnych, burzy-
cielskich, powinno dzisiaj usta-
pić miejsca hałsu twórczego nie-
pokoju. Twórczy niepokój powi-
nien więc stać się zawołaniem
naszym, adresowanym do całej
partii i społeczeństwa. Partia
musi stać się organizatorem i
katalizatorem tego niepokoju. On
nie zależy jego twórczy cha-
rakter”.

A w tym miejscu należałoby
zadać ważne pytanie: partia, to
znaczy kto? Komitet Centralny,
aparatus partyjny, czy też wszy-
scy jej członkowie razem wzię-
ci? Zdzisław Cackowski zadał
jednak inne pytanie: „czy par-
tia jest w stanie to wielkie za-
danie spełnić?” i odpowiadając
na nie w zasadzie twierdząco,
złosił jednocześnie pewne „ale”
na które składają się „trzy
nierównorzędne ogniw partii, to
centrala, czyli Komitet Central-
ny, Biuro Polityczne, Sekretaria-
taty, po drugie aparat partyj-
ny oraz członkowie, po trzecie
członkowie partii działający w
organizacjach podstawowych”.

Jeśli do pracy Komitetu Cen-
tralnego PZPR nie można mieć
zastępstwa, gdyż „był bardzo ak-
tywny w sferze koncepcyjnej”,
poza tym „wciągał do współpracy
środowiska ekspertów, spec-
jalistów”, to już inne uwagi
nawołują się pod adresem a-
paratu partyjnego. Zdaniem
Zdzisława Cackowskiego aparat
partyjny mamy „być może zbyt
liczny”, a poza tym „aparatus ten
odżył ostatnio odwagę i nie-
kiedy stanowczo, ale politycz-
nie wartościowo i niekonsekwent-
nie na zawsze jest jednoznacz-
na, bo niekiedy może to być
stanowczość i odwaga urzędni-
cza”. Otóż problem cały sprowa-
dza się wszakże do tego, „że-
by ta odwaga i stanowczość
funkcjonowała jako siła polity-
czna, musi być oparta na akty-
wności (...), szeregowych człon-
ków partii, wszystkich organi-
zacji partyjnych”. I z tym jest
spory kłopot.

„Moje obserwacje — mówił
dalej Zdzisław Cackowski — to
tym względnie nie napawają
mnie najlepszym nastrojem. Ra-
dykalna poprawa obecnego sta-
nu rzeczy jest bezwzględnie
wymagalna, warunkiem spełnienia przez par-
tię roli organizatora i kataliza-
tora twórczego niepokoju spo-
łecznego. Zbyt dużo mamy w
szeregach partyjnych, w podsta-
wowych organizacjach partyj-
nych obojętności, braku odwagi,
braku koncepcji, braku powie-
działym nawet motywacji do
pracy. A tymczasem rozbudze-
nie politycznej woli społecznej
musimy zaczynać od rozbudze-
nia tej woli w samej partii i
jej podstawowych organiza-
cjach”.

Podobnie w tonie i we wnio-
skach mówił ze zjazdowej try-
buny Mieczysław F. Rakowski,
o czym informuje „POLITYKA”
w numerze 28 (z 12 lipca 1986
roku) publikując jego wystąpie-
nie pt. „Nie sceptycyści, lecz
krytycy”.

KRYTYCYZM JEST NAM POTRZEBNY

aby dostrzegać ujemne zjawis-
ka, właściwie je oceniać i zwal-
czać, przezwycięzać i elimi-
nować z naszego życia. Inaczej nie
dokonamy niezbędnego postępu.”
— powiedział M.F. Rakowski —
na pewne schorzenia i słabości,
z roku na rok — nieestety —
powtarzające się, które ograni-
czają dynamikę naszego systemu
społeczno-gospodarczego. Nie
kierując tych uwag pod konkre-
tnym adresem, bowiem chodzi o
zjawiska społeczne tkwiące —
jak sądzę — w naszej świad-
omości”.

Jakie to zjawiska?

1. Warunki ograniczające lu-
dziom z inicjatywą możliwości
działania. „W odczuciu społecz-
nym jednostka pełna inicjaty-
wy, ambicji, z trudem osiąga za-
mierzony cel”. Bierze się to
stąd — jak się wydaje —
że panuje przekonanie, iż si-
ła władza „trzyma wszystko w
garści”. Z tego „trzymania „w
garści” powstają gorsety utka-
ne z licznych zarządzeń ogra-
niających swobodę ruchu wy-
twórców”.

2. Wydarzenia minionych lat
spowodowały przekonanie o po-
trzebie, jeśli już nie ograniczenia,
to nadmierne kontrolowania
wszelkich form samorządności.
Dziś potrzeba czegoś wręcz od-
wrotnego: „potrzebujemy energii
w celu umiędzielnienia wszelkiej
samorządności — pracowniczej,
terytorialnej i spółdzielczej”,
przeciwstawiając przekonaniu wie-
lu ludzi, „że to nie do nich na-
leży ostatnie słowo”, co prze-
ciw jest często zdarza się w
praktyce.

3. „Aktywność społeczna oby-
watela wymaga, by dostrzegał
on na każdym kroku w polityce
społecznej i gospodarczej myśł
spójną”.

4. Nauczaliśmy się działania
aktywnego. Coś zaczynamy, coś
postanawiamy, rysujemy się nam
dobra koncepcja, ale „już na pół-
metku wykazujemy zniechęcenie
i co gorsza, rozpalamy się za
nową akcją”. A zatem potrzebna
jest „konsekwencja w działaniu
władz wszystkich szczebli”.

Przezwyciężenie tych „scho-
rzeń i słabości” jest niezbędne
dlatego, że „na porządku dnia
stoi dziś przede wszystkim sprawa
unowocześnienia i zdyna-
mizowania socjalizmu, wyprzo-
dzenia go ze wstępnego fazy roz-
woju”.

W „SZPIKACH” (nr 28 z
10 lipca 1986 roku) Sobczak i
Szpak konsekwentnie tego, co się
stanie, jeśli nie przezwyciężymy
naszych słabości, wad i schorzeń
ujeli lapidarnie:

„Jest jeszcze jedno modne po-
wiedzenie. „Stoimy u progu
XXI wieku! Przynajmniej tam bę-
dzie jedynie, gdy my przed tym
progiem zostaniemy, a na pokoj-
je poproszą innych”.

Obok schorzeń i wad wiel-
kich, mamy również małe, które
wszakże się wzajemnie wiążą,
splatają i tworzą bogatą pano-
ramę polskiej głupoty, cham-
stwa i awanturnictwa. Jeden z
przykładów tego pokazuje
w dość suchym repertuaru
Zbigniew Jakubowski, Re-
portaż nosi tytuł „Rzut
karny” i opublikował go
tygodnik „SPRAWY I LUDZIE”
(nr 28 z 10 lipca 1986 roku).
Rzecz przedstawia się następu-
jąco:

BYŁ MECZ W RACIBOROWICACH

Zdarza się. Do Raciborowic
przyjechała drużyna Kuźni Ja-
wor, aby rozegrać mecz z miej-
scowym Cementem. Mecz był
— jak to się mówi — „o pie-
truszkę” czyli o nic. Gdyby
wygrała Kuźnia, to miałyby za-
pewniły awans do III ligi.
Gdyby zaś przegrała, to ten
awans mógłby przypaść Stali
Chocianów. W Chocianowie li-
czyli na dobrą grę Cementu.
Działo się to 11 maja 1986 ro-
ku. Czy piłkarze Cementu byli
jakoś zainteresowani w wygra-
nej — tego autor reportażu nie
pisze. Fakt jest natomiast, że
bardzo i to bardzo zdenerwo-
wała ich przewaga Kuźni Jawor.
Mecz prowadził sędzia Janusz
Sokołowski z Leszna.

Piłkarze Cementu Raciboro-
wice do tej pory grali dobrze,
grali nawet w Pucharze Polski,
liczone więc na ich wygrana.
Do 21 minuty mecz toczył się
normalnie i można powiedzieć
mało ciekawie. Żółtą kartkę zo-
baczył piłkarz Kuźni, Ale za-
wodnicy tej drużyny zmobiliz-
owali się i po udanej akcji
strzelili bramkę Cementowi. Pił-
karze Cementu grali jakoś nie-
mrawo. Jan Szymczak z Gło-
gowa, obserwator OZPN, nie
miał do sposobu sędziowania
Janusza Sokołowskiego żadnych
zastępów.

„Nadeszła fatalna 26 minuta.
Za brutalny faul na napastnika
gości w obrębie pola karnego
gospodarzy sędzia podyktował
bez chwili namysłu rzut karny”.

No i zaczęło się.

„Do arbitra podbiegli napastnie
Jan Beńko i krótko, nieczu-
ralnie powiedzieli, co myśli o ta-
kiej decyzji. Ujrzał żółty kar-
tonik”.

Żółtą kartkę zobaczył też
Andrzej Kot, który wykrzyki-
wał „Co ten stary idiota wy-
prawia!” Nie spodobała się mu
decyzja sędziego, więc wyrwał
mu żółty kartonik. Sędzia sie-
gnął po... czerwony. Na to do
Janusza Sokołowskiego — po-
pychanego już i turbowanego —
podbiegli bramkarz Cementu
Ryszard Kozik i zawołał, że
„kaloszowi” należy „powyrwać
gentilia”. Otrzymał czerwony
kartkę. Wtedy do akcji ponow-
nie wkroczył Jan Beńko, który
pobił sędziego, Janusza Soko-
łowskiego stracił przytomność.
Na boisku rzucił się — jak się
później okazało — dobrze podpi-
ci kibice. Sędziego przed lin-
czem uratowali sędziowie bo-
czni, piłkarze Kuźni — ratują-
czeszta też siebie — i „bokser-
skie umiejętności trenera Ce-
mentu”. Milicja przybyła dopie-
ro wtedy, gdy sędziowie i pi-
łkarze Kuźni Jawor byli obłe-
żeni w budynku klubu Cement.
Zastanawiano się, czy nie wer-
wać posiłków ZOMO z Legni-
cy. Ale jakoś udało się obłe-
żenie przerwać, najbardziej agre-
syjnych chuliganów aresztować i
umieścić w celi. W Raciboro-
wice piłkarzom z Jawora i sę-
dziom.

Jan Beńko został zdyskwalifi-
kowany dożywotnio oraz ska-
zany na rok pozbawienia wolno-
ści. Andrzej Kot ma dwa lata
dyskwalifikacji. Ale działacze
Cementu Raciborowice zaczy-
niają pisać pisma, w których
próbują udowodnić, że „na bo-
isku nie było żadnej rozróby,
czy próby zliczowania arbitra”.
I to jest „najniebezpieczniejsze”
w tej całej tragedii!

LUCJAN BOGUSZ

ze str. 1

przychodziły do mnie często i po radę, i pomoc ze swoimi trud-
nymi i skomplikowanymi sprawami. I choć byłem wówczas bar-
dzo młody i byłem dla tych kobiet „panem majtrem” i „panem
inżynierem”, czy też „panem Tadeuszem”, to nie wstydzili się i
rozmawiały ze mną o swoich trudnych problemach życiowych.
Bywały jednak i takie sprawy, wobec których byłem bezradny
jako młody inżynier; dotyczyły to najczęściej kłopotów rodzin-
nych, różnych osobistych niepowodzeń.

— Czy obraz, jaki Panu pozostał z pracy w „Gwardii Ludowej”,
znacząco odbiega od tego, jaki pokazał reżyser Andrzej Wajda
w filmie „Ziemia obiecana”?

— Wajda pokazał ponaddźwiękowy wysiłek w pracy, obraz z in-
nej epoki — epoki drapieżnego kapitalizmu, charakteryzującej
się wykorzystaniem człowieka ponad jego siły. Byłem mistrzem
już w państwie ludowym, gdzie stosunki pomiędzy przełożonymi
i robotnikami były zupełnie inne niż w pokazanym filmie.
Zakład nasz był stary, ale na tyle zmodernizowany, że warunki
pracy były znośne. I chyba tylko jedno nie zmieniło się — so-
lidarność robotnicza. (...)

Do pracy w Instytucie zostałem zaangażowany wprost z Za-
kładów „Gwardii Ludowej” przez dr. Tadeusza Jędrękę, dyrek-
tora Instytutu, który był moim wychowawcą i nauczycielem aka-
demickim w Politechnice Łódzkiej. Propozycję pracy naukowej
przyjąłem bez większego wahania, przede wszystkim dlatego, że
potrzebowałem nowych doświadczeń zawodowych, chciałem po-
głębić wiedzę, a przy tym zaproponowane mi w nowym miej-
scu pracy zarobki nie były gorsze od tych w zakładzie pracy.

Był to bardzo pracowity okres w moim życiu. Łączyłem bo-
wiem pracę zawodową z działalnością polityczną i społeczną.
Sprawę stawałem jasno. Zarówno w Zarządzie Głównym ZMS
— kiedy byłem przewodniczącym Zarządu Łódzkiego ZMS, jak
i w CRZZ — kiedy byłem wiceprzewodniczącym Zarządu Główn-
nego „Więźniarzy”, powiedziałem, że przede wszystkim cenię
sobie konkretny zawód, muszę być dobrym „rzemieślnikiem”.
Pracując politycznie w tych organizacjach nie przerwałem pracy
naukowej w Instytucie Włókiennictwa.

2. — Kiedy po raz pierwszy zetknął się Pan z polityką?

— Polityka to może zbyt duże słowo. Działalność społeczna
rozpocząłem w gimnazjum przemysłowym. Moje pierwsze funk-
cje społeczne to skarbnik w klasie i kolporter.

— Kolporter?

— Zajmowałem się w klasie działalnością kulturalno-oświa-
tową i moim zadaniem było m. in. roznoszenie gazetek młodzie-
żowych. Myślę, że jestem człowiekiem aktywnym, lubię kon-
kretnie działanie, nie znoszę bierności. Porażki, których dozna-
wałem, stanowiły impuls, a nie przeszkodę w aktywności. Nie
znoszę próżni wokół siebie. Ta cecha chyba wzięła się stąd, że
od najmłodszych lat młodzieńczego żyłem w grupach ro-
wiesników, w internacie, akademiku, a to pobudzało do współ-
nego działania, do uczestniczenia w życiu społecznym. Nie cho-
wałem się w ciepłarnianych warunkach domowych.

— Wspomniał Pan o bierności. Działalność Pan w młodzieżowym
ruchu, a obecnie przewodniczący Komisji Młodzieżowej Komitetu
Centralnego PZPR. Jak wytłumaczyć bierność sporej części
młodego pokolenia Polaków, tych, którzy — mówią delikatnie
— ustawili się bokiem?

— Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Wszyscy
wiemy, jak łatwo wypowiadać mądre maksymy wychowawcze, a
o ile trudniej zastosować je w wychowaniu własnych dzieci.

Wydaje mi się, że za to, jakie jest młode pokolenie, odpowie-
dzialność ponosimy wszyscy. Starsze pokolenie przeszło trudną
drogę życiową, o której mówili na początku. I jest rzeczą
naturalną, że rodzice chcieliby, aby ich dzieci uniknęły takiej
trudnej drogi życiowej, więc pomagają, a czasem wyręczają
swoje dzieci w rozwiązywaniu ich codziennych spraw. I przez
to uczyć ich wygodnictwa, nie przygotowują do trudnej pracy
organizacyjnej w ramach społeczeństwa. (...)

W kształtowaniu postaw dzisiejszego młodego pokolenia od-
grywa też i to niebanalna rola, poglądy głoszone przez opo-
zycję czy też siły, które nie są zainteresowane tym, abyśmy
osiągali wyraźny postęp w podwyższaniu poziomu życia. W roz-
mowach z politycznymi przeciwnikami używałem nawet takich
argumentów: „Panowie, nie lubicie komunistów, nie zgadzacie
się z nami, w porządku, ale to nie powinno przeszkadzać wa-
szemu włączeniu się do pracy przy budowie lepszej i bogatszej
Polski”.

— Czyli cenili Pan mądrych i aktywnych przeciwników?

— Uważam, że jest w kraju wielu mądrych ludzi, z którymi
dziela mnie różnica ideologiczna, ale z drugiej strony posiadają
oni często dużą wiedzę i reprezentują inną koncepcję działania,
dlatego różnice nie przeszkadzają mi w tym, by byli partnera-
mi dialogu i porozumienia. Rzecz w tym, aby w sprawach, które
dotyczą przyszłości Polski, uwzględnić wszystkie uwarunkowania
związane z opóźnieniem rozwoju gospodarczego, jak i realia
dzisiejszej Polski.

Pytam wprost stojących po przeciwniej stronie barykady, jaki
jest na przykład sens zaszczepiać młodym ludziom nienawiść
do Związku Radzieckiego — co to ma dać w przyszłości? A
przy tym wszystkim warto pamiętać, że odzyskanie niepodległości
w 1918 roku, a szczególnie w 1945 roku zawiązywały władze
radzieckie, a nie złudnym zapewnieniem polityków państw za-
chodnich.

Czy można także w sposób demagogiczny porównywać nas z
wysokoprzemysłowymi krajami nie uwzględniając tego, że
kiedy oni bogacieli się na wojnach lub koloniach, budowali prze-
mysł, pełną infrastrukturę gospodarczą i kulturalną — Polacy
budowali barykady lub walczyli o fizyczne przetrwanie. Nie chcę
upraszczać sprawy i pomijać błędnych decyzji w sferze gospo-
darczej, które podjęto w Polsce Ludowej, uwzględniłem także
warunki, w których kształtowała się szeroko rozumiana świad-
omość naszego społeczeństwa, ale mimo to twierdząc, że dzisie-
szy stan gospodarki ma w poważnym stopniu swoje korzenie w
naszej przeszłości. Uważam, że aspiracje powinny być oparte na
realiach, a nie na niczym nie opartej fantazji. (...)

— Był Pan działaczem CRZZ-owskich Związków Zawodowych.
Dlaczego musieli się one rozpaść?

— Nigdy nie wstydzili się i nie ukrywałem swojej pracy
w Związku Zawodowym „Więźniarzy”. W rozmowach podkre-
ślałem, jakie zasługi tamte związki wniosły w poprawę pozyc-
ji socjalnej ludzi pracy. Nigdzie na świecie żaden związek za-
wodowy nie jest w pełni samodzielnym. W naszych polskich rea-
liach interes związków zawodowych jest zbieżny z interesem
partii. Zasadniczy błąd związków sprzed sierpnia 80 polegał na
tym, że zbyt manifestacyjnie podkreślały one swoją jedynowład-
ność z ekipą rządzącą. Było to niepotrzebne i nieprawdziwe. W imię
żle pojętej tajemnicy państwowej czy niejałtrzenia atmo-
sfery w społeczeństwie nie pokazywano działalności związkowej
„od kuchni”. Nie pokazywano różnic zdań między zarządami głów-
nymi związków a władzą i stąd społeczeństwo jednoznacznie
identyfikowało decyzje związków zawodowych z decyzjami rzą-
du.

Kiedy na spotkaniach z działaczami „Solidarności” krytyko-
wano mnie za działalność w CRZZ-owskich związkach zawo-
dowych, odpowiadałem, że po mnie i innych działaczach pozostał
wiele domów wypoczynkowych i sanatoriów dla ludzi pracy wy-
budowanych z funduszy związkowych czy przy pomocy państwa.
A po was — mówiłem — zostanie tylko wiele taśm magneto-
fonowych z nagraniem dyskusji, w tym także moimi wystą-
pieniami. Myślę, że związki zawodowe powinny pokazywać swoją
tożsamość poprzez umiejętnie bronić interesów pracowników, ale
i też poprzez stworzenie własnej, silnej bazy materialnej i
znaczących funduszy. Krzykiem i straszeniem strajku żaden
związek zawodowy w dłuższym czasie nie zdobędzie potrzebnej
mu siły przebicia. Dlatego na Zachodzie związki zawodowe są
silne? Czy tylko dzięki ustawodawstwu? Nie. o sile ich świad-
czą także środki materialne, którymi dysponują.

U nas bardzo często domagamy się uprawnień i przywilejów
związków wziętych z zachodnich systemów polityczno-społecznych,
żądając jednocześnie, by koszty społeczne ich skutków pokrywało
państwo!

I jest jeszcze jedna kwestia. Związki zawodowe na Zachodzie wiedzą, jak może być pułap ich żądań, by — jak to się mówi — nie zarządzać kłosa, który ciągnie wóz.

— A u nas kłosa został zarżnięty?

— Niestety, jeszcze często w naszej mentalności tkwi pogląd, że o poziomie życia decyduje ilość pieniędzy, a nie ilość towaru na rynku. W kryzysowych momentach, kiedy sytuacja jest napięta, pokutuje przekonanie, że im głośniej będziemy krzyżeć, im silniej ciśnieć władzę za gardło, tym więcej wygramy dla siebie, nie martwiąc się o to, co będzie w przyszłości. Czyli pojawia się wspomniany problem granicy żądań. Uczestniczyłem w wielu rozmowach ze strajkującymi. Moim zdaniem dramat wówczas polegał jeszcze na tym, że najgłośniej krzyżeli ci, którzy najgorzej pracowali. Ciekawe, że w takich sytuacjach nie odrywają się ci dobrze pracujący i nie mówią: źle zarabiasz, bo źle pracujesz. Pojawia się demagogiczne hasło, że wszyscy mamy jednakowe żółdki, i stąd już krok do „urawniłowki”. Błąd równości płacić mi się do dzisiaj. Wszyscy domagamy się w naszej gospodarce wprowadzenia zasady: jaka praca, taka płaca. Tylko, że przy każdej regulacji płac w mentalności społecznej nie mieści się myśl, że ktoś mógłby otrzymać niższe uposażenie od pobierającego dotychczas.

— Ależ to patologia! Sankcjonowanie anomalii w opłacaniu kadry przypomina działanie samobójcy nakładającego sobie na szyję petle...

— Przypuszczam, że prędzej czy później musi dojść do szerszej rozmowy między rządem a związkami zawodowymi na temat realnych zasad polityki płacowej w kraju. Myślę, że w tej sprawie nie mamy różnych poglądów.

— Nas jednak nie satysfakcjonuje ta deklaracja. Czas ucieka. I nie my, lecz Pan ma większy wpływ na tempo likwidacjiowych anomalii. Tymczasem może odważyć brakować?

— Odważyć wystarczyć. Ale to nie o odwagę chodzi i nie tylko o same płace. Potrzebne są decyzje w sprawie całej polityki społecznej, a tych nie można podjąć z dnia na dzień. I choć wszyscy mamy świadomość, że czas ucieka, to przecież musimy też rozumieć, że tego czasu potrzeba, aby decyzje przygotować i przekonać do nich ludzi i aby znów nie popełnić jakichś błędów.

— Jako działacz związkowy spotykał się Pan z ówczesnymi liderami centrali związkowej: Ignacym Łoga-Sowińskim, Władysławem Krukiem, Janem Szydłakiem. Jacy to byli ludzie?

— Zetknąłem się osobście z każdym z nich. Uważam, że potrzebna jest gruntowna i obiektywna ocena każdego z tych działaczy. Moja ocena nie może być autorytatywna. Wydaje mi się, że wszyscy oni opowiadali i co nieśmiertelnie, zdarza się do dzisiaj, ten sam błąd. Nie potrafili wyjaśnić społeczeństwu, co leży u podstaw podjęcia konkretnych decyzji. My do dziś w większości przypadków informujemy ludzi o decyzjach, o takich czy innych przedsięwzięciach, a mało prezentujemy mechanizmy, wpływ różnych czynników na podejmowane decyzje. Oni chyba też zdawali sobie sprawę, że podejmowane przez nich decyzje nie były najlepsze, ale trzeba nam było, że powstały w określonych warunkach. Dlatego dziś istnieje potrzeba włączenia jak najszerszej reprezentacji społeczeństwa do wspólnego decydowania o „naszym dziś” i „naszym jutrze”, żeby było nas jak najwięcej do plecienia tego chleba. W warunkach naszego ustroju musimy uczynić wszystko, aby władza jak najmniej mówiła, co czyni dla społeczeństwa, a maksymalnie jak tylko można podkreślała to, że realizuje program wspólnie wypracowany ze społeczeństwem.

Odnawiając bardziej konkretnie na postawione mi pytanie, należałoby stwierdzić, że w okresie, kiedy przewodniczącymi CRZZ byli towarzysze Ignacy Łoga-Sowiński i Władysław Krucek, pojęcia związków zawodowych, a także ich program działania, były wbrew głoszonemu opiniiom, stosunkowo bogate. W tym czasie związki zawodowe dysponowały znacznymi funduszami, dzięki temu mogły finansować wiele dziedzin dotyczących życia społecznego, kulturalnego i sportowego. W tym czasie, patrząc z perspektywy czasu na tych ludzi, mogę powiedzieć, że niepotrzebnie przenosili oni na grunt związków zawodowych formy i styl pracy, jaki był wówczas stosowany w pracy partyjnej. Towarzysze Łoga i Krucek byli emocjonalnie związani z Łodzią, byli przecież po wojnie pierwszymi pełnomocnikami rządowymi miasta Łodzi. Przez wiele lat jako członkowie Biura Politycznego KC PZPR sprawowali polityczną opiekę nad naszym miastem. Z Janem Szydłakiem bliżej zetknąłem się będąc już sekretarzem do spraw ekonomicznych Komitetu Łódzkiego PZPR. Kontaktom tym towarzyszyły mieszane odczucia: z jednej strony wdzięczność za jego działalność w ramach programu modernizacji Łodzi — dzięki czemu unowocześnił przemysł; z drugiej strony niechęć do tego człowieka powodująca powłóczęgostwo lub demagogię niektórych jego wystąpień. Czy może polityk tej rangi złożył problem zagęszczania kredytów kwitować powiedzeniem: „Niech się martwią ci, co pożyczają, a nie ci, co biorą kredyty”? Za tę nonszalaną w rozmowach i działaniu drogo teraz płacimy.

3.

— Październik 1956 roku, grudzień 1970 roku i kryzys lat osiemdziesiątych przeżył Pan w Łodzi. Czy mógłby Pan scharakteryzować przebieg tych przełomowych wydarzeń?

— W 1956 roku mieszkając Łodzi miałem świadomość zachodzących w kraju przemian, choć w samym mieście było spokojnie. Jedynie środowisko akademickie było zbulwersowane z powodu nieumieszczenia na liście kandydatów na postów profesora Zygmuntów Zdzienickiego z Wyższej Szkoły Ekonomicznej. Wiedzieliśmy w zasadzie o nim bardzo mało. Po zebraniu się na dziedzińcu Politechniki Łódzkiej manifestacja studentów udała się do Komitetu Wojewódzkiego PZPR żądając wyjęcia towarzysza Michałiny Tatarówny. Pamiętam, że padał ulewny deszcz. Studenti wznosili okrzyki i zebrali się bardzo wielu przypadkowych gapiów. Byłem wyznaczony do służby ochraniającej manifestację studentów. Wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, jaką siłą na ulicy jest tłum. Na szczęście do żadnych ekscesów nie doszło. Udało się nam utrzymać ład i porządek.

Trzeba znać specyfikę tego miasta, aby zrozumieć przebieg wydarzeń z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Łódź charakteryzuje się największą aktywnością zawodową kobiet w kraju. Wprawdzie obecnie następuje zmiana struktury przemysłu, ale przez lata dominował przemysł lekki, w którym — podobnie jak na całym świecie — zarobki są niższe niż w innych gałęziach gospodarki narodowej. W świadomości mieszkańców dominował pogląd, że żyje się tu znacznie gorzej niż w innych częściach kraju. Długo tkwiło przekonanie, że Łódź nie jest kochana przez władzę centralną, bo np. Katowice miały swojego członka Biura Politycznego, tam zaczynały się zawsze Konferencje Wojewódzkie PZPR itp. W związku z takimi opiniami bardzo łatwo można było w Łodzi wywołać nastroje niezadowolenia. Prawda jest, że w Łodzi do lat siedemdziesiątych nie modernizowano ani nie inwestowano w przemysł lekki, który dawał spore dochody skarbowi państwa. Nie inwestowano też w rozwój miasta, w kraju najpierw trzeba było odbudować zniszczone przez wojnę ośrodki życia przemysłowego.

Łódź podczas drugiej wojny ocalała, a przemysł tu skupiony wypracował dochód narodowy, dzięki któremu można było rozbudowywać hutnictwo, górnictwo, chemię, energetykę. Tak więc Łódź ponosiła w jakiejś mierze koszt odbudowy i rozwoju kraju w zamian otrzymując mało na tie innych dużych miast. A na dodatek, z racji struktury przemysłu, ludzie mało tu zarabiali, co było przyczyną niskiego standardu życia. Np. średnia płaca w przemyśle w 1970 roku wynosiła 2.600 złotych, a w Łodzi większość włókienników zarabiała mniej niż 2.000 złotych. Te wszystkie czynniki złożyły się na poważne napięcia społeczne, które musiały spowodować wybuch.

W lutym 1971 roku, kiedy w Gdańsku panował już spokój, Łódź na rządowe zmiany cen mięsa — zmierzające do doprowadzenia równowagi popytu i podaży — odpowiedziała NIE. To było już za kierownictwa Edwarda Gierka.

— W Gdańsku powiedziano — Pomóżmy, a w Łodzi — Nie? Czyli wszystko, co potem okazało się złe, tutaj się zaczęło?

— Tak był przebieg zdarzeń. Łódź „stała się” za Edwarda Gierka, a nie za Władysława Gomułka. Już wtedy koncepcja stopniowych podwyżek załamała się.

— Czyżby nie wystarczyło odważyć nowej ekipie kierowniczej na rozmowy z łódzkimi włókiennikami?

— Nie wiem. Wprawdzie na rozmowy ze strajkującymi przyjechali ówczesny premier Piotr Jaroszewicz, przewodniczący CRZZ Władysław Krucek, dwóch sekretarzy KC, Jan Szydłak i Józef Tejchma, ale jedno jest pewne, że prowadzenie rozmów, kiedy przerywa pracę ponad 20 tys. robotników w 32 zakładach jest bardzo trudne.

W Łodzi przyczyną strajków było niezadowolenie z warunków pracy, zarobków, spraw socjalno-bytowych. Jednocześnie charakterystyczną ich cechą był masowy udział kobiet, reagujących bardzo emocjonalnie, a wtedy, gdy emocje biorą górę nad racjonalną argumentacją, uzyskanie porozumienia jest prawie niemożliwe. Siła presji to rzecz, której nie wolno lekceważyć. Często w takich sytuacjach ludzie nie wiedzą, czego chcą. Od lat mam kontakt z załogami fabryk, często rozmawiam z ludźmi przy warsztatach i widzę, jak zmieniają się poglądy, oczekiwania. Pamiętam, jak zaraz po sierpniu 80 pytało mnie, dlaczego państwo uniemożliwia rozwój wszystkiemu, co prywatne. A dziś? Często tym samym ludziami muszę przypominać, że to oni sami, ledwie kilka lat temu, byli za rozwojem prywatnej inicjatywy, która teraz drażni, bo tam się lepiej zarabia. Domagano się wolnej gry sił ekonomicznych, a teraz muszę tłumaczyć, dlaczego państwo nie ingeruje w ceny umowne.

Wydarzenia z przełomu lat siedemdziesiątych oraz sierpnia 1980 roku i ich konsekwencje różniły się sposobem przygotowania i przebiegiem. Tzw. wydarzenia grudniowych 1970 roku nie ce-

Do wszystkiego dochodziłem sam...

chowała napaść na pryncypia i zasady ustroju. Nie nastąpiło tak duże rozwarstwienie społeczeństwa na tle politycznym, co wtedy miało miejsce. W tym czasie strajki były charyzmatyczne, Władysław Gomułka, niezadowolony ludzi pracy, miał podłożyć tylko materiał. Natomiast w 1980 roku Edward Gierk i część jego ekipy utracili zaufanie w społeczeństwie, a ci, którzy kierowali protestem robotniczym, od początku mieli za cel atak na władzę i pryncypia, przez nią reprezentowane.

Odziedziłam sprawą są strajki, które w 1981 roku nekaly Łódź i cały kraj. Ich powodem stawały się najbardziej preteksty wymyślone przez przywódców „Solidarności”. Na spotkaniach z załogami mówiłem, że w każdym kraju każdego dnia potrafią też znaleźć powód do strajku. W przeciwnieństwie do roku 1970 strajki z lat osiemdziesiątych różniły się załogami, wprowadzały dodatkowe napięcia. W stosunku do tych, którzy nie brali udziału w strajkach, stosowano presję, przymus, ale trzeba też przyznać, że podejmując strajk, klasa robotnicza Łodzi nie miała tak dużych aspiracji politycznych, jak to było gdzie indziej, i tym razem warunki socjalno-bytowe załóg były nicio przewodził tych wystąpień.

— Dlaczego właśnie w Łodzi w 1981 roku, po IX Zjeździe PZPR, odbył się marsz głodowy?

— Wykorzystując ówczesną trudną sytuację rynkową bardzo łatwo można było poderwać do tego typu protestu kobiety łódzkie. One najbardziej odczuwały trudności w zaopatrzeniu domu. Kilka demagogicznych hasel o głodujących dzieciach i tym podobnych sformułowań spowodowały marsz głodowy.

— Kto to hasła rzucił?

— Przywódcy „Solidarności” łódzkiej, zdecydowani przeciwnicy naszego ustroju, którzy spektakularną akcją uliczną chcieli zaspokoić własne ambicje polityczne.

— Na jakim podstawie Pan ich tak ocenia?

— Na podstawie ich działań i rozmów, jakie z nimi prowadziłem. Przecież nie było to tak, że władza od początku była uprzedzona do przywódców „Solidarności”. Kiedy zostałem i sekretarzem Komitetu Łódzkiego PZPR, pierwszy udałem się na spotkanie z nimi do ich siedziby, wtedy jeszcze przy ul. Sienkiewicza. Szukaliśmy pomieszczeń dla Zarządu Regionu. Pierwszy samochód dostali w wyniku naszych interwencji. Pomagaliśmy im drukować dokumenty, jak choćby statut czy różnego rodzaju regulaminy. Uczestniczyłem w wielu zebraniach i dyskusjach z działaczami „Solidarności” — chcieliśmy znaleźć wspólny język. Wydawało się, że po okresie euforii i zaciętności strajkowi przywódcy „Solidarności” zrozumieją uwarunkowania polityczne i gospodarcze naszego kraju i podejmą konstruktywną rozmowę, która pozwoli przyjąć rozwiązania optymalne. Podczas gorących dyskusji mówiłem: Żadna grupa społeczna, w tym również protestująca klasa robotnicza, nie może przyjąć programu opartego na burzeniu dotychczasowego dorobku; rzecz w tym, aby doskonalilo to, co zostało zrobione wysiłkiem ludzi pracy, a nie tylko negować i burzyć. Kiedy przewodniczącym MKZ został wybrany Andrzej Słowik, zadowolony do niego z gratulacjami i powiedziałem, że zrobimy wszystko aby w tym robotniczym mieście sprawy układały się dla dobra społeczeństwa, klasy robotniczej i prosiłem o wielką rozważę. Po kilku miesiącach, ściśle po wydarzeniach w Bydgoszczy, jakiegokolwiek rozmowy stawały się bezcelowe.

— A więc nie byli to ludzie kompromisu?

— Nie. Pamiętam takie spotkanie w „Elicie”, gdy już w listopadzie 1980 roku mnie i prezydenta miasta traktowano wyłącznie jak tarczę strzelniczą. Podczas tej bardzo trudnej konfrontacji nie brakowało ze strony niektórych przedstawicieli „Solidarności” wystąpienia wrogich i demagogicznych. Było jednak na tej sali wielu, którzy godzili się z naszą argumentacją, chociaż stali po przeciwnym stronie, a prowadzący to spotkanie uznali je za remisowe. Tymi ludźmi, którzy trzęsło myślami, byli przedstawiciele wielu zakładowych kół „Solidarności”, czego nie można było powiedzieć o wąskiej grupie przywódców łódzkiej „Solidarności”.

— Czyli nie byli też politykami?

— Politykami to oni byli, tylko ich polityka prowadziła do ogólnonarodowego dramatu.

— Kim byli ówczesni przywódcy łódzkiej „Solidarności”?

— Myślę, że byli ludźmi, którzy dla zaspokojenia swych ambicji politycznych gotowi byli podpalić cały kraj. Szczególnie Jerzy Kropiwnicki, najbardziej z nich inteligentny, odgrywał rolę ideologa. Przy jego udziale opracowywano różne jądzące instrukcje, np. jak zachowywać się w warunkach wojny domowej.

— A jak przebiegał stan wojenny w Łodzi?

— Dla większości osób to był szok. Były też próby zakłócenia spokoju przez Andrzeja Słowika i Jerzego Kropiwnickiego — 13 grudnia wrócili z Gdańska, organizowali manifestację, ale nieskuteczną. Uważam, że lekcja lat 1980 i 1981 powinna być wielkim doświadczeniem dla naszego państwa i systemu sprawowania władzy. To nie jest slogan.

— Ale czy wystarczył sil i cierpliwość?

— Mądra władza to taka, która potrafi czasem przeciwstawić się społecznemu oczekiwaniu, kiedy nie są one możliwe do zrealizowania w danym momencie. Ale z drugiej strony, to przecież także łódzkie, że polityk czy władza chcą być dobrzy dla społeczeństwa. Tymczasem nie ma nic gorszego niż pozorna dobroć władzy. Dlatego podczas edukacji politycznej społeczeństwa trzeba wyjaśnić, że rozwiązanie jednostkowego problemu czy zaspokojenia potrzeb jakiegokolwiek wąskiego wycinka branżowego jest postępowaniem na krótką metę.

W kontekście tych moich wypowiedzi może nasunąć się Pan pytanie po co siedzę u tej władzy? Za jakie grzechy meczę się, nie mając wolnych nocy? Jestem normalnym człowiekiem. Nie uważam, że władza dana jest raz na zawsze, i — „jak mówią marksisci” — nie dać Boże, bym kiedykolwiek tak uważał. Po prostu sądzę, że moim moralnym ale także partyjnym obowiązkiem jest wywiązywać się, jak umiem najlepiej, z funkcji, które mi powierzono.

Gdy ludzie pytają, jaka kariera czeka mnie w przyszłości, odpowiadam żartobliwie, że mam jednakowe szanse w życiu zostać premierem lub portierem. Na co jeden z dociepnych robotników odpowiedział, że i tak się sprytnie ustawiam, bo obie posady są dobrze płatne.

4.

— 17 listopada 1980 roku Plenum Komitetu Łódzkiego wybrało Pana i sekretarzem instancji wojewódzkiej PZPR. Wcześniej, od kilku lat pełnił Pan w tym Komitecie funkcję sekretarza ekonomicznego. Dlaczego zdecydował się Pan na pracę w aparacie partyjnym?

— W 1977 roku odszedłem z pracy w związkach zawodowych i objąłem stanowisko dyrektora Ośrodka Doskonalenia Kadr Przemysłu Lekkiego. Chyba jest zrozumiałe, że funkcji sekretarza KW nie proponuje się człowiekowi przypadkowemu i nie znanemu w pracy zawodowej i społeczno-politycznej, ani też ja nie poszedłem do instancji i nie powiedziałem: „Towarzysze, chcę być sekretarzem”. W aparacie partyjnym pracowało wielu kolegów, którzy znali mnie wcześniej z pracy w ruchu młodzieżowym, w związkach zawodowych. Oni też znali przebieg mojej pracy w zakładach „Gwardii Ludowej” czy też w Instytucie Włókiennictwa. Widocznie musieli mieć niezłą opinię, która zadecydowała o tym, że zostałem sekretarzem Komitetu Łódzkiego. Muszę szczerze wyznać, że długo wahałem się przed objęciem tej funkcji. Miałem całkowicie inne plany życiowe. Byłem już po doktoracie i zacząłem gromadzić materiały do pracy habilitacyjnej. Jednak zamiast pracy naukowej poświęciłem się działalności partyjnej.

Przyszła sierpień 1980 roku. Po rezygnacji towarzysza Bolesława Koperskiego z funkcji i sekretarza sytuacja polityczna w Łodzi stała się trudna. Na rozmowę do KC PZPR wezwał mnie ówczesny sekretarz KC towarzysze Grabski i oświadczył, że uwzględniając opinię aktywów łódzkiego, kierownictwo partii zamierza powierzyć mi funkcję „pierwszego” w Łodzi. Zdałem sobie sprawę z odpowiedzialności, zaproponowałem tow. Grabskiemu pięć innych kandydatur: trzech działaczy z Łodzi i dwóch pracujących w Warszawie, ale rodem z Łodzi. Po jakimś czasie poinformowano mnie, że towarzysze Grabski po konsultacjach zrezygnowali ze wszystkich proponowanych przez mnie kandydatur. Oświadczone, że jedynym kandydatem jestem ja.

Tak więc stanąłem do wyborów, zostałem wybrany i sekretarzem Komitetu Łódzkiego i zaczęła się dla mnie trudna i odpowiedzialna praca.

Najważniejszym zadaniem była walka o scementowanie wojewódzkiej organizacji partyjnej. Za ważne uważałem też utrzymywanie międzynarodowych kontaktów województwa z brańskimi okręgami w ZSRR, NRD i na Węgrzech. Gra toczyła się również o moją osobistą pozycję w Instancji wojewódzkiej. Nie bałem się spotkań z ludźmi i poszedłem do nich z otwartą przybyłką. Nie miałem się czego wstydić. Znamienny jest fakt, że w tych gorących dniach nie skierowano przeciwko mnie jakiegokolwiek nieuzasadnionego zarzutu, co dość często zdarzało się w innych regionach kraju.

Uczestniczyłem w wielu spotkaniach, na których ludzie rzucali wiele słów krytyki. Na horyzoncie pojawiły się tzw. struktury poziome w partii. Czasami używałem demagogicznych chwytów, których działacz nie może się w pewnych sytuacjach utrzymać. Tak było podczas jednego z spotkań w „Majedzie”, gdzie zebrali się zwolennicy struktur poziomych. Na tym spotkaniu nie zostałem, chociaż byłem i sekretarzem, poproszony do prezydium, lecz siedziałem z boku na sali. Nieproszone zabierałem głos jako drugi. Wstałem i powiedziałem: „Partii w trudnych momentach potrzebna jest przede wszystkim jedność, a ponadto, jeżeli się Wam nie podobam, jeżeli macie do mnie jakieś uwagi, to proszę bardzo, przedstawcie je i co w waszych oczach mnie dyskwalifikuje jako I sekretarza”. Zebrani zareagowali śmiechem i oklaskami. Efekt był taki, że kolejni mówcy zaaprobowali tę argumentację.

— I swoim wystąpieniem rozwiązał Pan struktury poziome?

— Ależ nie! Tego nie można było załatwić jednym wystąpieniem. Na scementowanie partii, likwidację wszystkich tendencji odródkowych, a nawet i sekciarskich wpływ miała cała instancja, którą kierowałem. Dla dobra partii, dla przetrwania tych trudnych tygodni — jako I sekretarz KE PZPR nie mogłem wiązać się z żadnym skrydłem. Okres ten wymaga pogłębionej analizy historyków i — jak sądzę — będą jeszcze formułowane różne oceny tego czasu. Jedno jest pewne, że dla ludzi partii, którzy w tym okresie działali, nadrzędnym celem było dążenie, aby wszystkimi dostępnymi formami politycznego działania chronić partię przed rozbieleniem.

Jeden z historyków opisujących genezę i historię „Solidarności” z ubolewaniem tak przedstawił efekty naszego działania: „W Łodzi aparat partyjny umiejętnie uniknął starć formalnych i skanalizował dążenia struktur poziomych w utarte koleiny centralistycznej partii”.

Przed konferencją wojewódzką PZPR — miała ona miejsce w czerwcu 1981 roku, wybrany zostałem wówczas I sekretarzem KW — okazało się jeszcze raz, jak ważne są kontakty, akceptacja i utrzymywanie więzi ze środowiskiem, z którego się wywodzi. Organizacja partyjna wojewódzkiego macierzystego zakładu — „Gwardii Ludowej” — udzieliła mi jednoznacznego poparcia w wyborach. Na konferencji zostałem wybrany delegatem na Zjazd i na funkcję I sekretarza KW. (...)

— Czy w Pańskim życiu były jakieś osoby bądź istotne wydarzenia, które wywarły decydujący wpływ na osobowość?

— To, kim jestem, to chyba wynik mojej drogi życiowej. Życie mi się tak ciekawie układało, że znam wartość pracy na roli, bo jak potrzeba, to mogę wziąć kosę i pracować przy żniwach; wiem, jak ciężka jest praca robotnika na trzy zmiany w zakładzie przemysłowym. Nie pozuję na wielkiego naukowca, ale ten rodzaj aktywności też nie jest mi obcy. I nie wstydzę się żadnej z tych ról. Wręcz przeciwnie, szczerze się tym, że nie są mi one obce, bo przecież dotyczą poszczególnych okresów mojego życia.

Jest jeszcze jedna istotna sprawa. Zawsze mówię to, w co wierzę i do czego jestem autentycznie przekonany. W wielu spotkaniach z ludźmi staram się zawsze wczuć w to, co oni myślą, być razem z nimi, po ich stronie. To pomaga w rozmowach i utrzymywaniu kontaktów.

— Jak wyglądał powszedni dzień Czechowiczów?

— Chyba jak wielu rodzin w Polsce. Rano dokonuje zakupów, a żona przygotowuje śniadanie. Dzień pracy dla mnie kończy się przeważnie późnym wieczorem. Żona, która jest doktorem medycyny i pracuje jako kierownik poradni geriatrycznej, wcześniej wraca z pracy do domu. Zajmuje się młodszym synem, czyta, aby lekcje odrobił itp. Wieczorami w domu występuje przeżwanie w roli mediatora, wysłuchując „żałów” dzieci na matkę i odwrotnie. Jak dobry wuj na wsi.

Mam dwóch synów. Starszy ukończył na Politechnice Łódzkiej elektronikę i jest obecnie na trzecim roku handlu zagranicznego. Stara się o zgodę na kontynuowanie studiów w indywidualnym trybie, ponieważ rozpoczął pracę zawodową. Sprawili nam wiele radości. Jestem jak dotychczas dumny z niego, że to co w życiu osiąga, zdobywa własną pracą.

— Jest już Pan dziadkiem?

— Jak dotąd nie. Syn jest jeszcze kawalerem. Młodszy syn jest uczniem siódmej klasy szkoły podstawowej, prawdopodobnie jego droga życiowa będzie inna, ale uczynię wszystko, aby przynosił go do życia tak w rodzinie, jak i w społeczeństwie.

Zawsze traktowałem dom jako najważniejszą część mojego życia. Sukcesy zawodowe nie przesłaniały mi nigdy problemów domowych. Osobiście uważam, że czasami warto zrezygnować z własnych chwilowych ambicji, żeby członkowie rodziny mogli osiągnąć osobiste sukcesy. Dlatego bardzo się cieszę, że żona zrobiła doktorat, że dzięki swojej pracy ma pozycję i autorytet w swoim środowisku. Po prostu pragnę szczęścia dla całej rodziny.

A dla wyczerpienia łubie w wolnych chwilach wypożyczam na działce, gdzie pracy różnorodnej, ale odprężającej jest dużo. Ponadto amatorsko zbieram banknoty i monety, abym mógł gdy dożyje wieku emerytalnego, oddać się naszej kolekcjonerki numizmatyka, na co obecnie — niestety — brak mi czasu.

Rozmawiali: ANDRZEJ KĘPIŃSKI ZBIGNIEW KILAR

Pod wpływem własnych przemysłów, odbywanych rozmów i lektury otrzymanych listów pewnego państwowego dziennikarstwa, spotkałem się z generałem armii Florianem Siwickim, wówczas szefem Sztabu Generalnego LWP, i przedstawiłem mu swój pogląd na z dnia na dzień zmieniającą się sytuację. Nie ukrywałem przed nim swoich niewesołych myśli i powiedziałem mu, że moim zdaniem jedynie wojsko jest w stanie położyć kres niszczycielskim procesom, które ogarnęły nasz kraj. W kilka lat później Siwicki komentując nasze ówczesne spotkanie dodał, że byłem pierwszym cywilem, który zjawił się w jego gabinecie z tego rodzaju sugestią. Jest rzeczą oczywistą, że moja ocena sytuacji i wnioski z niej płynące były znane szefowi sztabu.

W październiku zaczęła wzrastać liczba pogotowia strajkowych i strajków, w listopadzie osiągnęła swoje apogeum. 4 października w krosnienkiej fabryce amortyzatorów „POLMO” otwarto został konflikt, który trwał przez następne dziesięć dni. Zakładowa „Solidarność” na bramie wejściowej wywiesiła hasło „Do pracy przez „Solidarność”. Wkrótce potem zawisło pod nim inne hasło, które brzmiało: „Najwini wierz, że...”. Uczynił to Józef Topolski, przewodniczący Rady Zakładowej Związku Zawodowego Metalowców, który zresztą następnego dnia zdjął napis. To jednak nie zadowoliło „Solidarność”. Przewodniczący Komisji Zakładowej żądał od kierownictwa „POLMO” usunięcia z zakładu osób odpowiedzialnych za wywieszenie hasła. W razie niespełnienia tego żądania, „Solidarność” zapowiedziała strajk w dniu 13 października. 7.X. do pokoju, w którym pracował J. Topolski, weszło trzydziestu mężczyzn i zażądało od niego dobrowolnego wyjścia na zewnątrz budynku. Topolski posłuchał wezwania. Po zjawieniu się przed budynkiem został osadzony na ławce wysłanej listem, przykrytej zielonym sukienem i wywieziony poza teren fabryki. Towarzyszyli mu okrzyki, z których najgłośniejszy brzmiał „Piłnuj skurwysyna”. W kilka lat później incydent ten posłużył Romanowi Wionczkowi za temat do filmu „Godność”.

Incydent w krosnienkim „POLMO” był wyjątkowo obrzydliwy. Jan Simon, sekretarz Zarządu Głównego Związku Zawodowego Metalowców w liście skierowanym do premiera scharakteryzował sylwetkę Topolskiego. Człowiek ten nigdy nie był działaczem związkowym. W sierpniu 1980 roku wszedł w skład komitetu strajkowego i zajmował się sformułowaniem i uporządkowaniem postulatów zgłaszanych przez załogę. Po przedstawieniu propozycji uznania pierwszego strajku za ostrzegawczy i zawieszenia jego dalszej części w zależności od realizacji zgłoszonych postulatów, został usunięty z komitetu strajkowego. Ówczesny przewodniczący Rady Zakładowej ZZZM wraz z całą Radą przeszedł do „Solidarność”. Rozpoczął się okres nagonki na brankowców, których zostało w zakładzie 60. W marcu 1981 roku przewodniczący Rady Zakładowej, Arelt był już na tyle wyzerpany, że zrezygnował, i wówczas jego miejsce zajął Topolski, lat 56, inwalida, z 40-letnim stażem pracy. Tak właśnie człowiek został wywieziony na ławce za bramę fabryki. Nie wiem, co myślał dziś ci, którzy nienawistnymi spojrzami obdarzali wywołanego Topolskiego, ale nie oni są głównymi sprawcami tego zdarzenia, lecz faktyczni stępcy i organizatorzy kampanii nienawiści. Na surową krytykę zasłużył dyrektor zakładu, który wypowiedział pracę Topolskiemu motywując to niemożliwością zapewnienia mu bezpieczeństwa osobistego oraz tym, że dalsza jego obecność w zakładzie „powoduje napięcie i niepokój wśród załogi”. Dyrektor podjął tę decyzję pod naciskiem upojonych sukcesem szefów zakładowej „Solidarność”, przy przyzwoleniu Rady Zakładowej ZZZM, a także... Komitetu Zakładowego PZPR. Józef Topolski zgłosił sprawę do Prokuratury Rejonowej w Krośnie, która wszczęła śledztwo. List Simona do premiera spowodował wydanie, oczywiście z jego inicjatywy, oświadczenia rzecznika rządu, w którym surowo osądzono został moralny i społeczny aspekt tego, co zaszło w „POLMO”. Niestety, zanarciarzowane elementy w „Solidarność”, a chyba i kierownictwo Związku nie zwróciły uwagi na pewne zdanie zawarte w oświadczeniu. Brzmiało ono: „Bezprawie, okrucieństwo moralne, samosądy i chuligaństwo zostaną, nawet jeśli, jeśli zaizoluje tego potrzeba, zatrzymane przez brami polskie zakładów pracy”. Minister hutnictwa i przemysłu maszynowego zawiesił w czynnościach dyrektora zakładu.

W pierwszej dekadzie października miejscem kolejnego napięcia stał się Żyrardów, miasto przemysłu włókienniczego. Miejsce „Solidarność” uznała, że rzeczywiście pogarszające się zaopatrzenie w żywność, a szczególnie w mięso, należy wykorzystać dla zorganizowania akcji protestacyjnej. Wobec groźby strajku, 12 października do Żyrardowa udała się delegacja rządowa pod przewodnictwem ówczesnego wiceministra handlu wewnętrznego i usług Marka Holdakowskiego. Jego rozmówcami byli przedstawiciele komisji zakładowych „Solidarność” województwa skierniewickiego oraz regionów „Mazowsze” i „Ziemia Łódzka”. Nie przyjęli oni do wiadomości stanowiska delegacji rządowej, że nie jest możliwe zmniejszenie założeń w dostawach mięsa i jego przetworów z trzeciego kwartału i pierwszej dekady października bez poprawy skupu żywca. W odpowiedzi, w większości kobieca załoga Żyrardowskich Zakładów Tkanin Technicznych, przystąpiła do strajku protestacyjnego, mimo że wicepremier Stanisław Mach już kilka dni wcześniej oświadczył, że kieruje do województwa dodatkowo 60 ton mięsa, co oczywiście nie likwidowało istniejących niedoborów. W tym czasie polityka na szczeblu rządu sprowadzała się niejednokrotnie do kilkunastu lub kilkudziesięciu ton mięsa. W kilka dni później strajkowały już wszystkie załogi wielkich zakładów pracy Żyrardowa. Strajki w Żyrardowie trwały do 5 listopada. W dziesięć dni ich trwania „Trybuna Ludu” poinformowała: W dobie kryzysu strajkownicy dodatkowo już 200 mln zł rękawic zostało zubożono o pół miliona metrów tkanin, 15 tysięcy kurtek męskich, 500 tysięcy par rajstop, pończoch i skarpet. W strajki Żyrardowskie byłem beznadziejnie zamieszany. W trzeciej dekadzie października przysłałem delegację strajkujących zakładów której członkowie przekonywali mnie, że u podłoża strajku leży przyczyna wyjątkowo ekonomiczna. Ich zdaniem ktoś jakby świadomie stosował wobec Żyrardowa systema-

tyczną dyskryminację w zakresie zaopatrywania miasta w żywność. Próba przekonania moich rozmówców, że o żadnej dyskryminacji mowy być nie może, nie została uznana za przekonującą. Moi rozmówcy z uporem powtarzali, że wśród kobiet zatrudnionych w Żyrardowskich zakładach pracy istnieje poczucie głębokiej krzywdy. Coż mogłem na to odpowiedzieć? Praktycznie rzecz biorąc nie, co mogłoby przekonać moich rozmówców. Powiedziałem, że rozumiem Żyrardowskie kobiety, znamy ich trudne warunki codziennego bytu, ale pogarszanie się zaopatrzenia w podstawowe produkty żywnościowe było w tym czasie zjawiskiem powszechnym.

Delegacja strajkujących załóg uzasadniając swą ocenę, że strajk ma charakter wyłącznie ekonomiczny, zarzucała rządowi, iż świadomie, z rozmysłem nadaje mu znaczenie polityczne. Czy zarzut ten był uzasadniony? Na pewno nie, ponieważ strajk Żyrardowski był upolityczniony nie przez nas i także nie przez kobiety, ale przez „Solidarność”. Dla uzasadnienia tego, co powiedziałem, powołałem się na jeden przykład.

Czasy nadziei i rozczarowań

Lubogóra była upokarzającym widowiskiem

MIECZYSLAW F. RAKOWSKI

22 października I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR i prezydent miasta podjęli nie pierwszą próbę bezpośrednich rozmów ze strajkującymi. Był to daremny wysiłek, ponieważ zgodnie z decyzją Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego nie zostali wpuszczeni do „Podresu”, „Stelli” i Zakładów Tkanin Technicznych. Co się tyczy tych ostatnich, to w pewnej chwili stanęliśmy w obliczu niezwykle dramatycznej sytuacji. Strajk w tych zakładach groził uniemożliwieniem... kopań. A to z tego powodu, że zakłady te jako jedyne w kraju produkują taśmy do transporterów, na które sypie się węgiel ze ślony. Polskie górnictwo zużywa ogromne ilości tych taśm. Przypominam sobie, że poczuł się bardzo nieswojo.

Do strajku załóg Żyrardowskich zakładów pracy wrócił się także Lech Wałęsa. 27 października zjawił się w Żyrardowie i oświadczył kobietom, że uważa ich strajk za uzasadniony, natomiast strajk w Lubogórze, do którego powrócił, uznał za nieuzasadniony. Powiedział też, że zbliża się finał rozgrywek, albo zwycięzcy, albo nas pokonają. Nie pochwalał jego akceptacji strajku Żyrardowskiego, który przyniósł jedynie kolejne straty w produkcji i przyczynił się do wzrostu ogólnego napięcia w kraju, pomyślałem sobie: no, przynajmniej w sprawie Lubogóry zajął rozsądne stanowisko. Jakież było moje zdumienie, gdy przeczytałem w prasie relację z pobytu Lecha Wałęsy w Zielonej Górze. Zjawił się tam trzeciego listopada. Przed tłumem, który wypełnił amfiteatr wygłosił... pochwałę strajku w Lubogórze. Tak był Wałęsa.

Od połowy października rozpoczął się także ruch strajkowy w województwie tarnobrzskim. 15 października Regionalny Komitet Strajkowy NSZZ „Solidarność” Regionu „Ziemia Sandomierska” ogłosił pogotowie strajkowe w całym województwie. Do Tarnobrzka wyjechał rządowy zespół roboczy. Nie mógł on przyjąć postulatów wysuniętych przez RKS, który m. in. domagał się poprawy zaopatrzenia w żywność, dokonania zasadniczego przełomu w budownictwie mieszkaniowym oraz wyłączenia konsekwencji wobec władz administracyjnych, które obarczyło odpowiedzialnością za pogłębianie się kryzysu. Była to z pewnością demagogia. 21 października rozmowy zostały przerwane na skutek tego, że żadne argumenty wysuwane przez negocjatorów rządowych nie były przyjmowane. Rządowy zespół roboczy, którym kierował ówczesny wicepremier Andrzej Jędrzak, udał się do Warszawy w celu przedstawienia nam swojej oceny sytuacji i uzyskania wskazówek co do dalszego postępowania. RKS wyznaczył nowy termin rozmów już na 22.X. Ponieważ zespół rządowy nie przybył w wyznaczonym terminie, RKS ogłosił od 23.X. strajk w całym Regionie. Strajkowi także zagroziły siarkowe. Z dnia na dzień malał eksport siarki, jedno ze źródeł dopływu dewiz. Strajk powszechny w województwie tarnobrzskim kosztował gospodarkę narodową wiele milionów złotych. Postulaty wysunięte przez kierownictwo Regionu nie zostały przez nas w pełni przyjęte, ponieważ były one w tym czasie po prostu nierealne. Czy organizatorzy strajku powszechnego w Tarnobrzku o tym nie wiedzieli? Jestem pewien, że dobrze orientowali się w sytuacji, bo przecież nie byli dziećmi, ale był to już okres totalnego natarcia na państwo.

Strajk w województwie tarnobrzskim znalazł swoje odbicie na posiedzeniu Sejmu, które odbyło się 30 i 31 października. W czasie debaty o najwyższych dla narodu sprawach, głos zabral poseł Zdzisław Malicki. Jego przemówienie trwało zaledwie cztery minuty, ale było niezwykle dramatyczne. „Staję przed Wami, powiedział, pełen smutku i rozpacz. Przybyłem z regionu tarnobrzkiego, gdzie panuje straszny spokój. Spokój milczących maszyn, pustych pieców martenowskich, zamiatanych sztyw strajkowych. Spokój, smutek i rozpacz tysięcy pracowników niepewnych rąci, przyszłości, udręczonych warunkami codziennego życia. Ponad tygodniowy strajk powszechny budzi coraz bardziej świadomość, że jest to droga do nikad. Strajk, prowadzony w imię poprawy zaopatrzenia, może być tylko pogorszyć”. Malicki podawał także straty, jakie strajk przynosi gospodarce narodowej: Tylko w jednym kombinacie „Siarkopol” w Tarnobrzgu w czasie 7-dniowego strajku nie wyprodukowano 30 tys. ton nawozów fosforowych, co znaczy nienawożenie pół miliona hektarów pól uprawnych. Straty w eksporcie siarki wyniosły 5 mln dolarów. Każdy następny dzień strajku przynosił dalsze 700 tys. dolarów strat. Na skutek strajku, w kombinacie Stalowa Wola dzienne straty sięgały 40 milionów złotych i około 1 mln dolarów w eksporcie.

Zarówno strajk w województwie tarnobrzskim jak i strajki w różnych rejonach kraju działały na mnie deprymująco. Tuż po zakoń-

czeniu posiedzenia Sejmu wyjechałem do Sie-radz, by uczestniczyć w naradzie aktywu partyjnego województwa, z którego byłem posłem. W zakończeniu swego wystąpienia powiedziałem, że „przeciwko bombarduje nas ze wszystkich stron i to nie tylko partie, ale także podstawy państwowości polskiej. Siłą temu przede wszystkim wyniszczające strajki organizowane przez „Solidarność”. A moim zdaniem ten, kto w obecnej sytuacji organizuje strajki, jest po prostu wrogiem narodu”. Dziś, po upływie już prawie pięciu lat od chwili, gdy to powiedziałem, pozostaje przy tej ocenie.

— Powiedziałem, że powrócę do strajku w Lubogórze...

Tak, ponieważ było to jedno z najbardziej zdumiewających i szokujących wydarzeń, z którymi mieliśmy do czynienia w 1981 roku. Zakład Rolny Państwowego Gospodarstwa Rolnego Lubogóra położony jest w województwie zielonogórskim. Na początku października przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”, kierownik Zbigniew Kłosowski został zwolniony z pracy. W ten sposób otwarto został

(10)

wielki konflikt, który objął swym zasięgiem całe województwo. Chronologicznie rzecz przedstawia się następująco. Dyrektor zakładu, Henryk Lesniewski, posługując się listą płac obliczył, że liczba członków „Solidarność” w Lubogórze i w dwóch podległych mu gospodarstwach spadła do 180 osób, i w związku z tym zlikwidował etat przewodniczącego zakładowej „S”. Dyrektor postąpił zgodnie z przepisami, zgodnie z którymi etat przysługiwał każdej organizacji związkowej liczącej ponad 250 członków. Na ten właśnie przepis powoływali się w roku 1981 zakładowi przywódcy „Solidarność”, gdy założyli sobie za cel utrudnianie życia branzowcom. Był to jeden z klasycznych przykładów obrotowego posługiwania się prawem. Jeśli było ono wygodne dla „Solidarność”, to chętnie nim się posługiwano, jeśli nie, lamano je bezlitośnie. Kłosowski po cofnięciu mu etatu został uprzejmie poproszony przez dyrektora o powrót do pracy jako kierownik. Ten dwudziestoparoletni chłopak wcale o tym jednak nie myślał. I wtedy dopiero dyrekcja rozważała z nim umowę o pracę, zarzucając mu „porzucenie pracy”. Słuszność tego argumentu była później poddawana w wątpliwość, także przez komisję resortową. Nie chcę się wdawać w rozważania na ten temat, ale przy każdym roztrząsaniu sprawy Lubogóry należy pamiętać, że to Kłosowski był pierwszym, który nie uśzanował prawa, to on je naruszył, a nie dyrektor. Kłosowski stanął na czele Zakładowego Komitetu Strajkowego, jego zastępcą został Henryk Potoczny. Obaj paradowali ze znaczkami KPN przypiętymi do kłapy. Potoczny nazywano spadochroniarzem, ponieważ do Lubogóry zjechał z Gdańska przed niecałym rokiem.

13 października Komisja Zakładowa „Solidarność” ogłosiła strajk ostrzegawczy. Już następnego dnia Komitet Strajkowy w Lubogórze został powołany, jego wojewoda upoważnił dyrekcję Świebodzińskiego Kombinatu Rolnego do prowadzenia rozmów i wyjaśnienia spraw spornych w zakładzie. Rozmowy te prowadził dyrektor kombinatu, inż. R. Skwira. 19 października rozmowy zostały przerwane, ponieważ Międzyzakładowy Komitet Strajkowy wysunął żądania, których Skwira nie mógł spełnić. Jako ciekawostkę warto odnotować, że członkiem MKS był m. in. sprawca konfliktu, Kłosowski. MKS zażądał przywrócenia do pracy Kłosowskiego, zdjęcie ze stanowiska dyrektora Henryka Lesniewskiego, jego zastępcy Marka Kobersteina, a także głównego mediatora, Ryszarda Skwirę. MKS zażądał także zapłacenia uczestnikom strajku wynagrodzenia jak za urlop wypoczynkowy. W dzień później MKS otrzymał telex od ówczesnego wojewody zielonogórskiego Zbigniewa Cyganka, który informował, że Kłosowski został decyzją dyrektora kombinatu przywrócony do pracy, „a tym samym usunięto główny powód konfliktu...”. Rzecz jednak w tym, że Lubogórze „Solidarność” oraz panom z Zarządu Regionu chodziło o coś więcej niż o Kłosowskiego. Chcieli pokazać, kto w Polsce jest panem, a więc należało wymsić na władzę zwolnienie trójki dyrektorów. Wszystkie rozsądne propozycje zgłaszane przez wojewodę jak np. przekazanie sprawy Okręgowemu Sądowi Pracy i Ubezpieczeń Społecznych, powołanie komisji mieszannej złożonej z przedstawicielami stron uczestniczących w konflikcie i inne zostały odrzucone. Przeciwno Lesniewskiemu wysunięto 72 zarzuty, które były bezpodstawne, wręcz śmieszne.

Propozycje zgłaszane przez wojewodę były odrzucane, ponieważ władze Regionu długo oczekiwały na okazję, by obalić pogląd, że zielonogórska „Solidarność” jest spokojna i nie prowadzi świętej wojny z władzą. Lubogóra stworzyła okazję do zaprzeczenia tej opinii. Zarząd Regionu zamienił się w regionalny komitet strajkowy. W ruch została puszczona wielka machina propagandowa. Całe województwo zostało postawione na nogi. Regionalny Komitet Strajkowy, na znak solidarności z Lubogorą, w drugiej połowie października przystąpił do organizowania strajków ostrzegawczych, które wkrótce przerodziły się w strajki ciągłe. Od 22 października zaczęła zamierać produkcja przemysłowa w województwie zielonogórskim. Na ponad 500 zakładów strajkowało 125, a więc mniejszość, ale były wśród nich giganty. Dzielne straty obliczano na ok. 180 mln złotych. Strajki w województwie zielonogórskim trwały do 12 listopada. Zakończyły się osiągnięciem porozumienia, polegającego na tym, że „Solidarność” na najbliższej sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej przedstawi swe stanowisko, a jej przewodniczący skieruje sprawę Lubogóry do kompleksowej kontroli przez odpowiednie organa państwowe. Oznaczało to, że szefowie Regionu oraz wykonawcy ich woli w Lubogórze nie zdołali postawić na swoim. Nie udało się im osiągnąć zamierzonego celu, to jest udowodnienia społeczności zielonogórskiej, że faktyczną władzę w Polsce sprawuje „Solidarność”.

darność”.

To, co powiedziałem o Lubogórze, jest jedynie maleńkim fragmentem tej sprawy. Hasło Lubogóra czeka na solidne reportersko-analityczne opracowanie. Dziennikarka „Gazety Lubuskiej”, Alicja Zatrzybówna, znakomita reporterka, która Lubogorę ma „w małym palcu”, już o niej pisała i jest osobą najbardziej predestynowaną do napisania takiego dzieła. Jest ono potrzebne, bowiem Lubogóra była upokarzającym widowiskiem dla tych wszystkich Polaków, którzy cenili poszanowanie prawa,ładu i porządku oraz są wrogami sobiepaństwa, anarchii i wybujałych ambicji osobistych. Lubogóra, podobnie jak Karłino, mogłaby być znakomitą tematem filmowym.

Może jeszcze przez chwilę pozostaniemy przy tym niezwykłym zdarzeniu. Otóż konieczne jest zwrócenie uwagi na fakt, że strajk w Lubogórze nie miał powszechnego charakteru. Załoga Lubogóry była podzielona: strajkujący byli w mniejszości. Na około 600 osób zatrudnionych w Lubogórze i ponad 2800 w Świebodzińskim Kombinacie PGR, do którego należała Lubogóra, strajkowało 117 osób. W Lubogórze NSZZ Pracowników Rolnictwa miała silną pozycję. Nie żył jednak nikomu, by doznał tych przeżyć, które stały się udziałem członków tego związku. „Solidarność” nacierała na nich ostro, nie przebiegając w środkach. Tworono wokół nich atmosferę potępienia. Zarząd Regionu rozwinął w całym województwie wielką akcją propagandową, której istotą była próba wykazania, że ci, którzy nie akceptują stanowiska zajętego przez Lubogórską „Solidarność”, są gorszymi Polakami. Z rozmysłem, świadomie zasiewano w załogę ziarna nienawiści. Pegawerowcy, wczoraj jeszcze zgodnie pracujący na polach, zaczęli patrzeć na siebie wrogo. Tym, którzy byli przeciwko strajkowi przeskazywano pracować. Przeciwnicy strajku bezradnie musieli się przyglądać, jak na polach niszczyły plody ich pracy. „Solidarność” w Lubogórze, a także w wielu innych miejscowościach Polski, z determinacją realizowała hasło: „Kto nie z nami, ten jest naszym wrogiem”.

Tak jesienią 1981 roku wyglądała ta „samograniczająca się rewolucja”. Owszem, jeszcze nie przetrącano kości, ale już słowosławo przemocy fizycznej, bo przecież wywiezienie na ławce Tafeński i Topolskiego, niedopuszczanie przeciwników strajku w Lubogórze na pola dla zebrania leżących tam i niszczących plodów nikt chyba, kto zdrow na umyśle, nie zaliczył do działań mieszczących się w sferze nacisków natury moralnej, psychologicznej itp. Trudnawo „Solidarność” powinni byli posłuchać opinii Lubogórskich członków NSZZ Pracowników Rolnictwa o tym, jak zachowywali się ich niedawni, zgodnie współpracujący z nim kole-dzy. Być może po wysłuchaniu ich zmieniliby zdanie i pomyśleli o swojej odpowiedzialności, bo przecież, czego jak czego, ale inteligencji nie można im było odmówić. Cóż jednak doradców i ekspertów podsuwających rozpalony głowem w „Solidarność” oraz to nowe argumenty do walki z reżimem obchodzili Lubogórscy chłopcy? Wolno założyć, że ich przeżywa-bry im obojętne. Oni prowadzili wielką grę, zdawało im się, że jeszcze trochę, jeszcze kilka kroków i spełnią się ich sny. Im dłużej zastanawiam się nad „Solidarnością”, tym bardziej uświadomiłem sobie, że w przekonaniu, że eksperci i doradcy ponoszą główną odpowiedzialność za to, iż zrodzony z uzasadnionego protestu robotniczego nowy ruch związkowy został wciągnięty na ślepy tor. Kiedy dziś słyszę tych doradców upominających się o to, aby potraktowano ich jako partnerów, mam ochotę głośno zawołać: „Milczcie, nie macie moralnego prawa wolać o dialog, bowiem to wy odpowiadacie za zniszczenie nadziei, jakie ludzie pracy wiali za „Solidarność”. No, ale dość o doradcach i ekspertach. Powróćmy jeszcze do Lubogóry.

Poświęcę kilka uwag członkom Związku Zawodowego Pracowników Rolnictwa, ponieważ zetknąłem się z nimi w ostatnich dniach października 1981 roku. Delegacja Związku zjawiała się w Warszawie i skierowała swe kroki do gmachu KC. Przyjechali do Warszawy po moralne wsparcie. Nie pamiętam, kto z gmachu powiadomił mnie o przyjeździe delegacji, dość, że wkrótce potem zjawiłem się w nim i przez kilka godzin słuchałem opowieści członków delegacji o tym, co się dzieje w Lubogórze. Byli to ludzie już mocno zmęczeni, ale bynajmniej nie zrezygnowani. Nie opuszczali ich wola walki, ale chcieli wiedzieć, czy mogą liczyć na nasze poparcie. Zabrałem głos i zapewniłem ich, że mogą spokojnie powrócić do Lubogóry, ponieważ nie ustąpiły przed żądaniami przewodników strajku. I tu dochodzi do swojej roli w konflikcie Lubogórskim. Otóż uczestniczyłem w nim, choć z oddalenia, od początku do końca. Z wojewodą, Zbigniewem Cygankiem pozosta-wałem w stałym kontakcie. Bywało, że telefonowałem do niego późną porą, grubo po północy. Cyganek trzymał się mocno i nie zamierzał ustępować. Wykazał duży hart ducha i wielką odporność. A przecież jego pozycja nie była godna pozazdroszczenia, bowiem był obiektem wściekłego ataku ze strony szefów Regionu. Jest oczywiste, że domagało się jego ustąpienia. Do takich żądań bliwśmy już przyzwyczajeni.

Podtrzymując na duchu Lubogórskich przeciwników strajku, umacniając Cyganika, a w gruncie rzeczy i siebie w przekonaniu, że nie wolno ustępować, nie ukrywam, że w pewnej chwili i mnie ogarnęły wątpliwości. Na nieustępliwość w Lubogórze można było sobie pozwolić, bo w końcu straty materialne spowodowane strajkiem w jednym Państwowym Gospodarstwie Rolnym nie mogły zachwiać całą gospodarką, ale sytuacja ulegała zasadniczej zmianie, gdy Zarząd Regionu zorganizował strajk w przemyśle całego województwa. Przy-taczałem już dzienne straty, jakie zaczęła ponosić gospodarka narodowa, a więc — zadawałem sobie pytanie — czy słuszne jest trwanie w uporze? W końcu wyrażenie zgody na zwolnienie kilku dyrektorów jest mniej kosztowne aniżeli uniemożliwienie produkcji przemysłowej w jednym województwie. Ale, była i druga strona medalu. Przyczyny, które legły u podstaw ogłoszenia strajku faktycznie powszechnego, w całym województwie były tak absurdalne, że ustępstwo wobec żądań organizatorów strajku zielonogórskiego byłoby szczytym oportunistycznym. Myślę więc, że słusznie wybrał się stanowiący sprzeciw. Rząd uznał, że w tym przypadku nie ma innego wyjścia.

C.D.N.

Momenty przełomowe w dziejach, ważne daty historyczne mają to do siebie, że stają się widoczne z perspektywy czasu, z oddalenia. Dziś na przykład zupełnie inaczej widzimy 3 maja — jako dzień upamiętniający Konstytucję z 1791 roku. Nie przeciwstawiamy sobie — jak to czyniono pod koniec XIX i na początku XX wieku — 3 maja i majowi i odwrótnie. Już Alfred Lampe zauważył, że „nasz 3 maja jest nie przeciwstawieniem, lecz narodowym uzupełnieniem posiadającego ogólnoludźkie znaczenie i światowe obywatelstwo Święta Pierwszomajowego”. A przecież nie zawsze tak było i łatwo słowa Alfreda Lampego zapomniano. 3 maja 1971 roku to data, która upamiętnia próbę wyjścia Polski z impasu, ratowania upadającego państwa. Próba, co prawda nieudana, ale wskazująca kierunek działania i dla przyszłych pokoleń. Warto o tym i dziś pamiętać.

We wstępie do Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z 17 marca 1921 roku stwierdzono: „My, naród polski, dziękując Opatrzności za wyzwolenie nas z półtorawiecznej niewoli, wspominając z wdzięcznością męstwo i wytrwałość ofiarnej walki pokoleń, które najlepsze wysiłki swoje sprawie niepodległości bez przerwy poświęcały, nawiązując do świetnej tradycji wiekopomnej Konstytucji 3 maja — dobro całej, zjednoczonej i niepodległej Matki-Ojczyzny mając na oku...”

Natomiast w Manifestie PKWN znalazło się takie sformułowanie:

„Dlatego Krajowa Rada Narodowa, tymczasowy parlament narodu polskiego, powołała Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego jako legalną tymczasową władzę wykonawczą dla kierowania walką wyzwolenczą narodu, zdobycia niepodległości i odbudowy państwowości polskiej.

Krajowa Rada Narodowa i Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego działają na podstawie konstytucji z 17 marca 1921 roku, jedynie obowiązujące konstytucji legalnej, uchwalonej prawnie”.

„Manifest do narodu polskiego” i komunikat o powstaniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego odczytano 22 lipca 1944 roku w wyzwolonym Chełmie Lubelskim w audycji radiowej Związku Patriotów Polskich w ZSRR o godzinie 10.45. Dokumenty te zostały też rozplakowane. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że ich twórcy zdawali sobie doskonale sprawę z ich historycznego, przełomowego znaczenia. Oto na wyzwolonych terenach Polski powstawała władza, która miała urzeczywistnić wielkie marzenia o władzy ludu.

„Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, przystępując do odbudowy państwowości polskiej, deklaruje uroczystie przywrócenie wszystkim swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli bez różnicy ras, wyznania i narodowości, wolności organizacji politycznych, zawodowych, prasy, sumienia. Demokratyczne swobody nie mogą jednak służyć wrogom demokracji”.

Czy jednak zdawano sobie sprawę, że oto zaczęła się w historii Polski nowa epoka?

JAK WTEDY BYŁO?

Co działo się? Jakle ścierały się koncepcje?

Przypomnijmy więc, że w zimowym natarciu wojsk radzieckich wyzwolona została niemal całkowicie Ukraina, ale nadal w rękach niemieckich pozostawała Białoruś. Prawe skrzydło i Frontu Ukraińskiego zatrzymało się w rejonie Włodzimierza Wołyńskiego i Kowla, gdzie stykało się z południowym skrzydłem i Frontu Białoruskiego. Linia frontu biegła z rejonu Kowla na wschód wzdłuż Prypiet, pozostawiając Pińsk i Płoczkę po stronie niemieckiej. Tu skręcała na północ, wyruszając się w rejonie Żłobina, Bychowa, pozostawiając po stronie niemieckiej Mohylew, Orszę i Witebsk.

23 czerwca 1944 roku rozpoczęła się operacja białoruska, która doprowadziła do zniszczenia Grupy Armii „Srodek” i wyzwolenia Białorusi. 3 lipca 1944 roku rozpoczęła się operacja Iwosko-sandomierska i Frontu Ukraińskiego, a 17 lipca nastąpiło natarcie wojsk tego Frontu w kierunku na Brześć i Lublin. I Armia Polska stacjonująca w rejonie Kierca wzięła udział w walkach i wyzwoleniu ziem polskich.

W Moskwie w tym czasie przebywała delegacja Krajowej Rady Narodowej z Edwardem Osóbka-Morawskim i Michałem Rola-Zymierskim. Prowadzono rozmowy z działaczami Związku Patriotów Polskich i Centralnego Biura Komunistów Polskich, a także z szefem rządu radzieckiego Józefem Stalinem. 24 czerwca 1944 roku Zarząd Główny ZPP opublikował oświadczenie, że „uznaje Krajową Radę Narodową za prawdziwe przedstawicielstwo narodu polskiego” i wyraził przekonanie, że „Krajowa Rada Narodowa, skupiająca wszystkie siły demokratyczne w Polsce i poza jej granicami, zakłada tym samym podwaliny pod niepodległą, wielką, silną demokratyczną Polskę”. Powstała konieczność powołania w wyzwolonej Polsce władzy wykonawczej. Toczyły się więc rozmowy nad najlepszym rozwiązaniem tej kwestii.

Początkowo rozważano możliwość powołania Delegatury KRN dla terenów wyzwolonych, ale koncepcja ta szybko upadła, chociaż odbyło się 20 lipca 1944 roku pierwsze posiedzenie Delegatury KRN. Powołano organ prasowy „Rzeczpospolita”, którym kierować miał Jerzy Borejsza. Wieczorem tego dnia zdecydowano jednak, że powołać należy Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który miałby charakter rządu, ale bez uwidczniania tego w nazwie. Precedensy światowe — już były. W 1943 roku powołano Francuski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Powstał też Narodowy Komitet Wyzwolenia Jugosławii. Na czele PKWN stanął Edward Osóbka-Morawski.

21 lipca 1944 roku działacze Krajowej Rady Narodowej, którzy byli w kraju i nie mieli kontaktu z przebywającymi w ZSRR, na wieść o wyzwoleniu ziem polskich, wydali odezwę, w której stwierdzają, że „nadeszła chwila, by cały Naród Polski stanął do boju o swą wolność”. Wzywano robotników do przeciwdziałania niszczeniu fabryk i wywożeniu maszyn, partyzantów do przerywania linii komunikacyjnych i utrudniania odwrotu Niemców, a inne ugrupowania zbrojne do zaniechania „walki wzajem-

nych w chwili tak przełomowej dla Narodu Polskiego”. Autorzy tej odezwę nie wiedzieli jeszcze o powstaniu PKWN i jego Manifestie. Ale i ci, którzy wiedzieli o Manifestie PKWN, którzy zapoznali się z jego treścią, nie zawsze pojęli historyczny jego sens. Władysław Gomułka 1 stycznia 1947 roku, przemawiając w Łodzi podczas uroczystości wręczenia 50-tysięcznej legitymacji PPR, powiedział:

„Koncepcja nasza była zupełnie nowa, nie znana nigdy przedtem polskiej myśli politycznej. Jej założeniem było z jednej strony — śmiało i radykalnie rozwiązanie węzła gordyjskiego wiekowych sporów i zatargów między Polską a Rosją, a z drugiej strony — powrót Polski na Zachód, skąd przed wiekami wyrzu-

W kilka dni później.

„ZSRR przekazał Komitetowi Wyzwolenia Narodowego zarząd nad wyzwolonymi obszarami ziem polskich. Coraz większą rolę zaczynają odgrywać fakty dokonane.

Radio Moskwa o godzinie 20.15 nadało komunikat Związku Patriotów Polskich o przekazaniu do dyspozycji gen. Rola-Zymierskiego oddziałów Korpusu Bezpieczeństwa na ziemiach wyzwolonych przez ich komendanta płka „Tardawa” (Andrzej Petrykowski) oraz jego szefa sztabu płka „Rauicza” (inż. Leon Bakowski).

26 i 27 lipca 1944 roku powracają Niemcy do Warszawy. Powracają urzędnicy i przystępują do pełnienia swoich obowiązków. Wracają policja i oddziały SS. Rozpoczynają się represje

Dzień, który stał się świętem

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

cila ją przemoc i agresja germańska. Tej naszej koncepcji politycznej nie rozumiało początkowo nawet wielu demokratów, wielu ludzi dobrej woli. Umysł tych ludzi opancerzone był wiekową tradycją innej Polski, która to tradycja nie dopuszczała do nich myśli, aby można było zmienić bieg koła historii Polski i puścić je w ruch według naszej koncepcji. Nie będzie przesadą, gdy powiem, że większość narodu nie rozumiała początkowo naszej koncepcji politycznej nowej Polski. Mielśmy jednak odwagę bronić koncepcji, która zrodziła się z najgłębszej troski o Polskę i naród”.

W WARSZAWIE

obserwowano odwrót wojsk niemieckich. 20 lipca 1944 roku przerwano komunikację telefoniczną i telegraficzną z Lublinem oraz wstrzymano kursowanie pociągów do Lublina i Brześcia. Następnego dnia dotarła do Warszawy wiadomość o nieudanym zamachu na Adolfa Hitlera. Na ulicach miasta tłumy warszawiaków przysłuchiwały się brudnym, zmęczonym żołnierzom niemieckim, którzy w poplochu, tłumnie maszerowali na zachód.

Nie ustają akcje represyjne Niemców. W nocy z 21 na 22 lipca i 22 lipca 1944 przywieziono na Pawiak przeszło 100 aresztowanych osób, w tym blisko 30 kobiet. Niemcy czują się w Warszawie coraz mniej bezpiecznie. Felietonista „Robotnika” przytoczył dowcip małego gazetiarza, który na widok zasieków z drutu kolczastego w alei Szucha tak powiedział:

— „Patrz Stasiu, jakie fajne getto Niemcy dla siebie szklują”.

23 lipca 1944 roku radio Moskwa podało komunikat o dekreście Krajowej Rady Narodowej, o powołaniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego oraz odczytało tekst Manifestu PKWN. Radio londyńskie wiadomość o powstaniu PKWN i Manifestie PKWN podało dopiero 25 lipca 1944 roku.

Ulicami Warszawy, przez mosty Kierbedzia i Poniatowskiego maszerują, jadą wozami, konno żołnierze niemieccy w kierunku szosy modlińskiej. Od strony Radzymina i Otwocka słychać strzały armatnie. Ewakuuje się ludność niemiecka, pracownicy okupacyjnych instytucji i urzędów. Nocą nad Warszawą krąży radzieckie samoloty, oświetlają zawieszonymi na spadochronach rakietami miasto, ostrzeliwują i bombardują wycofujących się żołnierzy niemieckich.

Felicjan Majorkiewicz, oficer Komendy Głównej Armii Krajowej, w pamiętniku „Lata chmurne, lata dumne” zanotował: „Otrzymałszy wiadomość o ogłoszeniu Manifestu Lipcowego przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który został powołany 21 lipca 1944 r. przez Krajową Radę Narodową jako tymczasowy naczelny organ władzy wykonawczej”.

WALKA Z OKUPANTEM TRWAŁA NADAL

Walkę tę prowadzili oddziały partyzanckie różnych ugrupowań. Zgodnie z postanowieniem KRN naczelnym dowódcą Wojska Polskiego stał się gen. Michał Rola-Zymierski. Wojsko Polskie stanowiły teraz połączone oddziały Armii Polskiej i Armii Ludowej. Te oddziały AL, które znalazły się już na wyzwolonych terenach albo wstępowały do Wojska Polskiego i wchodziły do regularnych oddziałów WP, albo stały się oddziałami Milicji Obywatelskiej, a niektórych partyzantów delegowano do służby bezpieczeństwa. Natomiast oddziały Polskiego Sztabu Partyzanckiego i Armii Ludowej pozostające na terenach okupowanych stawały się partyzantkami i jednostkami Wojska Polskiego, choć nadal utrzymywały swoje dotychczasowe nazwy.

Walkę toczyły też oddziały Batalionów Chłopskich. 22 lipca 1944 roku oddział Batalionów Chłopskich z Puław pod dowództwem Romana Trubasa „Negusa” zaatakował na szosie warszawskiej na odcinku Żyrzyn — Jaworów grupę żandarmów. Oddział Czesława Zbudzkiego „Czarnego” zlikwidował w Łosicach — w obwodzie Siedlce — 14-osobowy oddział SS. W obwodzie Lubartów oddziały „Jordana” i „Chłopieckiego” zaatakowały wycofujących się Niemców, wzięto 80 żołnierzy niemieckich do niewoli, uszkodzono jeden czołg, zdobyto broń maszynową. W Szczekocinach, gdzie garnizon niemiecki liczył 450 ludzi, grupa oddziałów partyzanckich Batalionów Chłopskich, AL i AK pod dowództwem Józefa Sygiety „Jana” zaatakowała ten garnizon, ale musiano się wycofać. Niemcy bronili się zaciekle w murowanych domach i partyzanci nie mogli ich z nich wyprzeć.

25 lipca 1944 roku Kompania Zgrupowania Partyzanckiego Batalionów Chłopskich „Ośka” dowodzona przez Władysława Gołąbkę „Borynę” stoczyła walkę z kompanią SS, która szła pacyfikować wieś Janiszów w powiecie puławskim. Niemcy zostali wyparci i rozbici.

Walka toczyła się w różnych rejonach okupowanej Polski. Również na Śląsku, gdzie walczyć było trudno ze względu na liczną ludność niemiecką tam zamieszkuje. A przecież i tam powstały oddziały partyzanckie Armii Krajowej. Zygmunt Walter-Jane w książce „W Armii Krajowej na Śląsku” pisze:

„Okręg Śląski w 1944 r. liczył w swoich szeregach więcej niż 500 plutonów, powyżej 25

tysięcy ludzi, dysponował dobrą kadrami dowódczą, miał opracowane plany powstania powszechnego, gdyby zaistniały dla niego przychodne warunki, nie miał jednak niezbędnej dla podjęcia walki ilości sił, broni. Akcja zrutowa zakończyła się na Okręgu Krakowskim. Okręg Śląski nie dostawał prawie nic, zaledwie część jednego zrutowa w Beskidach, którego wartość została rozdzielona między oddziały partyzanckie inspektoratu bielskiego. Uzbrojeni byli tylko partyzanci w Okręgu i w broń krótką oddziały dywersyjne i osłony sztabów. Broni starczyło dla ok. 3000 osób. Była to z resztą broń wzięta Niemcom z ręki w czasie różnych działań bojowych. Amunicji do tej broni było niewiele”.

A przecież partyzanci Śląska przedsięwzięli wiele różnych akcji, rozprawiali się z agentami gestapo, z żandarmami, napadali na posterunki policji, na fabryki, uprawiali sabotaż. 25 lipca 1944 roku oddział AK podporucznika „Hardego” wraz z innymi oddziałami zaatakowały Wolbrom w celu zdobycia zapasów. Wyprawa udała się. Zdobyto wiele potrzebnych partyzantom rzeczy. Akcja trwała od 22.00 do 3.30.

FRONT ZATRZYMAŁ SIĘ NA WIŚLE

Wojska radzieckie przegrupowały siły, przygotowywano się do zimowej ofensywy. Upadło powstanie w Warszawie. Niemcy też przygotowywali się do walki. Na całym okupowanym obszarze zabierano mężczyzn do kopania okopów.

„Na einsantz zostałem wywieziony — wspomina Adam Głapa — najpierw w okolice Czempińska, a z początkiem września 1944 roku — w okolicę Plocka — Gostynina. (...) W okolicy Czempińska pracowaliśmy stosunkowo krótko, kopaliśmy rowy strzeleckie. Dla mnie praca fizyczna nie była taka ciężka, jak nieznosne warunki: z nieba lał się żar, ogromny upał, a z wykopanych rowów, w których trzeba było siedzieć przy pogłębianiu ich, wiał chłód. Po kilku dniach, podobnie jak wielu innych pracowników, zachorowałem na febrę, miałem temperaturę, na ustach i twarzy okropne strupy. Naturalnie w tym stanie nikt nas nie leczył. Musieliśmy pracować i wyznaczoną normę wykonać”.

Wanda Seidel i Kazimierz Deskur tak opisują ten czas: „Nadszedł listopad 1944 roku. Front, który poprzednio szybko posuwał się naprzód, teraz uknął w miejscu. Upadło Powstanie Warszawskie. Nie straciłszy wiatry w zwycięstwo, dla jego terminu zdawał się odsuwać znowu, kto wie, może do wiosny. Represje okupanta wzmacniały się z każdym dniem. Największym jego przejawem był einsantz. Rzesze polskiej młodzieży pognano na poniedziałek, zimo, głód, do pracy ponad siły przy kopaniu rowów przeciwpożarowych. Poszło wielu naszych kolegów i koleżanek. Żyliśmy w przynębie”.

Mimo ciągłych przesładowań okupanta ludzie nie tracili nadziei na zwycięstwo. Walka toczyła się nadal. Prowadzono ją we wszelki możliwy sposób. Nawet w obozach jenieckich, Józef Kuropieska w książce „Obozowe refleksje Oflag II C” opisuje różne formy tej walki. Wspomina też o wieściach z wolnej już części Polski. „Wielkim wydarzeniem, napędzającym radością członków naszej organizacji politycznej, było ogłoszenie Manifestu Lipcowego, dobrze przyjętego przez setki obozowiczów. Najbardziej cieszyli się przeciwnicy współpracy politycznej z Związkiem Radzieckim, przejmując wielce obserwować dalsze wydarzenia z przyjazną neutralnością”.

Józef Kuropieska wojnę spędził w słynnym Oflagu w Woldenbergu.

Na wyzwolonych obszarach rodziło się nowe życie. Niemal wszystko trzeba było zaczynać od nowa.

LUBLIN STAŁ SIĘ TYMCZASOWĄ STOLICĄ

którą wówczas nazywano „lubelską”.

Kazimierz Andrzej Jaworski — redaktor przedwojenny „Kamieni” przebywał w lipcu 1944 roku wraz z rodziną w Sawinie, małej osadzie niedaleko Chełma, położonej przy szosie wiodącej. Tu zastało go wyzwolenie.

„W trzy dni potem — wspominał — byłem z synem w Chełmie. Trafiłmy właśnie na niezapomnianą chwilę wkraczania Wojska Polskiego do miasta. Entuzjizm mieszkańców nie znał granic. Chyba wszystkie ogródki chełmskie zostały ogrodzone z kwiatów. W domu — kartka od Putramenta: kilka słów serdecznych, że chciał się zobaczyć ze mną, ale mnie nie zastał, jedzie dalej do Lublina”.

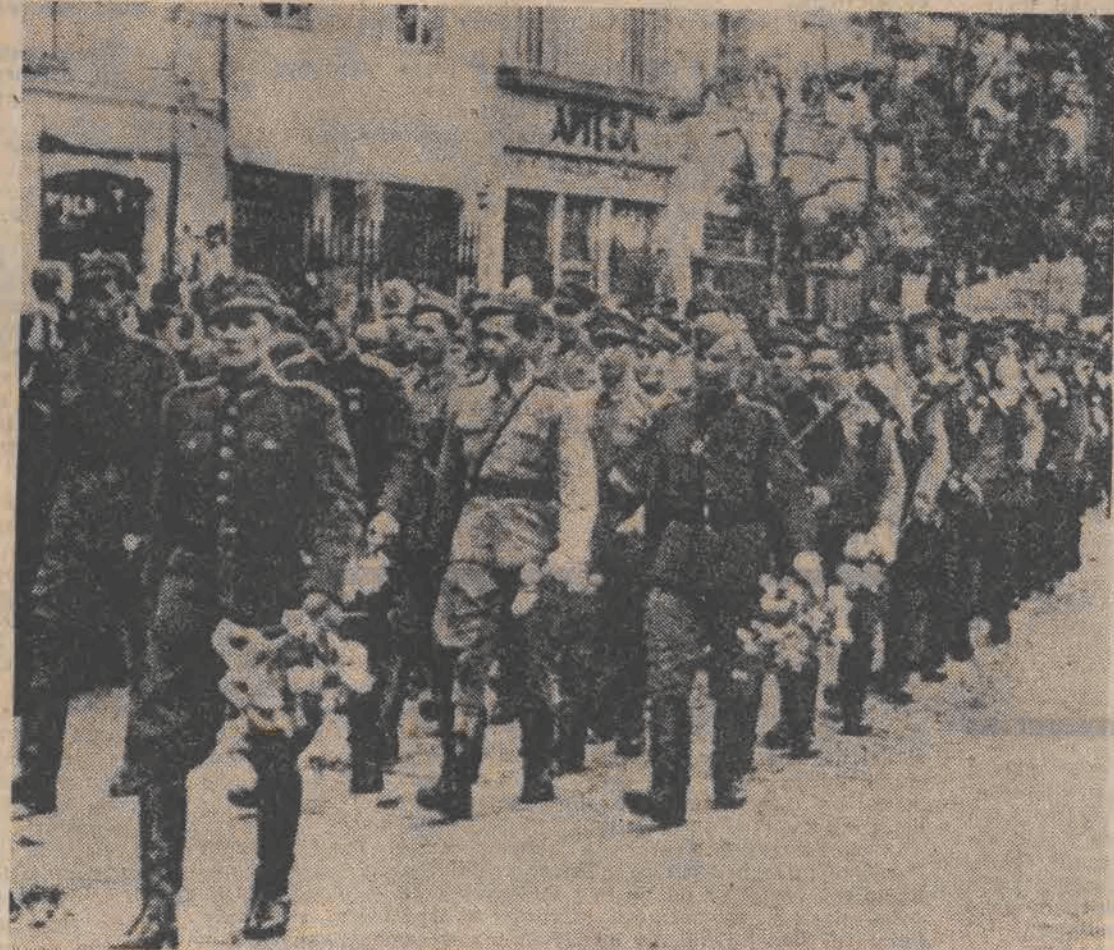
Do Lublina ciągnęli wszyscy. Tu była wolna Polska, tu rodziło się coś zupełnie nowego, nieznanego, tu można było odnaleźć siebie, wrócić do tego, co się dawniej robiło, albo zacząć robić to, o czym się marzyło.

„W Lublinie zjawili się w dwa lub trzy dni po jego wyzwoleniu — wspominał Ignacy Wit — Przywiózł mnie tutaj sztabowy willis spod zielonych i przyfrontowych Puław (...)

Lublin przywitał mnie znana od lat żołnierszowi atmosfera miasta, przez które dopiero co przejechał się front. Na ulicach leżało porzucone uzbrojenie, cuchnęła padlina końską i zapachem benzyny, rozciągany przez jadące b. przerwy na zachód czołgi i samochody. Na ulicach pełno ludzi ciszących się do maszyn, każdy niemal z jakimś podarkiem”.

Taki był początek nowej epoki, nowego rozdziału naszej historii. I jeśli może nie wszyscy potrafili zdać sobie z tego sprawę, zrozumieć złożoność nowego, nadechodzącego, to przecież uświadamiali sobie, że oto nadchodził inny świat...

Wszystko zaczęło się 22 lipca 1944 roku i dlatego dziś świętujemy ten dzień co roku choć idea tego nowego narodziła się dużo wcześniej i potrzeba było uporczywej walki pokoleń rewolucjonistów aby z zamysłu stała się rzeczywistością. Rzeczywistością wymarzącą ciągłego doskonalenia.



Płock zaliczany jest do grupy sześciu najbardziej zagrożonych miast w Polsce pod względem zanieczyszczenia wód i atmosfery. Woda pita przez mieszkańców Płocka czerpana jest z Wisły, do której wcześniej zrzucana była ścieki m.in. Kraków, Puławy i Warszawa. Za to pobliska Petrochemia bierze kryształową czystą wodę z ujęć głębinowych, która po nafaszerowaniu odpadami naftowymi, związkami siarki i żelaza, również wpuszcza do Wisły. Płock, podobnie jak Warszawa, nie ma przyzwoitej oczyszczalni ścieków. Od lat miasto żyje na krawędzi ekologicznej katastrofy.

SZOK

W piątek wieczorem z mętnej wody uciekły raki. Panicznie wspinały się na strumie brzozy, jakby wiślana woda parzyła je boleśnie. Był upalny dzień, temperatura w nurcie rzeki przekroczyła dwadzieścia stopni Celsjusza. Nikt nie podejrzewał, że ucieczka raków oznacza potworne skażenie Wisły. Katastrofa nastąpiła o świcie.

Sobota, 21 czerwca 1986 roku, odcinek Wisły między Murzynowem a Dobryniem, czternaście kilometrów za Płockiem. Wczesnym rankiem na brzeg wychodzą rybacy i zarzucają wędkę. Zwykle łowią tu okonie, leszcze, sandacze, a nawet węgorze. Wstaje dzień i odstania zbrodnia. Rzeka upstrzona jest białymi punktami, niektóre podrywają bliżej. To rybnie brzuchy! Woda unosi lawice śniętych ryb, tysiące martwych ciał.

Rybacy i mieszkańcy nadwiślańskich wsi alarmują władze gminne oraz milicję. Mówią o rzezi na Wiśle. Naczelnik Nowego Duninowa niezwłocznie kontaktuje się z Wydziałem Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Płocku, przekazuje pierwsze dramatyczne informacje. W rejon zatrutych udają się specjalne ekipy służb ochrony środowiska. Jest godzina siódma trzydziści.

Miasto i woda

Śmierć czyha pod Płockiem

ROMAN KUBIAK

Wszyscy są przerażeni rozmiarami katastrofy. Na ponad dwudziestokilometrowym odcinku Wisły jest martwa. Całkowicie wyginęły ryby, narybek, ślimaki, małże. Doraźne badania mikroskopowe ujawniają, że zabita została także mikrofauna i flora rzeki, ocalały jedynie pojedyncze glony.

Trwają analizy skażonej wody. Nie ulega wątpliwości, że Wisła została zarażona bardzo silną substancją toksyczną. Laboranci donoszą o zwiększonej zawartości amoniaku w badanej wodzie. Nie jest znane źródło skażenia ani rodzaj toksycznej substancji. Zadna fabryka nie zgłasza awarii oraz nie kontrolowanego wycieku śmieciowych chemikaliów. Skażona fala przesuwa się w kierunku Włocławka niosąc rybie trupy.

O godzinie jedenastej dyrektor Wydziału Ochrony Środowiska w Płocku ogłasza stan nadzwyczajnego zagrożenia środowiska. Zostaje powołany sztab operacyjny, non stop koordynujący akcje ratunkowe. Inspekcja sanitarna skrupulatnie bada wodę czerpaną z ujęć na Wiśle i pompowaną do sieci miejskiej. W sytuacji krytycznej na ulice wyjeżdżają beczkowozzy. Ale pod Płockiem Wisła nie zawiera już groźnych dla życia stężeń substancji toksycznych, więc ujęcia pracują normalnie. Mimo to ludność miasta coraz częściej zdradza oznaki niepokoju. Maleje pobór wody z kranów.

W sąsiednim województwie włocławskim czynione są przygotowania na nadejście skażonej fali. Wiślanym rybam nie można już pomóc, trzeba ratować ludzi i gospodarskie zwierzęta.

Radio i telewizja podają komunikaty o klęsce ekologicznej i zakazie czerpania wiślanej wody do picia i innych celów na obszarze jedenastu gmin. Zabrania się poboru i spożywania ryb z zatrutej rzeki. Naczelnicy gmin stale patrolują brzozy Wisły w nadziei odszukania sprawców potężnego skażenia. Bezskutecznie.

Tymczasem lawice śniętych ryb wolno płyną z nurtem rzeki. Zwłazy trupów zalegają w płytkich zatokach i na plażach. Słońce szybko rozkłada zwłoki, co grozi epidemią. Służby sanitarne odbierają liczne meldunki o tym, że okoliczna ludność wyławia martwe leszcze i okonie. Zatrute ryby pojawiają się na miejskim targowisku i w koszach handlarzy ustawionych przy ruchliwej szosie. Niektórzy rolnicy widmami zgarniają śnięte ryby, by karmić nimi trzodę. Na rzecze uwijają się rybaki-łodziarze. Nad trupami krążą żarłoczne rybity. Rzucają się na łatwe kąski i padają nieczym rażone gromem.

Natychmiast w rejon skażenia i ludzkiej bezmyślności wyruszają zmotoryzowane patrole MO. Z głośników podawane są ostrzeżenia i zakazy. Dramat widać gołym okiem, lecz mimo to stałe trzeba uświadamiać bezrozkosnych i stopować zachłannych. Na targowisku zatrzymano kilkunastu sprzedawców zatrutych ryb.

Od rana trwa systematyczna penetracja zalewu włocławskiego. Specjaliści badają próbki wód powierzchniowych, dennych oraz mułu rzecznej. Najsilniejsze zanieczyszczenie wystąpiło na terenach gmin Brudzin i Nowy Duninów. Granica obszaru skażenia przebiega na wysokości Murzynowa.

Już po pierwszych komunikatach radiowych swą pomoc oferują naukowcy z całego kraju. Wielu przybywa w rejon ekologicznej katastrofy, by wiedzą i doświadczeniem wesprzeć ratowników. Ichciolodzy oglądają martwe ryby i orzekają, że przyczyną śmierci były rozległe poparzenia płatków skrzeliowych nieznaną substancją chemiczną. W następstwie poparzeń aparatu oddechowego, ryby udusły się.

Większość obserwatorów przypuszcza, że zatrucie Wisły spowodował jednorazowy wrzut silnej substancji toksycznej, która w nagrzanej wodzie znakomicie rozwinęła swe zabójcze właściwości. Tylko hydrobiolodzy z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, po zakończeniu badawczej eskapady w teren skażenia oraz w oparciu o wcześniejsze wyniki analiz, zdecydowanie podtrzymują hipotezę, jakoby źródłem zarażenia były toksyny przemysłowe latami gromadzące się na dnie zbiornika włocławskiego. Teraz właśnie, przy niskim stanie wód i wysokiej temperaturze, toksyny owe mogły „wybuchnąć” z piorunującą siłą.

POSZUKIWANIA

Ponieważ rozmiary skażenia są ogromne, podejrzenia padają na największe zakłady przemysłowe regionu. Z grupy kilkudziesięciu notorycznych trucicieli przyrody, kilku najgroźniejszych typuje się do doraźnej kontroli. Sztab akcji odbiera liczne sygnały od spostrzegawczych obywateli. Ludzie wskazują potencjalne źródła skażeń. Wszystkie doniesienia sprawdzają ośrodki badań i kontroli środowiska. Gros domysłów i podejrzeń dotyczy Mazowieckich Zakładów Rafineryjno-Petrochemicznych.

Płocka Petrochemia systematycznie zlewa do Wisły tysiące ton swych odchodów. Już kilkakrotnie „nakarmiła” rzekę solidną porcją wybitnie paskudnych ścieków, co o mały wios nie za-

kończyło się podobną tragedią. Za sprawą Petrochemii Wisła cuchnie naftą. Za sprawą Petrochemii płockie powietrze jest gęste i szczypie w oczy. Kombinat jest największym po Hucie im. Lenina emitorem siarkowodoru i trzecim w kraju „producentem” odsylnego do atmosfery tlenku siarki.

W nocy z soboty na niedzielę dwa zespoły kontrolujące wchodzą na teren Petrochemii. Inspektorów szczególnie interesują niektóre instalacje rafineryjne. Sprawdzane są zapiski w dzienniku, który powinien zawierać dokładne dane o wszelkich zrzutach ścieków. Dowodów winy nie znaleziono.

Niedziela, 22 czerwca 1986 roku. Kilka niezależnie pracujących laborantów analizuje próbki wody ze skażonego nurtu. Nadchodzą zgodne wyniki: znacznie zwiększona zawartość amoniaku i aż sześciokrotny ubytek tlenku rozpuszczonego w wodzie. W takim środowisku życie biologiczne nie ma szans.

Mimo usilnych starań nadal nie udaje się jednoznacznie określić substancji, która uśmierciła Wisłę, ani też sprawcy mordu. Dane Centralnej Stacji Ratownictwa Chemicznego w Płocku głoszą, że w minionych dniach na obszarze dorzecza Wisły nie miały miejsca żadne wypadki mogące tak silnie zatruć wodę. Między Warszawą a Płockiem oraz przy ujściu niebawale zanieczyszczonej Bzury również nie wykryto stężeń trucizn przekraczających stan średni, co oznacza, iż truciciel ukrywa się pod Płockiem lub w najbliższej okolicy.

Po południu kierownictwo akcji otrzymuje wstępne wyniki analiz dokonanych w Zakładzie Higieny Weterynaryjnej. Naukowcy skłaniają się ku twierdzeniu, że bezpośrednim czynnikiem skażenia może być bardzo silny i rzadko stosowany herbicyd produkcji zachodniej o nazwie Noburon. Tym tropem idą zespoły kontrolujące. Inspektorzy oraz strażnicy ochrony przyrody wizytują duże gospodarstwa rolne dysponujące podobnymi środkami chwastobójczymi. W kilku z nich trafiają na kolosalny balagan i bezmyślność w obchodzeniu się z groźnymi truciznami. Na szczęście bez konsekwencji. Sprawca skażenia Wisły nadal jest bezkarny.

WYŚCIG Z CZASEM

Druga doba akcji nie przynosi spodziewanych rezultatów. Teraz istotną rolę odgrywa czas, bowiem słabnie stężenie trucizn, a wraz z nim nadziewa na odnalezienie winnego. W wyścigu z czasem sojusznikiem jest Aeroklub Ziemi Mazowieckiej, który bezpłatnie do dyspozycji sztabu oddaje samolot Zlin z pilotem. Droga powietrzna kolejne próbki cieczy i śnięte ryby trafiają

do Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie, gdzie poddawane są badaniom toksykologicznym. Analizy prowadzi równolegle pięć placówek naukowych. W pracach uczestniczą biochemicy, ichtiolodzy i toksykolodzy. Wszyscy niecierpliwie czekają na wyniki ekspertyz.

Poniedziałek, 23 czerwca 1986 roku. Sanepid ostrzega, że gnijące ciała ryb mogą łatwo wywołać epidemię. Usuwanie skutków katastrofy przebiega zbit wołno. Brakuje ludzi do prac porządkowych na brzegach Wisły. W rejon zagrożenia zostają skierowane oddziały Obrony Cywilnej. Naczelnicy gmin organizują ekipy porządkowe, samorządnie pomagają mieszkańcy. Łódzie spóźnieni rybacy CERTA wyławiają z rzeki śnięte, rozkładające się ryby. Będzie ich ponad sto ton. Na podstawie obserwacji szacuje się, że trucizna zabiła blisko dwadzieście ton ryb.

Inspekcja sanitarna, która czuwa nad jakością wiślanej wody pompowanej do miejskich wodociągów podaje optymistyczne komunikaty: skład fizykochemiczny w normie, systematycznie poprawia się czystość wód.

Wtorek 24 czerwca 1986 roku. Nadal brak rozstrzygających wyników ekspertyz, choć naukowcy pracują dzień i noc. W systemie analiz separacyjnych zostają włączone komputery. Udaje się jedynie wykluczyć skażenie fenolami, cyjankami i związkami rtęci. Wykluczono też substancje należące do dwunastu grup środków toksycznych. Ciągłe w zasięgu podejrzeń jest kilka tysięcy rozpoznańskich trucizn.

Nad przebiegiem prac badawczych i poszukiwaniem truciciela nadzoruje pełnomocnik ministra ochrony środowiska.

Sroda, 25 czerwca 1986 roku. Na dno zbiornika włocławskiego schodzą pletwonurkowie. Ich zadaniem jest penetracja osadu rzecznej, którego próbki zbadać specjaliści wojskowi. Pletwonurkowie bardzo starannie przeszukują te miejsce, gdzie ostatnio pracowali pogłębiarki. Istnieje bowiem przypuszczenie, iż maszyny mogły uszkodzić jakieś pojemniki z substancjami chemicznymi, które być może przed laty zatopiono w Wiśle. Ale żadnych pojemników nie odnaleziono.

Nauczni świadkowie donoszą, że pod Płockiem znów pojawiły się ryby. Żywe.

Czwartek, 26 czerwca 1986 roku. W pobliżu Wisły, niedaleko wsi Skoki dzieci znalazły kilkadziesiąt martwych ptaków. Większość z nich to rybity, które najprawdopodobniej żyły się zatrutymi rybami. Ciała ptaków będą poddane analizom toksykologicznym.

W pracach badawczych stale uczestniczy osiemnaście placówek naukowych.

Piątek, 27 czerwca 1986 roku. Kończy pracę pletwonurkowie. Z dna Wisły wydobywają kolejne martwe ryby.

Z dalszych badań wycofuje się olsztyńska Akademia Rolniczo-Techniczna oraz krakowski Instytut Medycyny Sądowej. Ich starania okazały się bezowocne. Naukowcy otwarcie przyznają się do bezsilności: setki, a może już tysiące przeprowadzonych analiz, ciągle nie mogą nikogo upoważnić do wydania jednoznacznego wyroku.

Tymczasem okoliczności katastrofy ekologicznej zaczynają analizować specjaliści z Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO oraz z Akademii Sztapu Generalnego LWP.

Naukowcy cywilni, jako pion blisko tygodniowych badań mogą jedynie z dużym prawdopodobieństwem utrzymać twierdzenie, że czynnikiem, który spowodował śmierć fauny i flory był jednak herbicyd.

W województwach: płockim, włocławskim i toruńskim zostaje odwołany stan nadzwyczajnego zagrożenia środowiska.

Nadal nie ma odpowiedzi na zasadnicze pytanie: kto potwornie zatruł Wisłę?

PO WSTRZĄSIE

Piątek, 4 lipca 1986 roku. Mija drugi tydzień akcji poszukiwawczej. Bez rezultatów. W Płocku nie mieści się spokojnych snów. Gdzieś obok czai się bezkarny truciciel, który dziś, jutro, za tydzień może znowu uderzyć śmiertelną dawką ścieków. Laboranci nieustannie kontrolują jakość wody pobieranej z Wisły dla potrzeb miasta. Na wysokości obu ujęć komunalnych woda od lat nie mieści się nawet w trzeciej klasie czystości. Ale płocczanie muszą coś pić. To „coś” ma barwy tęczy jak płama rozlanego na asfalcie oleju. To „coś” jest silnie chlorowane i pachnie apteką.

Ulica Tumska prowadzi na wiślaną skarpe. Spacer starym Płockiem może być przykrej. Zależy z której strony wieje wiatr. Najgorzej, gdy wieje od Wisły i od Petrochemii.

Za miastem, na brzegach martwej rzeki wznoszą się kopce świeżo usypanej ziemi. To mogiły milionów zamordowanych ryb.

Lekcja wychowania obywatelskiego

RYSZARD BINKOWSKI

Podczas obrad III Kongresu Nauki Polskiej działał specjalny zespół problemowy, który zajmował się szczegółowo sprawą rozwoju systemu edukacji narodowej. Członkowie zespołu stwierdzili jednoznacznie, że do dziś pokutują błędy reformy strukturalnej szkolnictwa z 1973 roku. W zasadzie nie prowadzi się kształcenia szerokoprotowego, a stan infrastruktury oświaty jest zły. Brakuje pomocy naukowych dla uczniów i nauczycieli, zmniejsza się liczba studentów, a ich skład socjalny pozostawia wiele do życzenia. Wynika to m. in. z nierówności dostępu do wyższych szczebli edukacji, a także z wadliwej polityki nakładów na naukę i oświatę, co podtrzymuje negatywną selekcję do zawodu nauczycielskiego.

Aby naprawić te wszystkie błędy, trzeba unowocześnić system kształcenia nauczycieli pod względem organizacyjnym i programowo-metodycznym, co wymagać będzie przemian struktury kształcenia w szkołach wyższych.

Sprawa jest poważna, gdyż mamy do czynienia z czynem w rodzaju błędnego kola. Jeśli w szkołach podstawowych i ponadpodstawowych nie jest najlepiej, to na wyższe uczelnie trafia młodzież kiepsko przygotowana. A skoro i tutaj jest źle, to uczelnie wypuszczają źle przygotowanych do zawodu nauczycieli, którzy w trudnych warunkach kształcą resztę nowych uczniów, i koło się zamyka.

Problem dotyczy ludzi młodych, zarówno uczących się, jak i nauczających, toteż przede wszystkim oni sami powinni zadbać o własne interesy. No i w Łodzi już to się stało. Z inicjatywy LK SD, a personalnie wiceprzewodniczącej LK SD Wandy Klajs, która jest członkiem zespołu CK SD do spraw młodego pokolenia, w marcu doszło do pierwszego trójpartyjnego spotkania komisji młodzieżowych PZPR, SD i ZSL. Odbyło się bez wielkiego szumu, chociaż spotkanie jest wydarzeniem niezmiernie ważnym i taką formę współpracy... zainicjowano po raz pierwszy w Polsce.

W spotkaniu oprócz członków komisji młodzieżowych wzięli udział przedstawiciele komitetów partyjnych, uczelni, harcerstwa, ZSMP i ZMW, a także radni i posłowie. Zajęto się dydaktyczno-wychowawczą rolą szkół wyższych, z uwzględnieniem takich problemów, jak model studiowania, warunki uprawiania dydaktyki w szkołach wyższych, system kształcenia i doskonalenia zawodowego pedagogów.

Trzeba przyznać, iż w dyskusji potwierdziły się fakty sygnalizowane na III Kongresie Nauki Polskiej. Z jednej strony zmniejsza się liczba miejsc na uczelniach, pogarszają się warunki lokalowe Uniwersytetu Łódzkiego i brakuje kadry do kształcenia zaocznego nauczycieli, bo nie ma mieszkalni, z drugiej zaś — zauważa się zanik pędu do wiedzy przy jednoczesnej preferencji wygodnego ustawienia się w życiu, co utrwala u uczelnie, często nie zainteresowane w kształceniu postaw prospołecznych u studentów.

W doborze kandydatów z różnych środowisk mają pomagać punkty preferencyjne, ale niestety, i pod tym względem nie jest najlepiej. Punkty preferencyjne krzywdzą warstwę inteligencji, zwłaszcza powstającą obecnie. Jeśli bowiem chłopski syn zdobył tytuł inżyniera rolnika, to jego dziecko, choćby nawet wychowywało się w najbardziej zapadłej wsi, nie otrzyma punktów preferencyjnych, bo ojciec należy już do inteligencji, chociaż na co dzień kosi, orze, do krowy i rozrzuca widmami gnoj.

Sytuacja jest o tyle paradoksalna, że punkty preferencyjne zachęcają do studiów młodzież robotniczo-chlopską, ale nie wyrównują dysproporcji, wiedzy, wynikających z warunków stwarzanych w domu oraz w szkole podstawowej i średniej.

Skoro jest jak jest, to należałoby wykorzystać przynajmniej to, co już mamy, jeśli chodzi o kadre nauczycielską. A mamy sporo absolwentów Studiów Nauczycielskich, którzy nabrali już doświadczenia w pracy zawodowej, powinni jednak podnosić swoje kwalifikacje. I to właśnie nauczyciele akademicy powinni przygotowywać ich do dalszych studiów. Niestety, zarówno wyżej wymienione przykłady, jak i brak wizji przyszłości, dla jakiej ma się kształcić, powodują, iż powstają luki w systemie wychowawczym.

Ponieważ kształcenie właściwych postaw zaczyna się na szczeblu podstawowym, gdzie dzieci biorą często swego rodzaju życiowe lekcje wychowania obywatelskiego, Andrzej Sypka, przewodniczący Komisji Młodzieżowej WK ZSL w Łodzi, zaproponował, aby przywrócić się z bliska sprawom oświaty na wsi w województwie łódzkim.

Specjalna komisja WK ZSL sporządziła już raport w sprawie oświaty na wsi.

— Chcieliście pójść śladami starszych kolegów? — pytam.

— Nie, nie mieliśmy zamiaru nikogo dublować. Chcieliśmy tylko pokazać dwa przykłady tzw. dobrej roboty...

— Co to znaczy?

— Przedstawiciele komisji młodzieżowych trzech partii pojechali do Woli Zaradzińskiej w gminie Pabianice, gdzie mieszkający tam wsi, a także okolicznych, jak Gadka Nowa, Sercecin i kolonia Wola Zaradzińska, postanowili zbudować szkołę w formie spółdzielni. Na spotkanie zaprosił nas naczelnik gminny inspektor oświaty oraz przedstawiciel kuratorium, ale nikt się nie zjawił...

— Dlaczego?

— Mieszkańcy opodatkowali się, zgromadzili materiały budowlane, zobowiązali się pracować po dwadzieścia roboczodniów i na tym się skończyło — odpowiada Sypka.

— Stara szkoła wali się, wodę dowozi się beczkami, od ubiegłego roku stoją nowe fundamenty, i nic się nie dzieje. Ludzie są rozgorzeleni, bo przyjeżdżają różne komisje, obiecują, a z budową nie można ruszyć. Okazuje się bowiem, że fundamenty stoją, ale nie ma pozwolenia na budowę.

— Mieszkańców zapewniano, że pozwolenie będzie, więc postawili fundamenty, tak?

— Zgadza się. Obiecano również pieniądze. Tymczasem brak rozwoleń, ponieważ oświaty są nie dokonane i nie uzwierdzone. Pieniądzy też nie ma.

No cóż, trudno się dziwić rozgorzeleniu ludzi, którzy zawiazali społeczny komitet budowy szkoły. Są to ludzie niebiedni, zaangażowani i rzutcy, toteż władzy powinno zależeć na uzyskaniu ich pomocy i zaufania. Niestety, inicjatywa społeczna została zamrożona.

Przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej w Pabianicach jest bezpartyjny rolnik z Woli Zaradzińskiej. Jeśli wieś rada narodowa nie może pomóc w budowie szkoły, to coś tu nie gra.

Drugą miejscowością, którą odwiedzili przedstawiciele komisji młodzieżowych trzech partii, był Ksawerów, graniczący od wschodu z Łodzią. Sprawa budowy nowej szkoły ciągnie się tu niemal od trzydziestu lat. Jerzy Chojacki, odkąd został prezesem WK ZSL w Łodzi, osobiście pilnował tę sprawę. Władze gminy także zrobiły wszystko, co było

możliwe. Przy naczelniku powstał specjalny sztab, który ostаточно rozwiązał się, bo wszystko już załatwione. Ale nowej szkoły jak nie było, tak nie ma...

— Boisko szkolne jest prze-
grzone na pół drewnianym
piotkiem — mówi Andrzej
Sypka. — Z jednej strony ba-
wią się dzieci, o ile to zabawa
można nazwać. Tłok na skraw-
ku placu, z drugiej zaś, gdzie
ma być dopiero wzniesiony bu-
dynek mieszkalny dla nauczy-
cieli, położono betonowe płyty,
żeby ciężki sprzęt miał na
czym pracować.

— I maszyny budowlane już
pracują, tak?

— Nie pracują.

— Znowu nie zatwierdzono
planu?

— Wprost przeciwnie, szkoła
jest w planie. Są także odpo-
wiednie środki finansowe. Nie-
stety, wykonawca nie może
wejść na plac budowy...

— Dlaczego?

— Bo nie ma dokumentacji
związanej z siecią energetyczną.
Dokładniej mówiąc, to ta sieć
energetyczna jest niewystar-
czająca. Co o tym myślą ludzie,
niech pan zapyta Świetlika, on
jest tam wiceprzewodniczącym
komitetu rodzicielskiego.

Mieszkaniec Ksawerowa, Sta-
niław Świetlik, jest także in-
struktor wydziału pracy ide-
owo-wychowawczej WK ZSL
w Łodzi.

— W tej szkole, proszę pana
na granicy wielkiej Łodzi, pa-
nują skandaliczne warunki,
urągające wszelkim normom,
przede wszystkim sanitarnym

— mówi z rozgoryczeniem
Świetlik.

— Moje dziecko nie może się
wyświecić, bo go starsi nie do-
puszczają do ubikacji. Może to
brzmie śmiesznie, ale taki jest
stan faktyczny. Zauważa się
ubikacja dziewczęca, a dla
chłopców pozostała latryna z
czterema „oczkami”. U nas jest
większe zagrożenie uczniów
niż w szkołach łódzkich, proszę
pana. Od jesieni mnożą się
kradzieże, bo nie ma szatni z
prawdziwego zdarzenia. Dzieci
chorują na wady kręgosłupa,
ponieważ nie ma gdzie prowa-
dzić lekcji wychowania fizycz-
nego. Miejscowy aktyw zrobił
wszystko, żeby zbudować szko-
łę, nie więc dziwnego, że lu-
dzie się zniechęcają.

— No, a co z tą siecią ener-
getyczną?

— Myślę, że sprawa utknęła
w Kuratorium. Dzieci mają po-
glądową lekcję wychowania o-
bywatelskiego.

Można to i tak nazwać. Le-
piej jednak, żeby dzieci ta-
kich lekcji nie miały. A co na
to trójpartyjne komisje mło-
dzieżowe?

— Wystosowaliśmy w tej
sprawie pismo do kuratorium
— mówi Andrzej Sypka. —
Czekamy na odpowiedź. Liczy-
my, że sprawa zostanie pozy-
tywnie załatwiona.

Po lustracji, która dla mło-
dych z trzech partii była tak-
że lekcją wychowania obywatel-
skiego, przedstawiciele komisji
odbyli posiedzenie w Zespole
Szkół Rolniczych w Widzewie-
Żdźarach. Podczas dyskusji
stwierdzono, że oświata jest
jedną, tyle że ta na wsi jakby
trochę gorsza, tzn. gorzej trak-
towana.

Nie wiadomo, czy takimi
przypadkami, jak w Woli Za-
radzyskiej i Ksawerowie po-
winny akurat zajmować się ko-
misje młodzieżowe. Ale niech
młodzi ucą się. Niech ucą się
nawet na błędach, aby samemu
w przyszłości ich nie popełniać.
Istotnym jest fakt, że ich głos
może stanowić wytyczne do
pracy dla starszych kolegów z
partii.

Nieskończone pola truskawkowe

JOLANTA WRONSKA

Nie licząc dudniących w skro-
niach gotującej się krwi, słyszysz
niewiele. Miarowy szelest
rozgarnianych liści i stukot prze-
suwanej kobiałki. W brudzie
między dwiema redlinami widać
tylko zielone i czerwone. Zielo-
ne zostawić, czerwone do koszy-
ka. Skręć do drugiej redliny i
to samo. I pół metra do przodu.
Jak dojdiesz do końca, sto
pięćdziesiąt metrów, zrobisz na-
wrót i znowu dwie redliny, zielo-
ne zostawić, czerwone do... i
tempo, bo robisz na akord.

Czterdziestopiętnoży nieru-
chomy gorąc zamknął buzię na-
wet Dzięwiciowi. Przedtem wy-
dzierał w niebogłosy arie z „We-
siolej Wdówki”. Kończył zawsze
w tym samym miejscu. I zaczy-
nał od nowa. I znowu i jeszcze
raz. Trwało tak do jedenastej,
potem wytrzymał tylko
skowronek drący się nad
pochylonymi plecami. Za-
czytno się umieranie. Wol-
nitko, nie od razu. A
czas zatrzymywał się w miejscu
stał tak do dnia sądu ostatecz-
nego. Wtedy u krawca pola sta-
wała szefowa i wołała na obiad.

— Kopsnij sżuga panna, bo
mi się ramka skończyła —

Dzięwici ogłaszał fajerant. Siadał
w brudzie, zdejmował gumia-
ki i wylewał z nich pot. Pół li-
tra z każdego, tak na oko, a
pozostali robili to samo. Zasa-
dniczo Dzięwici ma na imię Ta-
dek. Tylko głowę ma tak niemo-
żliwie niewinna. Pewnie tą gę-
bą zmylił sądy, bo jak dotąd
zaliczył tylko półtora roku pod
całą Najniewinniejszą ze wszy-
stkich. Więc Dzięwici rządzi. Pro-
wadzi rokowania z szefową,
trzyma w korbach towarzystwo.
Towarzystwo średnio ma na kon-
cie pięć lat w pudle, większość
za niewinność, niewłaściwy sto-
sunek do żon, potomstwa i u-
mundurowanej władzy. Na wol-
ności żyją z paserki, złodziei-
stwa, prac dorywczych oraz z
renty. Rentę się ma za choro-
by trwale ograniczające zdolność
do pracy.

RWACZE DZIELĄ SIĘ

na notorycznych sezonowców,
desperatów bez głowy do intere-
sów oraz niedzielnych frajerów.
Notoryczny sezonowiec nigdy
nie kła się stałą posadą, za to
stanowi podstawową kategorię
siły roboczej przy zbiorach o-
woców, żniwach, wyrebie i na
prywatnych budowach. Sezo-
nowie mylny jest często, a nie za-
wsze słuszny z elementem kry-
minalnym. Owszem, miewa nu-
merek w rejestrze skazanych,
ale niekoniecznie. Przeważnie
jest natury niepodległej, nie zno-

szącej notorycznego odbijania
karty zegarowej i ma swój ho-
nor. Sezonowiec nie boi się za-
dnej roboty, toteż i w truskaw-
ce wychodzi na czoło peletonu.
Rekordziści rwą nawet i sto
dwadzieścia kobiałek na dzień.

Desperat bez głowy do intere-
sów to taki, który nie potrafi
zrobić dużych pieniędzy bez
przemęczenia się, za to gwał-
townie, natychmiast potrzebuje
gotówki. Desperat zwykle mie-
wa posadę stałą nisko płatną,
lub też liczne potomstwo i me-
ża piąka. Może także być wy-
jątkowo nierozgarniętym stu-
dentem nie potrafiącym załatwić
sobie intratnej chałtury w „Stu-
dent Serwisie”. Desperat się sta-
ra, nie przepija natychmiast po-
branej od chlebobdawcy zaliczki
i udaje mu się czasem dogonić
aktywistów w rwaniu.

Niedzielny frajer się nie li-
czy. Główną jego cechą jest to,
że lubi truskawki. Świeżut-
kie z cukrem i śmietanką. I
nabiera się na rwaniu. Frajer
puchnie po piątej kobiałce, tra-
fia go udar słoneczny, bo nie
nakrył głowy oraz buntuje się
przeciw kapitalistycznemu wy-
zyskowi uprawianemu przez
plantatorów. Toteż skutkiem swej
tepoty niedzielny frajer najczę-
ściej lądnie u plantatora — dzie-
dzica. Który tym się wyróżnia
od hektarowego rolnika, że ma
wyłącznie truskawki i zbolatą
duszę.

Dusza dziedzica boleje nad
tym że musi płacić ludziom za
rwanie, a wołałby nie, a skoro
już trzeba, to dziedzic okazuje
zadziwiający brak wyobraźni.
Uparcie trzyma się najniższej w
okolicy stawki za robociznę i o-
kropnie się zżyma na rwaczy u-
ciekających do konkurencji.
Dziedzic uważa, że ludziom zwy-
czajnie nie chce się pracować,
za to mają wygórowane wyma-
gania płacowe, a on przecież mu-
si wyjść na swoje. Swoje wy-
gląda tak, że się pan dziedzic
rujnuje na ogłoszenia w gaza-
tach i na benzynę do transpor-
towania coraz to nowych ludzi,
którzy i tak za dwa dni zwie-
ją do chłopu. Dziedzic przeważ-
nie mieszka w mieście i dwa
hektary truskawek mają nastar-
czyć na miejskie narowy. Sojusz
miasta ze wsią nie bardzo się
dziedzicowi udaje z powodu du-
my. Duma jest stąd, że dziedzic
cowa plantacja rodzi na eks-
port. Chłodnia codziennie odbie-
ra urobek wprost z pola i wie-
zie do łuku samolotu odtatu-
jącego do Holandii. Chłodnia
płaci 80 złotych za kilogram

szypułkowanego i kalibrowane-
go owocu. Robota jest trzy razy
trudniejsza, rwie się wolniej,
więc i mniej się zarabia. To
znaczy rwacz mniej zarabia, bo
pan dziedzic żytuje cenę kilo-
grama szypułkowanej truskawki.
Plan dla chłodni to jedno, a
handel na własną rękę to dru-
gie. Chłop sprzedaje w mieście
na targu truskawkę po 50 zio-
tych w czasie wysypu, a pan
dziedzic bierze sto dwadzieścia
za kilogram. Kupiec nie musi
wiedzieć o wyzysku, rwacz do-
staje swoje trzydzieści złotych
od koszyczka, a dziedzicowi pu-
chnie kasa.

Hektarowy rolnik sadi tru-
skawkę razem ze zbożem, bu-
rakami i koniczyną. Bo się aku-
rat opłaca truskawka, a nie co
innego. Truskawkę wprost z po-
la wiezie się do miasta na tar-
gowiska. Czasu na pieczętowanie
nie ma, czas jest wliczony.
Truskawka musi się zmieścić
między slankosami, przerywa-
niem buraków i żniwami. Chłop
nie ma zdrowia pucować trzech
hektarów plantacji z chwastów,
bo inna robota pilniejsza. W ser-
cu chłopu pierwsze jest zboże,
więc też czasem rwie się owoc
w pokrzywach i ostach do pa-
sa. Na akord.

ALE ZA TO CHŁOP WIE,

że robota w polu to pot i udrę-
ka. Roboty oszukać się nie da
i nie da się taniej zrobić tego,
co musi kosztować swoją cenę.
Chłop inwestuje w rwacza jak
w nowoży i maszyny. Rwacz
musi rwać szybko, dokładnie, a-
le swoje musi dostać. Wikł o-
piernunek i tysiąc złotych dnie-
wki. Albo akord za dwadzieścia
złoty od kobiałki. Na wysyp
truskawki dostaje w leń swi-
nia i cielak. Rwacz musi jeść,
żeby dać radę urwać najmniej
pięćdziesiąt kobiałek, ale lepiej
żeby rwał osiemdziesiąt i wię-
cej. Wtedy inwestycja się zwraca.
Owoc się nie marnuje, cena idzie
w górę. Chłop w robocie
nie popuści. Leń, obibok wyla-
tuje.

Najważniejszy jest gętki krę-
gosłup. Po dwóch dniach na-
bywasz tej koniecznej wiedzy.
Bez niej odpadasz. Nie wstaniesz
rano o własnych siłach, nie wy-
robisz normy. Szefowa wręczy
ci wypracowany banknot i pa-
Odjeżdżasz. Więc szybko się u-
czy, że za każdy zębny, za na-
dado zamasyłszy gest płacisz
większym bólem. Pierwsza lekcja
uczy, żeby się nie próbować wy-
prostowywać od razu. Może ci
strzelić dysk. Potem przera-

biasz chodzenie marynarskim
krokiem, Szeroko, żeby omdla-
nie nogi udziwniły resztę. I nie
próbuj robić przerw dla odpo-
czynku pękającego kręgosłupa,
drętwiejących podudzi i bar-
ków. Potem ból będzie jeszcze
okrutniejszy.

Technikę opracowuje się sa-
modzielnie. Każdy inaczej. Na
kniekach, w kucki, na stojąco,
siedząc. Nieważne. Ważne, że-
by naszkować te pięćdziesiąt
koszyczków, żeby nie zostawić
owoców na krzakach, żeby był
suchy, nie pognieciony, wyłąc-
nie dojrzały. Niczego nie prze-
skoczysz. Kontrola odbywa się
natychmiast, dokładnie z punkta-
mi karnymi za bubeł.

Zasada jest prosta. Kapita-
listyczna. Szefowej musi się o-
płacić. Stary Zuk, którym cię
tu przywieźli zre benzynę. A
codziennie o trzeciej rano tran-
sport owoców musi wyjechać do
miasta. Dobry towar to dobra
cena na targu. To zysk szefo-
wej i twój zarobek. Za wyda-
ność jest premia. Dwa złote na
koszyczku. Pilnuj się, żeby twój
stosik kobiałek nie był mniej-
szy od innych. Chłopa musi się
kalkulować.

Po tygodniu sam z siebie je-
steś dumny. Pobudka o wpół do
szóstej przychodzi łatwo. Z a-
petytem rabiesz suto śniadanko
i z lubością słuchasz obiadowe-
go jadłospisu, który właśnie o-
głasza kucharka najęta do go-
towania dla dwudziestu robotni-
ków. Będzie tłusto i dużo. Od
wpół do siódmej do dziewczyna-
tej trzydziście w polu, z dwu-
godziną przerwą w południe —
rwanie.

TRUSKAWKA JEST TO OWOC WREDNY,

Delirka wie co mówi, bo od
dziesięciu lat robi w ogrodnic-
twie. Dorywco rzecz jasna. Ale
bo też Delirka ma teorię, że le-
piej uzależnić się od alkoholu
niż od jednego pracodawcy. Dla-
tego Delirka alias Bogdanek
wolał się uzależnić od denatura-
tu.

Truskawka zatem ma to do
siebie, że lubi się chować w
liściach i trzeba zgaga wygar-
nać. Truskawka kocha słońce,
ale bez przesady. Dwa tygodnie
wściekłych upałów wypalają
plantację na wiór. Liść schnie,
owoc robi się jak ugotowany.
Szkoda mrugać, cena pójdzie do
dołu. Najgorzej, że truskawka
jest tak sakramencko delikatna.
Jak dziewczica. Nie rusz, bo ska-
leczysz, nie szarp, bo zgnieciesz.
Koniuszkami palców odrywaj od
krzaka i ostrożnie układaj w

kobiałce. Truskawka jest też
niecierpliwa. Nie może czekać,
zaraz się w koszyku robi jak
rozmokła żaba. Truskawka jest
na pańskie stoły. Delikates.

Delirka jest rekordzistą. Wy-
rabia sto dwadzieścia pięć ko-
białek dziennie. Dwa tysiące
pięćset złotych. Delirka musi
zarobić na zaległe alimenty, o
które bywsza żona śiga go po
sądach. I na czaj. Czaj jest ko-
sztowny. Sześć paczek herbaty
dziennie. Dwa napary — na
dzień dobry i na dobranoc. Nie
żeby Delirka sam finansował ry-
tual. Dokładają się wszyscy. A-
le Delirka jest mistrzem cere-
monii. On budzi kolegów chra-
piących na sianku świeżutkim
czajem w słoiku wecka. Słój
krąży jak fajka pokoju. Po
trzy łyki i do truskawki. Dla
trzech niewiast w gronie ma De-
lirka niezwykle uszanowanie.
Paniom sypiącym w izbie za
kuchnią przynosi herbatkę. Zwy-
czajną, dla ludzi, za to słodzo-
ną.

Kryśka przywlokła w truskaw-
ki swojego chłopu i we dwoje
szatkują, aż furczy. Remont mu-
szą zrobić w domu, bo się gufit
sypie na głowy. Kryśka robi w
fabryce przy maszynach. Na
zmiany. Wprawiona jest do ro-
boty w przeciwnieństwie do Tad-
ka, czyli swojego chłopu. Tad-
kowi życie szło pod górę. Raz
pod celą, raz na wolności. Za
paserkę i nielegalny handel ra-
banką.

Bożenka uwielbiała truskaw-
ki. Już przestała, odkąd rwie z
naderwanym mięśniem barku.
Sama sobie jest winna. Pensję
ma kiepsciutką i zakochała się
w Marianku. Zakochać się w
Marianku to prawie pech. Chło-
pak lubi zjeść i wypić, a musi
sobie odbić za dziesiątkę w pu-
dle. Tyle układał za nożownic-
two i polyk.

Marianek z Bożenką prze-
kwalifikowali się z niedzielnych
frajerów do chłopskiej szefowej.
Między sąsiadem dziedzicem-
plantatorem a szefową, przez
miedzę, jest różnica pięciuset
złoty dziennie. I to trzeba do-
cenić. Ponadto Marianek wszedł
w konflikt z chlebobawcą z
pańskimi manierami. Marianek
robił robli, ale nie mógł wy-
trzymać codziennej ewangelii
wygłaszanej do robotników w
polu przez dziedzica. Nie dość,
że dziedzic odliczał od stawki
koszty utrzymania pracownika,
w przeciwnieństwie do naszej sz-
fowej nie zapewniał wiader
schłodzonego kompotu do picia.
To jeszcze codziennie utwierdzał
swoich rwaczy o łasce, jaką
świadczy pozwalając im rwać
swe eksportowe truskawki. Za-
pewniał też o dużej ilości kłód
rzucanych mu pod nogi przez
bezwzględna konkurencję, skąpa
chłodnię i ogólną nieopłacalność
tego interesu.

Miejscowi utrzymywali, że
twierdzi tak od siedemnastu lat
odgrazając się likwidacją plan-
tacji i budując w międzyczasie
willę dla siebie i drugą dla sy-
na. Być może Marianek prze-
trzymałby ustawicznie powołują-
cego się na wierność przykaza-
niom prawego katolika dzie-
dzica, gdyby nie oszustwo. Ma-
rianek ma wrodzone poczucie
prawości, kantów nie znośi, a
dziedzic kantował na wadze.
Człowiek rwał do koszyka raz
więcej, raz mniej niż wymaga-
ne dwa i pół kilo. Dziedzic nie
wazył koszyczków i nie doli-
czał nadwyżek na konto rwa-
cza, lecz przechwytywał wartość
dodatkową dla siebie. Dopiero
pod groźbą przejścia z tyralie-
rą znajomych w poprzek dzie-
dzicowej plantacji, wydołał Ma-
rianek zapracowaną już zapla-
tę z doliczeniem nadwyżek na
oko. I natychmiast przemienił
się z Bożenką do szefowej, któ-
ra na wadze nie oszukiwała, u-
dzielała zaliczek a konto i kar-
mila kotletami wielkimi jak
dwie dłonie Marianka.

Truskawka nauczyła jednego.
Że „jutro” jest pojęciem niewy-
obraźalnie odległym. Jutro jest
za bezwładnym leżeniem pod
drzewem po fajerancie, za ogra-
nym morzem czasu, w którym
nie musisz się schylać. Po nic.
Nawet po złotego rubla, co wy-
paci z wietrznej pierzyny go-
spodyni.



Foto: Paweł Nowak

Rafał Jaworski

Kuszenie pod meblościanką

Rozebrać swą twarz
charakterystycznie szorować —
mleczną deklaracją uświadomić
w frontowym okienku na świat
i wystarczy będzie lepić
na mnożnik profilu

Czas dyktuje podmiejski pośląg
do zajęć z kryterium lojalności
ożyczenia wiersza i detal
w inflacji uczuć

Cegielka po cegielce
do gzymsu czoła włosów kalenicy
rewaloryzować twarz
w rysy subtelne? —
równy krok szeregu w braterstwo
wiedzie i równa

Zazdrościł powiek chronią dno oka —
jeśli idea to jak dobrane małżeństwo
jeśli wierność sobie
to taka w głębi
co nie boli
nikogo

Mężczyźni zaangażowani

Spomiedzy wierszy Zarządzeń
i „Rzeczypospolitej”
wyelskają wytyczne kładąc w pracy na obie
lopaki
rzeczywistości złudzenia cudze i własne
(kolejne wódki oddalają historie etyków)

Podejmą dodatkowe obowiązki każdy wyżyży
szczębel
bo wierzą że wierzą — naprawdę Zmysł ich
losu
nie odda właściwej legitymacji

W małżeńskich rutynie ciche noce
i dnie gna ideowy kregosup
W zbliżenia bez uczuciowych następstw
i walutowe wojaże (dla swoich pociech)
wkalkulowali nienaganny powrót
do Niepokalanowa rodzinnych pieleszy

Etatowi moraliseli przymykają oko —
Na drugim końcu delegacyjnej Ojczyzny
w żalu za młodzieńczą iluzą — na „nie”
wytkliwiała się pustka spełnionego istnienia

Na sarmackiej nizinie Europy
wśród sosen brzeziny pływów czupryn dzieci
metalurgicznych lun nocy i trzymianowych
fabryk domów czekajmy erupcji wulkanów
lawy jeziorów (by obniżyć nieco
egzotykę krajobrazu)
lub szczypty miłości
w jałowym biegu swego gniewu

Wiersz z motywem prywatnym

W siedemdziesiątym pierwszym zdawałem maturę
Wybór tematu świadomy i nadto
miał widzialny: Praca — wyrazem patriotyzmu
Owsem owsem zwolnili z ustnego Ale Studia
techniczne

„Ojczyzna to wielki zbiorowy obowiązek”
Stoi sentencja Poety na ruszowaniu
pod fabryką na trasach przemarszu
Cóż... obowiązek jest obowiązkiem
Wobec Ojczyzny nie ciąży
dopóki nie zaciąży
moralnie

Znam to — po ośmiu latach posad i stanowisk
z dyplomem u nogi
z drzągą niepokoju
w biało-czerwonej strefie sumienia

Po misterium świtu jest tramwaj i hasła
dziennik pouczeń i dziennik budowy
po „z nami się nie napijesz” przyjaciół
„za ile” robotnika i „wy mi tu
nie filozofujcie” pana dyrektora
rozuwu palpitacje dociegnięcia rodziną
i ceną każdą za jej utwierdzenia
jako miniojęzyczny
Polska Polsko Ziemio skąd nasz ród! — w
potędze

całe deklinacje
Po co powtórzenia kiedy można
w niej żyć a nie tylko
być przekonany?

Nieodwracalna nieobecność zmarłego
pięć lat temu Profesora uświadomiła
kim naprawdę był w życiu
wielu ludzi i kim był w dyscyplinie
nauki, którą najaktywniej
współtworzył. To złożenie pamięci
indywidualnej i zbiorowej określa osobowość
Bolesława Lewickiego, którego życie własne było
częścią wielu jednostkowych biografii oraz
częścią tego co z perspektywy czasu można już
nazwać historią polskiej myśli filmowej i kultury
filmowej w ogóle. Linia jego biografii charakteryzuje
niezwykłą konsekwencją, którą śle-
dzić można poprzez twórczość naukową, pasję
artystyczną, działalność pedagogiczną i społeczną,
lecz którą określa przede wszystkim postać
moralna. Uczciwość i bezinteresowność, ży-
ciowość i tolerancja, wspieranie ciekawości
świata i ludzi, pasję wobec nauki i sztuki
tworzyły główne rysy niezwykłej i silnej oso-
bowości Profesora Bolesława Lewickiego. By
dokreślić choć w części tę osobowość przy-
pomnijmy słowa, które napisane zostały w pierw-
szych dniach po Jego śmierci:

Nieodwracalna nieobecność

W piątą rocznicę śmierci profesora Bolesława W. Lewickiego

„W naszym życiu naukowym był nieustras-
zony, zwracaliśmy się do niego wszyscy,
ponieważ nigdy nie było dla niego spraw zbyt
trudnych, męczących, nużących, za dalekich po-
droży, za nudnych prac doktorskich, zbyt mało
ważnych spotkań i konferencji, pozabawionych
„iskry bożej” asystentów i niezdolnych stu-
dentów. Był najbardziej zaprzyjaźniony z tymi,
którzy stanowili dlań naukową opozycję — lo-
gocentrykami (tak nas nazywał) ze Śląska. Słu-
żył nam wszelką pomocą i poparciem, chociaż
robiłby dokładnie to, czego on osobiście w
filmoznawstwie nie lubił. Może wystarczyło Mu,
że szukamy (choć Jego zdaniem — nie tam,
gdzie trzeba), aby uznać nas za bliskich i —
mimo wszystkich różnic — swoich”. (Alicja
Helman, „Kino” 1981 nr 10).

To ostatnie wspomnienie pozwala przejść do
tego, co trwa dłużej niżeli, nawet kilkukole-
niowa, pamięć o człowieku — do zasług Bo-
lesława Lewickiego jako pioniera polskiego fil-
moznawstwa.

Cofnąć się tu należy do czasów i miejsca, w
którym rozpoczynał swą naukową i populariza-
torską działalność — do lat trzydziestych we
Lwowie. Absolwent polonistyki na Uniwersyte-
cie Jana Kazimierza, uczeń profesorów Klei-
nera i Ingardena, tam nakreślił te tropy swej
życiowej aktywności, którymi szedł później
konsekwentnie. Będąc jeszcze studentem debu-
tował jako krytyk literacki w 1928 roku. Kie-
dy na łamach „Słowa Polskiego” opublikował
skice o legionowym poecie Józefie Maczce. Ten
krąg zainteresowań znalazł swą naukową reali-
zację w obronionej w 1938 roku dysertacji do-
ktorskiej pt. „Poeta i legiony. O lirycie i pieśni
żołnierskiej”. Krytykę literacką pozostał wier-
ny przez kilka lat. Te zainteresowania zaczęły
jednak powoli wypierać inne pasje naukowe i
krytyczne. Jedną z nich, czyli kino, określiła
jego dalsze życie. O drugiej mało kto dziś wie
czy pamięta — w latach 1934—1939 był Bo-
lesław Lewicki głównym lwowskim krytykiem te-
atralnym. A były to lata wielkich inscenizacji
Leona Schillera, Wilama Horzycy, Wacława Ra-
dulskiego, Henryka Sztyrńskiego i wielu in-
nych wybitnych reżyserów. W latach tych opu-
blikiował 120 recenzji teatralnych, nie licząc in-
nych artykułów i notek.

Był Bolesław Lewicki krytykiem znakomitym,
lektura jego recenzji pozwalała dostrzec zarów-
no jego świetne przygotowanie literackie i fi-
lologiczne jak i wrażliwość i wyuczucie teatrotwór-
czych przedsięwzięć inscenizacyjnych i kierun-
ków rozwoju sztuki teatru. Ta zapomniana póź-
niej działalność Bolesława Lewickiego czeka
jeszcze na swego monografistę — teatrologa.

Inną pozafilmovą jego pasją było radio. W
latach 1932—1939 wygłaszał w Polskim Radiu
we Lwowie swe comiesięczne pogadanki fil-
mowe, ale niezależnie od tego fascynowały go
nowe, w tym także estetyczne możliwości tej
wówczas określonej jako XIII Muza sztuki.
Ta fascynacja przerodziła się w podjęcie decy-
zji zawodowej, której dowodem stało się obję-
cie w 1939 roku funkcji kierownika programo-

wego i reżysera Radia w Toruniu.

Krytykiem filmowym stał się jesienią 1930
roku, gdy w „Słowie Polskim” opublikował
pierwszą swą recenzję filmu „Na Sybir” Hen-
ryka Szaro. Od tego czasu do 1939 roku na
łamach „Słowa Polskiego”, „Gazety Lwowskiej”
i „Sygnałów” przedstawił swym czytelnikom
około 1000 filmów. Dodajmy do tego dziesiątki
artykułów i felietonów poświęconych proble-
mom kina a skupionych na zagadnieniach este-
tycznych i treściowych, na socjologicznych as-
pektach filmu i zagadnieniach kultury filmo-
wej.

Z lektury tych tekstów wylania się później-
sze kierunki naukowych penetracji Bolesława
Lewickiego, który jako badacz-filmolog debuto-
wał w 1935 roku dwiema klasycznymi dziś w
działach polskiej myśli filmowej rozprawami
„Budowa utworu filmowego” i „Młodzież przed
ekranem”.

Tytuł tej ostatniej przypomina jeszcze jeden
rozdział jego biografii, rozpoczęty we lwow-
skich latach — były to, kontynuowane do
końca życia, działania na rzecz edukacji filmo-

wej dzieci i młodzieży. Wiązać te zaintere-
sowania należy z faktem, iż niezależnie od całej
swej naukowej i krytycznej aktywności był
Lewicki we Lwowie nauczycielem — polonis-
tą. Miał wówczas także czas na harcerstwo, któ-
rego był aktywnym działaczem (w latach 1934
— 35 naczelnym redaktorem „Skauta”, czasopi-
smo o znakomitych tradycjach) oraz na prze-
sowanie w latach 1932—36 klubowi filmowemu
„Awangarda”, który obok „Startu” odegrał
główną w przedwojennej Polsce rolę w walce
o kształt kultury filmowej.

Przypomnienie tych, nie wszystkich zresz-
tą, mniej znanych w biografii Bolesława Lewi-
ckiego lwowskich rozdziałów było konieczne, by
zrozumieć nie tylko jego późniejsze wybory, ale
i uzmysłowić sobie przyczyny ich rozległości
oraz określić jego miejsce w polskim życiu
naukowym i kulturalnym, przed i po II wojnie.
Bolesław W. Lewicki, wiezień oświęcimski
nr 810, czas wojny przeżył w kolejnych obozach
koncentracyjnych, których listę zamyka Pot-
enstein. Niezwykłym dokumentem i śladem naj-
głębszych przemysłów tych lat pozostaje wy-
dana w 1974 roku książka „Wiesz, jak jest”,
pozycja szczególna w dziejach polskiej litera-
tury obozowej, ale i książki, którą mógł na-
pisać tylko człowiek o takiej jak jej autor
osobowości.

Powrót do kraju w 1947 roku zbiegł się z
czasem, w którym wytyczano nowe drogi pol-
skiej kinematografii i rozwoju kultury filmo-
wej. Bolesław Lewicki znalazł się wówczas w
samym środku tych działań. Początkowo dy-
rektor programowej Wytwórni Filmów Fabu-
larynych potem Wytwórni Filmów Oświatowych
jest wówczas jednocześnie wykładowcą tworzo-
nej w Łodzi szkoły filmowej, z którą związki
obejmują lata 1947—1971, kiedy to zostaje się
z nią, odchodząc z ostatniej, pełnionej w niej
funkcji — rektora.

Wówczas to ostatecznie wybrała uniwersy-
tet jako główne miejsce swych naukowych i dy-
daktycznych działań. Na Uniwersytecie Łódzki
przyszedł jednak znacznie wcześniej: w 1959
roku w ścisłej współpracy z prof. Stefan-
ią Skwarczyńską stworzył Zakład Wiedzy o Fil-
mie, pierwszą, jak wiadomo, tego typu uniwer-
sytecką placówkę naukową w Polsce. Kierował
nim, pełniąc w ostatnich latach także funkcję
dyrektora Instytutu Teorii Literatury, Teatru
i Filmu, do 1978 roku, kiedy to przechodząc na
emeryturę, nie został się jednak z uniwersyte-
tem. Nowy ośrodek badań filmoznawczych za-
czął bowiem tworzyć w dalekim Gdańsku.

Te kolejne, zawsze zresztą prowadzone równo-
ległe kierunki pracy akademickiej sprawiły, iż
można Profesora Bolesława Lewickiego uznać
za wychowawcę kilku pokoleń twórców fil-
mowych i filmoznawców, człowieka którego
wpływ na kształt polskiej nauki o filmie i pol-
skiej kultury filmowej w ogóle był ogromny.
Opisać go w tym wspomnieniowym szkicu nie
sposób. Trzeba jednak przypomnieć, iż dydak-
tycznej działalności Bolesława Lewickiego nie mo-
żna ograniczyć do pracy z młodzieżą akademicką,

Ale Bolesław Lewicki — dydaktyk to także
popularyzator kultury filmowej. Od początku tj.
od 1959 roku uczestniczył w organizacji i na-
stępnie działalności Kin Studyjnych, przez wszy-
stkie następne lata był przewodniczącym ich
Rady Artystycznej. Aktywnie działał także w
Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych w
Polskim Stowarzyszeniu Filmu Naukowego, w
Towarzystwie Wiedzy Powszechnej. Był, jak
napisała Alicja Helman wszędzie „nieustrasze-
niony”. A przecież wyliczona tu lista pozaaka-
demickich działań Profesora nie obejmuje
miejsca wszystkich.

Niekonwencjonalność Profesora Lewickiego
wyrażała się także w tym, iż nigdy nie odrzu-
cał żadnych zaproszeń, które byłyby szansą na
rozmowy o filmie. Bywał gościem cybernety-
ków i młodzieży szkolnej, pisywał w czasopi-
smach naukowych i w gazetach codziennych. Ta
jego cecha sprawia, że ogarnięcie całego piś-
miennictwa Bolesława Lewickiego nie jest spr-
awą łatwą — sasiadują w nim na równych pra-
wach teksty naukowe i popularyzatorskie, czy-
niąc z nich barwną mozaikę przemysłów adre-
sowanych do różnych czytelników, lecz naw-
ażem się dopowiadających.

Jako teoretyk i człowiek tworzący nowy w
Polsce kierunek badań i uniwersyteckiego
kształcenia, Lewicki budował, doskonaląc przez
lata, koncepcję filmoznawstwa jako dyscypliny
naukowej. Rozwijał ją, co ważne, zarówno w
praktyce badawczej jak i pedagogicznej. Okre-
ślony zakres i przedmiot filmoznawstwa szukał
dlań ciągle nowych, najważniejszych metod
badawczych.

Ostatnie rozprawy oraz osobiste notatki
i wyjściowy konspekt nie napisane już książki
„Teoria zjawiska ekranowego” świadczą, że Bo-
lesław Lewicki dochodził do swoistej „suweren-
nej” teorii filmu, do której droga wiodła po-
przez różne, lecz nawzajem dopowiadające się
postawy metodologiczne.

Podkreślenie owej suwerenności wydaje się
o tyle istotne, iż z myślą planową Bolesława
Lewickiego zwykło się kojarzyć dość przy tym
mechanicznie, jako pogląd na „przyliterackość”
filmu. Tymczasem pogląd ten w piśmarstwie
naukowym Lewickiego przeszedł znamienną
ewolucję. Od młodzieńczych, manifestowanych
w lwowskich recenzjach i artykułach buntów
przeciw uzależnieniu filmu od konwencji i tro-
pów literackich, poprzez świadome zabiegi kom-
paratystyczne oraz korzystanie z wypracowanych
na terenie teorii literatury kategorii i metod
badawczych, dochodził do refleksji o filmie ja-
ko elemencie lektury literackiej (nieczym nie
przeczące autonomicznemu charakterowi sztu-
ki filmowej) i rozważań porównujących dzieła
(teksty) i procesy filmowe z innymi strukturami,
w tym literackimi, w ramach antropologii
kultury.

Mniej znany w jego dorobku naukowym jest
krąg teoretycznych refleksji dotyczących za-
gadnień filmu naukowego i oświatowego. Fas-
cynowały go także problemy warsztatu twór-
czego oraz sama technologia procesu działań
kinematograficznych.

Teoria filmu dominowała w naukowej twór-
czości Bolesława Lewickiego, ale przecież nurt
refleksji historycznej był w niej także stałe o-
becny. Krąg problemów, którym poświęcał swe
prace, poszerzył także należy o zagadnienie
edukacji filmowej oraz problemy upowszech-
niania kultury filmowej.

Te wielokierunkowe tropy jego poszukiwań
i zainteresowań naukowych pozostawały, o czym
była mowa, w nierozdzielalnym związku z całą
życiową aktywnością Profesora. Jak rzadko w
ludzkiej biografii działania naukowe i pragma-
tyczne znalazły w jego postawie pełną inter-
pretację.

Obraz Bolesława W. Lewickiego, teoretyka
filmu i znakomitego praktyka nowej nauki
i dydaktycznej dyscypliny, autora „Wprowadze-
nia do wiedzy o filmie” i książki „Scenariusz
literacki, program struktury filmowej” znajduje
swe istotne uzupełnienie za sprawą przygo-
towanego do druku w Wydawnictwie Łódzkim
tomu jego Pism Wybranych. To przedsięwzię-
cie edytorskie, prezentujące myśl filmową Bo-
lesława Lewickiego w całym bogactwie jej kie-
runków i znaczeń będzie też hołdem pamięci
złożonym przez tych, których nazywał swymi
uczniami i przyjaciółmi.

EWELINA NURCZYŃSKA-FIDELSKA

Wielki Mag

Henri Michaux pojawił się na literackim
firmamencie grubo ponad pół wieku temu, ale
nawet najwcześniejsze jego utwory nie zdą-
żyły jeszcze dostatecznie okrzepnąć w tradycji
europejskiej kultury i stanowią do dziś rodzaj
estetycznej prowokacji. Ten wybitny poeta, pi-
sarz i eselista odrzuca bowiem bezwzględnie
możliwość obojętnej aprobaty czy milczącej
koncesji ze strony krytyki i czytelników.

Ze względu na symboliczno-surrealną struk-
turę wyobraźni twórczej Henri Michaux kojar-
zony był z ugrupowaniem Andre Bretona, a
stosunek do problemu istnienia, sympatie dla
idei Kierkegaarda i Heideggera sytuowały au-
tora „Gdzie indziej” w szeroko pojętym nur-
cie myśli egzystencjalnej. Jednak kompleks za-
chowań introwertyka i obsesyjny negatywizm
separował trwale pisarza od wszystkich for-
macji artystycznych i doprowadził do niemal
całkowitej alienacji.

Osobliwe studium cierpienia i bólu, na jakie
składała się jego poezja, posiadała tak wiele
cech wspólnych z płótnami słynnych malarzy
„plektnych” — Boscha i Breughla, że oprócz
pokrewieństwa genetycznego dopatrywano się
w tym również istotnych podobieństw natury
psychicznej. Ale „orbis pictus” Michaux jest
bez wątpienia autonomiczny i autentyczny nie-
zwykła lakoniczność obrazu różni go od świa-
ta flamandzkich mistrzów, natomiast auty-
styczne filiacje umiejscawiają raczej gdzieś po-
między Baudelaire’em i Lautreamontem z jed-
nej strony a Swiftem, Proustem, Kafką i Car-

rollem z drugiej. Do takiego sądu upoważnia
m.in. estetyczne buntownictwo autora oraz
skłonność do posługiwania się gramatyką snu
i podróży, widoczna zwłaszcza we wspomnia-
nym zbiorze fikcyjnych reportaży z nie istnie-
jących państw zatytułowanym „Gdzie indziej”.
Zanim jednak dzieło to pojawiło się u nas na
księgarskich półkach, polski czytelnik miał mo-
żliwość zapoznania się z dwiema innymi propo-
zycjami tego autora. W 1966 roku ukazała się
książka „Niejaki Piórko” w przekładzie Jerze-
go Lisowskiego, osiem lat wcześniej drukowa-
na w „Twórczości”, a w 1978 „Poezje”, opra-
cowane i przełożone przez Juliana Rogozińskiego.

„Niejaki Piórko” zasługuje na miano jedne-
go z najcenniejszych utworów o absurdalności
ludzkiej egzystencji. Komizny i groteskowy
wymiar postaci tytułowego bohatera potęguje
jeszcze wrażenie tragiczności życia, bezmiar
bólu zawartego w samym istnieniu.

Jednak ogniskową wszystkich wymienionych
tendencji w piśmarstwie Michaux jest poezja. W
niej krytykuje się samotność twórcy i, ubra-
ny w kunsztowne formy kasandrycznej wieszcz-
by, pesymizm. Tutaj znajduje najpełniejszy
wyraz antyliterackie nastawienie poety, które-
go stylizacja rozpięta po prostu zbyt ciasno
dla siebie ramy skostniałej estetyki.

Michaux niejednokrotnie okazuje się poetą
paradoksu. Fakt że przy całej nieufności wobec
języka domaga się akceptacji własnego słowa
poetyckiego, odsłania tylko kolejne oblicze tego
paradoksu.

Artysta, który wielokrotnie głosił otwartą
niechęć do kultu ciała, odwołuje się teraz,
wprawdzie metaforycznie, do sfery somatycznej.
Bez tego lirycznego dystansu uczyni to w książ-
ce „Gdzie indziej”.

„Na dzieło to, opublikowane we Francji w
1948 roku, złożony jest drukowany tam w la-

tach 1936—46 trzy utwory: „Podróż do Wiel-
kiej Garabani” (1936), „W krainie Magli” (1941)
i „Tu Poddema” (1946). Wymienienie francus-
kie daty wydań celowo. Po pierwsze, nieprzy-
padkowo nakładają się one na okres wojny;
po drugie, nie trudno teraz obliczyć, jaki prze-
dział czasu dzieli nas od pozycji, którą za po-
średnictwem przekładu M. i W. Leśniewskich
możemy obecnie poznać.

Tym większy zatem szok wywołuje jej lek-
tura. Mamy bowiem do czynienia z literaturą
na wskroś współczesną, zaskakującą świeżością
i bogactwem pomysłów. Fabularny przebieg
przywodzi na myśl najlepsze strony „Opowie-
ści o kronopach i lamach” Cortazara czy „Zoo-
logii fantastycznej” Borgesa. Dzieło Michaux
wyrasta jednocześnie z głębiokich literackiej
tradycji i ewokuje nieodparcie z pamięci „Bo-
ską komedię” Daniego i „Raj utracony” Mil-
tona.

Pora wreszcie na fundamentalne pytanie o
celowość tego artystycznie doskonałego dzieła.
Dlaczego jego twórca zadął sobie tyle trudu,
aby stworzyć fikcyjną kulturę ze wszystkimi
jej atrybutami i natchnął ją dalekowschodnim
duchem okrucieństwa?

Lektura „Gdzie indziej” Henri Michaux nie
daje jednoznacznej odpowiedzi, wzbudza tylko
przecieczę, że cały ten kosmos zbrodni i absur-
du nie jest wcale czymś abstrakcyjnym, lecz
stanowi jedynie hiperbolę naszej współczesnej
cywilizacji; cywilizacji dwóch wojen świato-
wych, zdążającej w szaleńczym pedzie ku ko-
szmarowi trzeciej; cywilizacji, którą ten Wiel-
ki Mag usiłuje ratować literackimi egzorcyz-
mami.

PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ

H. Michaux, Gdzie indziej, Wydawnictwo Li-
terackie, Kraków 1985.

Wysoki, szczupły mężczyzna o nerwowych ruchach i żywej gestykulacji. Bardzo cenił sobie dobre towarzystwo i w towarzystwie jest zawsze chętnie widziany.

Inżynier-chemik z zawodu, ba, nawet wynalazca, literat i wytrawny konsejer literatury z zamiłowania. Erudyta, który dzielił się z potrzebą serca i umysłu z wszystkimi swą wiedzą, ponieważ był w swoim czasie pedagogiem i pedagogiem właściwie pozostał. Związany przed wojną z wieloma wybitnymi ludźmi sztuki, współredagował przez jakiś czas pismo literackie. W czasie okupacji konspirator i producent materiałów wybuchowych, o czym będzie później mowa. Po wojnie włączył się w burzliwy nurt ówczesnego życia, organizował jedną z podlódzkich szkół zawodowych, troszcząc się o to, by jej uczniowie zdobyli wszechstronne wykształcenie, poczynając od spraw hodowli zwierząt i roślin, a na sprawach sztuki i teatru kończąc. Zachował niebawym wprost żywotność do dnia dzisiejszego, chociaż dźwiga już, ale z dużym

nego przeze mnie lata, w tzw. sezonie ogórkowym, który w sytuacji wojennej był szczególnie trudny dla aktorów do wyjęcia w Łodzi. Znalazło się kilka osób chętnych do występów na prowincji. Zespół, z którym mój ojciec jako amator-impresario przybył do Uniejowa, składał się, jak sobie przypominam, z dwóch aktorów i czterech aktorów. Pięć piękną reprezentowały: Arkawinówna i Wierzejewska, z mężczyzną pamiętam Józefa Pilarskiego i Woskowskiego, trzecim był — zdaje się — Burski, nazwiska zaś czwartego nie pamiętam. Zespół miał przygotowane dwie jednoaktówki pt. „Kobieta czyli diabliska” i „Niebieski lis”, które grano w ciągu jednego spektaklu.

W zespole teatralnym znalazły się dla mnie pewne funkcje, które gorliwie i z przejęciem wykonywałem. Pomagałem zaangażowanemu chwilowo do różnych prac technicznych robotnikowi w rozlepianiu afiszów na mieście. W wynajętej za sal, która posiadała prymitywną scenę i w której miało się odbyć przedstawienie, nie miałem na ławkach kartki z kolejnymi

Nie było środków finansowych, ale znalazłem pewnego zasońskiego entuzjastę-filantropa. Wyłożył on pewną sumę na wydanie pierwszego numeru pisma. Miał to być na razie kwartalnik, i nałownie wyobrażał sobie, że wpływy ze sprzedaży pierwszego numeru pozwolą nam na wydanie numerów następnych. I jakoś będzie się to kręcić.

Przyjaźniłem się także z poetą łódzkim, Kazimierzem Sowińskim, kolegą Piechala i Timofiejewa. Sowiński zapalił się również do wydawania pisma, a myśmy ambicje takie, aby to było pismo niezależne. W tamtym czasie właściwie dość łatwo uzyskiwało się w Starostwie zezwolenie na wydawanie nowego tytułu, ale był jeden szkopuł — musiał być wydawca. Mój anonimowy mecenas nie wyrażał na to zgody, ale udało mi się namówić swoją ciotkę, Helenę Godlewską, która ze sztuką ani z literaturą nie miała nic wspólnego, żeby zgodziła się występować w charakterze wydawcy, pójsz z mną do Starostwa i tam to pismo zarejestrować. Muszę tu dodać, że jako redaktor figurował Sowiński. W takich to okolicznościach z początkiem roku 1936 ukazał się pierwszy numer „Budowy”. Nazwaliśmy tak nasz periodyk, co miało symbolizować — według naszych młodzieńskich wyobrażeń — budowę jakiegoś lepszego jutra, lepszej przyszłości.

Pierwszy numer rozesłaliśmy do redakcji pism z pewną już tradycją i nawet ukazywały się notatki, że w Łodzi powstało nowe niezależne pismo. Jako ciekawostkę chciałbym dodać, że wysłaliśmy egzemplarz „Budowy” także do polonijnego, postępowego pisma „Głos Ludowy”, które wychodziło w USA, skąd zaczęły przychodzić na nasz adres egzemplarze „Głosu” z zachętą, żeby działać dalej i utrzymywać z nim kontakt. Te egzemplarze przychodziły jeszcze jakis czas po zawieszeniu „Budowy”.

Na pewno ciekawi pana, jak do tego zawieszenia doszło? Otóż — jak wspominałem — firmującą pismo moja ciotka pazywała się Godlewską, a w tym czasie prezydentem Łodzi był właśnie Godlewski. Kiedy zorientowano się, że nasze pismo przybiera charakter lewicowy, bo w tym duchu pisały swoje artykuły publicystyczne i Piechal, i Strzeziński, i Timofiejew, ja zaś recenzowałem wychodzące książki o takim nachyleniu — więc z chwilą, gdy to zauważono, prezydent zainteresował się „Budową” i wysłał swego funkcjonariusza do domu ciotki, która mieszkała na Julianowie przy ul. Marii Piotrowiczowej, gdzie także ja mieszkalem i gdzie mieściła się redakcja. Stało się to pod moją nieobecność. Ciotka, mówiąc po prostu, przestraszyła się i nas w pewnym sensie wyspała. Oświadczyła miłanowicie, że ona nie o piśmie nie wie. „To wszystko mój siostrzeniec” — powiedział. Sowiński był w tym czasie w Warszawie, gdzie studiował polonistykę, ale i okresowo w Łodzi. Mieszkał przy Podrzecznej i tam właśnie odnalazł go rzeczony funkcjonariusz. Rozmowa była krótka: albo zlikwidujemy „Budowę”, albo pójdziemy siedzieć. Nie byliśmy, niestety, bohaterami, zresztą działaliśmy nie w oparciu o jakąś organizację polityczną czy partię — i tak doszło do likwidacji pisma.

Muszę jednak zrehabilitować swoją ciotkę, bo w okresie okupacji, kiedy to należałem do Związku Walki Zbrojnej i gdy nastąpiły wyspy i aresztowania, ciotka przechowywała mnie u siebie, choć groziło to gorszymi konsekwencjami niż przed wojną.

W numerze łódzkiej „Osnowy”, sygnowanej „Wiosna 1989”, w artykule „Przed „Wymiarami” Wacław Urbanik pisze:

„Obok „Pradów” w ożywieniu literacko-wydawniczym... ważne miejsce zajmuje czasopismo literacko-artystyczne „Budowa”, którego winieta tytułowa i sposób lamania przypominają żywo „Wymiary”.

Trzy numery „Budowy” wypełnione były artykułami o tematyce społecznej (Marian Piechal „Zmierzchni mitów”, Jan Augustyniak „O życiu prywatnym i kulturalnym robotnika łódzkiego”, Eugeniusz Ajnenkiel „Pięćdziesięciolecie śmierci Proletariatu”, literackiej (Bolesław Dudziński „O lwowskim zjeździe pisarzy”, Rafał Len „Czerwone i szare”, Tadeusz Sarnicki „O teorii wiersza”), a także artystycznej (Wł. Strzeziński — „Surogaty sztuki”. Cz. Garda — „Problem plastyki przestrzennej”).

W piśmie wiele miejsca zajęły utwory poetyckie Jastruna, Sowińskiego, Timofiejewa, Brzokowskiego, Czechowicza. Rzeczywiście oraz proza Pawłowicza, Gardy i Jalu Kurcy.

„Budowa” była pismem lewicującym, ostrzegającym przed niebezpieczeństwem faszyzmu i dlatego gorąco popierała deklarację pisarzy „W obronie postępu, pokoju i kultury”, przyjętą we Lwowie. „Głos stanowczego protestu i gotowości bojowej rozlega się w samą porę” — pisała „Budowa”. Dla wzmocnienia wspólnej akcji pisarzy proponuje się na jej łamach: „Fuzjowanie czasopism o tych samych celach lub pokrewnych celach ideowych; wydaje się to w tych okolicznościach konieczne: nie rozpraszać się, ale zwiierać szereg! Zobowiązania podjęte w deklaracji muszą być zrealizowane za wszelką cenę!” W innym znów miejscu czytamy: „Faszyzm chce swą polityką pisarzom oczy zasłonić i od życia ich jak najdalej odciągnąć, a także, gnie przysypywana liściem wawrzynu swobodna myśl i możliwości pożytecznej twórczości pisarskiej”.

W ostrym wystąpieniu przeciwko koncepcji „szarego człowieka”, która fatalnie ciąży nad sporą częścią literatury mieszczańskiej, „Budowa” domaga się skonczenia z podziałem „a elita i szary tłum żyjący w posłuchu. Broni idei artystycznych Strzezińskiego i Wegnera przed atakiem prasy i w sposób przystępny, a zarazem interesujący przedstawia problemy sztuki abstrakcyjnej i tzw. sztuki użytkowej. Poglądy te do dziś nie straciły nic ze swojej wartości”.

Ja natomiast dodam jeszcze, że Czesław Garda wydał w okresie międzywojennym zbiór opowiadań pt. „Konfrontacje”. Był to jak na tamten czas tytuł dość wyszukany, dotyczący subtelnej sfery wewnętrznych przeżyć bohaterów i w żadnym razie nie przywołał na myśl owych brutalnych skoków, jakie temu słowu nadał dzień dzisiejszy.

C.D.N.

Z półki recenzenta

HISTORIA FOTOGRAFII WOJENNEJ

Jest to książka szczególna z dwóch co najmniej powodów: po pierwsze — wreszcie znalazł się ktoś, kto zajął się tym tematem, po drugie — ze względu na treść publikacji. We wstępie autor Henryk Latoś omawia dzieje fotografii wojskowej poczynając od momentu wynalezienia metody fotograficznej, a więc od połowy ubiegłego wieku, a kończy na roku 1980. Całość więc — to droga, jaką przebyła fotografia utrwalając niemal wszystkie najważniejsze działania w różnych powstaniach (od Komuny Paryskiej poprzez Powstanie Styczniowe) i wojnach (od wojny secesyjnej Stanów Zjednoczonych Ameryki po wojny w Wietnamie i na Bliskim Wschodzie). Całość jest bogato zilustrowana dziesiątkami zdjęć, z których zapewne wiele ukazuje się w Polsce po raz pierwszy.

Henryk Latoś: Z historii fotografii wojennej. MON 1986. Str. 316. Cena 980 zł.

KRYMINAŁ Z AMBICJAMI

Znany i poczytny pisarz francuski Daniel Boulanger ma w swoim dorobku prozę, wiersze, nowele, scenariusze filmowe. Książka, o której chcę mówić, nosi tytuł „Czy zna pan Maronne?” i jest, jak całe piśmarstwo Boulanger, przesycone przewrotnością i celnością obserwacji psychologicznych. Oto w skrócie jej treść: w opustoszałym Maronne policja znajduje zwłoki młodego dziewczyny. Jedynym świadkiem zabójstwa i jedynym podejrzanym o to morderstwo jest pewien reżysers. Opis jego przesłuchania w komisariacie, jest tyleż znakomity co celny w swoim psychologicznym wątku, który w końcu doprowadza do zaskakującego zakończenia.

Przekład Ewy Fiszer.

Daniel Boulanger: Czy zna pan Maronne? KiW 1986. Str. 80. Cena 60 zł.

SMOK

Klasyki literatury bułgarskiej Anton Strazimirov wiodł życie niespokojne i burzliwe, co znalazło swój wyraz w jego twórczości. Jednak jego pierwsza książka na naszym rynku czytelnym pt. „Smok” jest osadzona w zupełnie innej poetyce i innej konwencji narracyjnej. Są to właściwie trzy opowiadania traktujące o czasach zamierzchłych Bułgarii, utrzymane w klimacie legend i mitów. Życie ludzi w tamtych epokach było uzależnione od sił nadprzyrodzonych, od zjawisk wymykających się rozumowi. Nad wszystkim zaś ciążył przeznaczenie silniejsze od człowieka, od jego marzeń i zamierzeń, a nawet od miłości, która w opowiadaniach odgrywa wcale nieposłuszną rolę.

Przekład Krystyny Migdałskiej.

Anton Strazimirov: Smok. KiW 1986. Str. 160. Cena 70 zł.

NARCYZ

Podtytuł tej książki wyjaśnia rzecz całą, a brzmi on: Rzecz o Zegadłowiczu — powieściopisarzu. Kornel Szymanowski wykonał pracę nie tylko solidną naukową, ale znalazł znakomity sposób, by poprzez genezę i historię powstawania kolejnych powieści pokazać Zegadłowicza pisarza i człowieka nie pozbawionego wad, wątpliwości, rozterek i pomyłek. I mimo że całość jest poszerzoną wersją pracy doktorskiej Kornela Szymanowskiego, to przecież nie jest to nudna i drętwa akademicka rozprawa, a opowieść o jednym z bardziej może dyskusyjnych autorów z okresu II Rzeczypospolitej.

Kornel Szymanowski: Narcyz. WL 1986. Str. 334. Cena 300 zł.

PRZECIWNICY

Julian Siemionow znany jest u nas przede wszystkim jako autor scenariusza serialu telewizyjnego pt. „Siedemnaście mgieł wiosny”. Dziś prezentuje jego książkę „Przeciwnicy”. Jest to rzecz sensacyjno-kryminalna, której początki sięgają ostatnich dni drugiej wojny światowej, a finał następuje w latach osiemdziesiątych. Są tu więc morderstwa, zacieranie śladów, porwanie samolotu, praca kontrwywiadu i służb kryminalnych, pogoń za „zbrodniarzem”. Całość utrzymana w dobrym tempie, wiele też zaskakujących sytuacji, sporo niezwykłych zdarzeń, nieprzewidywanych rozwiązań. A wszystko kończy się jak w tego typu utworach: sprawiedliwość triumfuje, przestępca wędruje za kratki. Słowem — czyta się jednym tchem.

Przekład Ewy Markowskiej.

Julian Siemionow: Przeciwnicy. MON 1986. Str. 296. Cena 260 zł.

Opracował:
E. IW.

TADEUSZ GICGIER

Kamień mądrości

dozą niefrasobliwości, słodmą kraszytk. Trudno będzie zawrzeć tego bogatą i bujną biografię w jednym raporcie.

— Działo się to w okresie pierwszej wojny światowej — mówi inż. Czesław Garda. — Nie pamiętam jednak dokładnie, w którym roku. Wiem tylko, że spędzałem wtedy z matką letnie ferie szkolne u rodziny ojca w Uniejowie. Z opowiadań matki wiem również, że w czasie pierwszej wojny światowej spędziłem wakacje w Uniejowie tylko dwukrotnie: w roku 1915 i 1916, a więc w jedno z tych lat przeżyłem moją przygodę z aktorami. Liczyłem sobie wtedy osmy lub dziewiąty rok życia.

A żeby zrozumiałe się stało, skąd raptem w Uniejowie znalazł się mój ojciec jako amator-impresario z grupą aktorów łódzkich, muszę się cofnąć do okresu wcześniejszego, przed moim urodzeniem i powtórzyć w skrócie to, o czym opowiadała mi u schyłku swego życia moja matka.

Otóż w pierwszych latach naszego stulecia, prawie do wybuchu rewolucji 1905, rozwijał się w Łodzi amatorski ruch teatralny początkowo w ramach tzw. Kuratorium Trzeźwości, w którym jakby dziś powiedziano — aktywiścią był pewien student teologii prawosławnej, nazwiskiem Łukasik.

W organizowanych zespołach amatorskich chętnie widziano robotników. Reżyserami zaś byli mniej lub bardziej zaawansowani zawodowi aktorzy lub reżyserzy, jak Kostecki, Wojdalski, Rydzewski, Chaberski i in. przyjeżdżający na dłuższy lub krótszy czas do Łodzi.

Prawdopodobnie inspiratorem „Kuratorium Trzeźwości” były ówczesne, lokalne władze carskie, które w absorbowaniu robotników teatrem amatorskim w ramach akcji „trzeźwości” — miały pewnie na celu odwracanie uwagi klasy robotniczej od „myśli buntowniczych”, co jednak nie zapobiegało narastaniu wielkiej fali rewolucji.

Na deskach łódzkich scen amatorskich pojawiła się m.in. moja matka, robotnica fabryczna, zdradzająca duże zamiłowanie do gry i wyrazny talent aktorski, obdarzona również zdolnością do śpiewu.

Matka moja w ciągu kilku lat grała w rozmaitych sztukach i gdyby miała większe wykształcenie ogólne, jak również możliwość kształcenia się aktorskiego, niewątpliwie wyrosłaby na zawodową aktorkę.

Wspomnieć się tutaj godzi, że z ówczesnych zespołów amatorskich wyrósł szereg zawodowych aktorów, z których w pierwszym rzędzie wymienić należy nestora scen łódzkich, Józefa Pilarskiego. Zawodowymi aktorami zostali również: Burski, Gałęcki, Neuman, Mantich i inni.

Pierwsze poczynania zespołów amatorskich były oczywiście skromne i ograniczały się do wystawiania jednoaktówek. Matka pamiętała także utwory: „Łobzowanie”, „Blażek opętany”, „Inteligent”. A potem poszły już większe sztuki, wodewile cieszące się dużym uznaniem u odbiorców ze środowisk robotniczych: „Podróż po Warszawie”, „Królowa Przedmieścia” i inne.

W porze letniej grano w teatryku „Paradis”, zwanym „Paradyżem”. Zespoły amatorskie występowały również na scenie ówczesnego Teatru Wielkiego, mieszczącego się przy ul. Konstantynowskiej (obecnie Obrońców Stalingradu), który później się spalił.

Po rewolucji nasilenie ruchu amatorskiego osłabło. Matka wspominała, że w roku 1907 wystawiono sztukę pt. „Lewica i prawica” (w której również grała), a z której dochód przeznaczono na wsparcie dla rodzin robotników objętych lokautem łódzkim.

Zdarzało się też, że grano niekiedy sztuki w obsadzie mieszanaj, to znaczy siłami aktorów zawodowych i zdolniejszych amatorów. Matka wspominała, że spotkał ją wielki zaszczyt, gdyż jako amatorka kreowała jedną z głównych ról kobiecych w sztuce „Nadzieja”, a partnerem matki był nie byle jaki aktor, bo — Zielwonoż.

Mój ojciec, tkacz z zawodu, też się trochę parał grą w zespołach amatorskich, ale większych uzdolnień nie wykazał, natomiast skutecznie współdziałał w organizowaniu widowisk. Powziął również ambitny zamiar zorganizowania w Łodzi prawdziwego teatru ludowego. Myślał jeszcze o tym w roku 1912 i zawarł nawet 19 maja tegoż roku notarialną umowę, zachowaną w naszych aktach rodzinnych, z reżyserem Marcinem Rydzewskim, który miał pełnić funkcję kierownika artystycznego teatru. Do realizacji jednak tych zamierzeń nie doszło, prawdopodobnie z powodu braku funduszy, jak i trudności ze strony władz carskich.

Znamość z ludźmi teatru sprawiła, że ojciec podczas pierwszej wojny światowej, w okresie już okupacji niemieckiej, powziął myśl zorganizowania teatru obywatelskiego. W czasie wspomina-

numerami. W dniu przedstawienia, kiedy ojciec pełnił funkcję kasjera, ja pomagałem biletowemu, wskazując napływającym widzom miejsca, odpowiadające numerom na biletach.

Etapy dalszej wędrówki tego małego teatru obejmowały miasta: Turek, Koło i Dąbie, skąd nastąpił powrót do Uniejowa i po rozliczeniu finansowym rozwiązanie zespołu. Ojciec bardzo mnie uszczęśliwił, gdyż zabrał mnie w tę okrężną podróż, którą z miasta do miasta odbywało się konnym pojazdem, czymś w rodzaju bryki, oszalowanej pomalowanymi na żółto deskami i krytej drewnianym dachem. Tego rodzaju środki lokomocji z mną lub więcej stałym rozkładem jazdy ustąpiły potem miejsca autobusom.

Powrót do Uniejowa zakończył tournée. Akto-ryzy odjechali wkrótce do Łodzi, a ja zostałem z rodzicami do końca wakacji nad Wartą. Do-stałem wtedy pasji reżyserskiej i zacząłem organizować dziecięcy zespół aktorski. Zakończy-ło się to odegraniem w mieszkaniu wujostwa-kome-dyjki pt. „Zabójca król” przed bliźniymi i da-łszymi członkami rodziny i chmurą dzieciarni.

Tyle pan Czesław o latach swego dzieciństwa. Tak się złożyło, że w okresie drugiej wojny pracowalem jako tzw. pomocnik rajgera w fabryce włókienniczej, w której majstrzem był ojciec pana Czesława, Franciszek. Fabryka pracowała na resztkach surowców sprzed wojny, które zaczęły się wyczerpywać, było więc sporo czasu na rozmowy i pogawędki. Dowiedziałem się wtedy, że mój majster przybył ze swymi rodzicami w latach dwudziestych ubiegłego wieku do Łodzi i tu się osiedlił. Już jako mały chłopak zaczął pracować zarobkowo, najpierw jako uczeń tkacki, a potem został tkaczem i pisał się mozołnie w górę.

— Ucz się gorliwie — mawiał do mnie pan Franciszek — to może i ty zdołasz ten zawód. Ale sama wiedza tkacka nie wystarczy, ja też się dokształcałem, brałem prywatne lekcje z rachunków i języka polskiego, bo do szkoły normalnej już nie chodziłem. Teraz też nie ma normalnych szkół, ale są tajne komplety, więc skontaktuj się ze swym synem, może on coś poradzi...

Tkaczem, niestety, nie zostałem, może dlatego, że fabrykę wkrótce zamknięto i zacząłem pracować w niemieckim biurze, ucząc się pisać na maszynie, co mi się teraz bardzo przydaje. Potwierdza to regułę, że wszystko w życiu może się przydać, chociaż nigdy nie wiadomo, kiedy i do czego.

Natomiast z matką pana Czesława zetknąłem się w dwadzieścia lat później, kiedy pracowałem już w radiu i nagrywałem jedną z audycji do cyklu „Łódź w gawędzie — wierszu — piósenke”. Przybyła wówczas do naszego studia wraz z kilkoma innymi starszymi mieszkańcami Łodzi i opowiadała ze swadą o dawnych łódzkich zwyczajach i zabawach, a nawet — jak pamiętam — dała się namówić na zaśpiewanie kilku piosenek z łódzkich teatryków ogródkowych, wykonywanych blisko przed pół wiekiem. Jest to pendant do wspomnień pana Czesława. Powróćmy tedy do nich.

Mnie w zasadzie od wcześniejszych lat młodzieńczych pociągaly nauki ścisłe, a konkretnie chemia. Po ukończeniu gimnazjum rozpocząłem studia w Warszawie, właśnie chemię i w rezultacie uzyskałem dyplom inżyniera-chemika. Kiedy znalazłem się z powrotem w Łodzi, otrzymałem pracę z zgięciem „Burcie”. I w taki szczególnie sposób zetknąłem się ze środowiskiem plastyków.

W gmachu Miejskiego Gimnazjum przy ul. Sienkiewicza funkcjonowała szkoła wieczorowa, tzw. szkoła graficzna przygotowująca do rzemiosła artystycznych, której kierownikiem był znany już wówczas artysta-plastyk i teoretyk sztuki, Władysław Strzeziński. I tam właśnie zacząłem nauczać chemii i materiałoznawstwa z zakresu farb malarskich. Zaprzyjaźniłem się dość blisko z kierownikiem szkoły, a także z innymi plastykami, Hochlingierem i nieżyjącym już Stefanem Wegnerem. Sytuacja plastyków była wtedy zupełnie inna niż obecnie, każdy gdzieś pracował zarobkowo. Sam Strzeziński był inwalidą z okresu pierwszej wojny, miał jakąś tam rentę, ale żeby się utrzymać, pracował dodatkowo w szkole.

Oprócz zainteresowań chemią miałem pewną żyłkę publicystyczną, pasjonowały mnie zagadnienia sztuki podobnie jak wspomnianych moich przyjaciół i w tym właśnie gronie zrodził się projekt powołania do życia czasopisma literacko-artystycznego, niezależnie od wychodzącego, zresztą nieregularnie, periodyku „Forma”, który był organem łódzkich artystów-plastyków.

— Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego zawarł w Moskwie trzy ważne umowy: pierwsza dotyczyła granic, druga była umową o administracji terenów wyzwolonych, trzecia mówiła o rozliczeniach finansowych i ustalala relację rubla do złotego w stosunku 1:1. Umowy te podpisane zostały 26 lipca 1944 roku w Moskwie. Kiedy PKWN wyruszył do kraju?

— Z Moskwy odlecieliśmy 27 lipca rano, a pod wieczór dostaliśmy się przez Równę do Chełma. Jeszcze tego samego dnia zorganizowaliśmy wiec kolejarzy. Przemawiali: Bolesław Drobner, Jan Haneman i ja. Na tym zebraniu powołaliśmy pierwszą organizację Odrodzonej Polskiej Partii Socjalistycznej oraz Związek Zawodowy Kolejarzy. Następnego dnia postanowiliśmy powołać Miejską Radę Narodową. Mając już organizację PPS i ZZZK ułożyliśmy wspólnie listę kandydatów.

Na wiecu ludności miasta Chełma przemówił wiceprzewodniczący PKWN Andrzej Witos. Jego nazwisko w Polsce przez słynnego brata Wincentego było bardziej znane od mojego, a poza tym na tak tłumnym zebraniu towarzysze obawiali się o moje bezpieczeństwo, więc sam bezpośredniego udziału w tym wiecu nie wziąłem.

Spotkanie z mieszkańcami Chełma było bardzo potrzebne, ponieważ mogli się oni bezpośrednio przekonać o istnieniu nowej władzy. Natychmiast też zaczęli się do mnie zgłaszać przerażeni ludzie.

Pamiętam, że pierwszym interesantem był jakiś obywatel, który zameldował, że zboże w majątkach porzuconych lub opuszczonych przez właścicieli dojrzało i nie ma kto go zbierać. Dałem mu upoważnienie i jakby nominację na pierwszego dyrektora PGR. Takiej instytucji oczywiście jeszcze nie było, ale czynności, którymi miał się zająć w naszym imieniu, mniej więcej odpowiadały pracy późniejszych dyrektorów PGR. Drugim interesantem był obywatel, który zameldował, że zapobiegliwi chłopcy lasy na potęgę wycinają. Dałem mu nominację na pierwszego nadleśniczego. Trzeci skarżył się, że w jego miejscowości nie ma jeszcze rady narodowej i pytał, co mają robić mieszkańcy. Upoważniłem go do zwolania wiecu ludności i powołania rady.

Pierwszym dekretem uchwalonym na wyzwolonej ziemi, był dekret o rozwiązaniu policji państwowej, drugim o powołaniu Milicji Obywatelskiej. Ten drugi rodził się w ogromnych bólach, bo nie mogliśmy dojść do porozumienia, co ma podlegać MO — czy radom narodowym, czy ministerstwu bezpieczeństwa publicznego. Długo MBP i PPR zwlekali z ogłoszeniem dekretu. Nawet jeden cały nakład Dziennika Ustaw został wycofany, bo tekst trzeba było przerobić. W końcu ustalono, że MO będzie podlegał ministerstwu.

Pierwszą siedzibą PKWN był gmach Urzędu Skarbowego w Chełmie. Zastaliśmy w nim pełno porzucanych papierów, dokumentów, porzucane meble. Widać było, że budynek odwiedził szabrownik. Urządowanie rozpoczęliśmy więc od sprzątania pomieszczeń. Na kwatery dostaliśmy kilka domków kolejarskich, bez szyb, bez prądu. Znajdowały się one w pobliżu gmachu PKWN, ale do pracy musimy się przechodzić obok posterunku policji Delegatury rządu londyńskiego. Na szczęście do żadnych incydentów nie doszło, a kiedy Miejska Rada Narodowa londyńskiej Delegatury rozwijała się, to i posterunki, i patrole tej policji zniknęły z ulic Chełma.

— A więc do Chełma, a potem do Lublina spóźnił się. Działali tam już przedstawiciele Delegatury rządu londyńskiego.

— Zaprosiłem przedstawiciela londyńskiej Miejskiej Rady Narodowej w Chełmie do siebie pierwszego dnia, wieczorem wytłumaczyłem mu sytuację polityczną. Powiedziałem, że potrzebna jest taka rada narodowa, która będzie współpracowała z uznawanym przez ZSRR Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego i żeby nie wpadać w konflikty i nie wywoływać bratobójczych walk na tyłach Armii Czerwonej najlepiej będzie, gdy oni zrezygnują i tak uczynili.

Również w Chełmie odbyłem rozmowę z delegatem na okręg lubelski — Cholewą. Chciał rozwinąć działalność, ale radziecki komendant wojenny zwrócił mu uwagę, że jeżeli chce coś osiągnąć, to powinien

dogadać się z nami, gdyż nie można dopuścić do działania na zapleczu frontu dwóch polskich administracji. Cholewa przyjechał do nas z gen. „Marcinem” z Armii Krajowej. Zaproponowaliśmy im współdziałanie, ale oni uważali nas za uzurpatorów i nie z tego nie wyszło.

Podobnie było ze Stanisławem Mikołajczykiem, kto go spotkaliśmy w Moskwie 6 sierpnia 1944 r. Zaproponowaliśmy mu utworzenie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, premiarstwo i więcej tek ministerialnych niż kiedykolwiek używał. On na to poszedł, bo liczył na zwycięstwo Powstania Warszawskiego.

— Z Mikołajczykiem spotykaliśmy się jeszcze?

— Drugi raz spotkaliśmy Stanisława Mikołajczyka w Moskwie jesienią 1944 roku. Ani za pierwszym, ani za drugim razem nie podjął żadnych decyzji, bo jak twierdził nie

Trwały ciężkie walki pod Moskwą i Leningradem. Na froncie wschodnim potrzebne było wojsko gen. Władysława Andersa. Cały ten okres został jednak zmarnowany.

Kiedy Armia Czerwona była na Bugu, żądanie Lwowa i Wilna nie miało najmniejszego sensu. W 1941 roku można było zagłębie naftowe wytargować używając argumentów gospodarczych. Bo Rosjanie mają sporo nafty gdzie indziej, a myśmy mieli tylko w Drohobyczu i Boryslawiu. Później gdyby Józef Stalin poszedł na większe ustępstwa miałby przeciw sobie Ukraińców i Białorusinów. Ukraińcy dążyli przeciw do tego, żeby i Chełmszczyzna do nich należała. Józef Stalin musiał się z nimi bardzo liczyć.

Bystry politycy powinni się zorientować, że w świecie wiele się zmieniło. Trzeba się było pogodzić ze stratą Wilna oddalonego od ziem rdzennie polskich białoruskim murem, tak samo Lwowa leżącego w morzu ukraińskim, zwłaszcza że były perspektywy odzyskania ziem

gadała się w sprawie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej.

Porozumienie nasze polegało na tym, że w tworzonej radzie Stronnictwo Ludowe otrzymało 6 mandatów, Polska Partia Robotnicza 6 mandatów, Polska Partia Socjalistyczna — 6, Stronnictwo Demokratyczne — 2. W Stronnictwie Demokratycznym pomieścili się element Stronnictwa Pracy. Jeden mandat był dla bezpartyjnego. Ustalono także osoby, które miały wejść do Krajowej Rady Narodowej i do rządu. Do Prezydium Krajowej Rady Narodowej mieli być dokooptowani Wincenty Witos z kraju i Stanisław Grabski z emigracji i ramienia całego jeszcze Stronnictwa Ludowego. Do rządu — Władysław Kiernik, Czesław Wycech, Stanisław Mikołajczyk, Mieczysław Thugutt, Władysław Kowalski, Franciszek Litwin i Jan Stańczyk, który był zaliczany do puli miejsc PPS. Mocarstwa zaakceptowały nasze postanowienia i TRJN rozpoczął oficjalną działalność 28

wiedzieć o zaprzyjaźnionym obozie Biełut. Stalin się nie przejęczył. On mnie bardzo cenił i bardzo na mnie liczył.

Kiedy nie chciałem wziąć po Andrzeju Witosie resortu rolnictwa i reformy rolnej, bo miałem już cztery duże zajęcia wiceprzewodniczącego KRN, kierownika resortu spraw zagranicznych, przewodniczącego PKWN i przewodniczącego PPS, to Józef Stalin powiedział: „To nie dobrze. Z waszym nazwiskiem powinna być związana reforma rolna w Polsce”, więc wziąłem i tę piątą robotę.

— Słyszałem, że dostarczaliście tani węgiel z Dolnego Śląska.

— Zobowiązaliśmy się na okres okupacji Niemiec, który jak wtedy przypuszczano miał trwać około 5 lat, dostarczać Związkowi Radzieckiemu 12 milionów ton węgla po cenach kosztów. Wielka Brytania brała tani węgiel z Zagłębia Ruhry. Chodziło o pokrycie części wydatków związanych z okupacją. Wbrew pozorom nie było to przedsięwzięcie bardzo zyskowne.

Gdyby Dolny Śląsk nie był uznany jako teren administracyjny polski, to byłby strefą okupacyjną ZSRR, czyli Związek Radziecki mógłby mieć większe reparacje dla siebie. Oczywiście pewna liczba maszyn została przejęta przez Rosjan przed umową w Poczdamie, ale gdyby te tereny były nadal radziecką strefą okupacyjną, to jest rzecz zrozumiała, że administrowanie na tych terenach przynosiłoby Związkowi Radzieckiemu znaczne korzyści.

Chciałbym szczególnie podkreślić ten motyw strat gospodarczych, jakie poniósł Związek Radziecki za zrzeczenie się kuszącej propozycji angielskiej, a żeby tego terenu nie przyłączyć do Polski, tylko uważać za radziecką strefę okupacyjną. Tylko solidna postawa Rosjan dotrzymania w 100 proc. umowy zawartej rok wcześniej sprawiła, że rokowania przybrały korzystny dla nas obrót.

Nawiasem mówiąc nigdy nie mogliśmy dostarczyć Związkowi Radzieckiemu 12 mln ton węgla rocznie z różnych obiektywnych przyczyn. Łącznie nasza niedopłata za węgiel wyniosła blisko pół miliarda dolarów. Jednocześnie wskutek tej niedopłaty rosło zadłużenie Polski w ZSRR. W 1957 roku całe polskie zadłużenie nie tylko zostało przekreślone i umorzone, ale jeszcze ZSRR udzielił Władysławowi Gomułce poważnej pożyczki. Tak więc nasza niedopłata figurowała tylko w buchalterii polsko-radzieckiej, z której w końcu została wykreślona i uznana jako niebyła.

— Wróćmy jeszcze do obiadów u Józefa Stalina. Jak one wyglądały?

— Stalin miał taki zwyczaj: w dzień spał, wieczorem i w nocy pracował, a o pomocy jechał na obiad. Zapraszał członków Biura Politycznego oraz tych dyplomatów z krajów demokracji ludowej, z którymi danego dnia pertraktował.

Willa Stalina znajdowała się w odległości około 30 km od Kremla. Jechało się alejkami przez młody las. Następnie jakas starsza pani, nie odzwajając się słowem przynosiła jedzenie i picie, odchodziła i od tej pory przyjęcie było już samoobsługowe.

Pito wino. Czasami używano do tego rogu, co jest zdaje się zwyczajem gruzińskim. Ja nigdy nie piłem. Tak przed piątą rano, kiedy przyjęcie się zwykle kończyło, niektórzy mieli trochę w czubie. Wtedy Stalin, nie zawsze, ale często, puścił płytę z „trepakiem”, tańcem podobnym do naszego krawiarskiego. Brał się pod bok i usiłował tańczyć solo, a wszyscy za nim. Ja nie tańczyłem, ale nie widziałem w tym niczego złego. Mnie nie raziło, że inni tak się odprężali.

Frowadzano także nieoficjalne rozmowy polityczne, ale nie podejmowano tam żadnych decyzji.

— W jaki sposób była finansowana działalność PKWN i Rządu Tymczasowego?

— Pierwszym naszym funduszem były konserwy od wojska. Można powiedzieć, że karmiliśmy Wojsko Polskie, któ-

re siedziało na garnuszku Armii Czerwonej. Potem pożyczaliśmy trochę złotych ze Związku Radzieckiego. Były to pieniądze wypuszczone przez Bank Emisyjny w Krakowie podczas okupacji. Rosjanie mieli je z wymiany. Później pożyczaliśmy trochę dewiz na działalność naszych placówek dyplomatycznych i agencji prasowej Polpress.

Pierwsze własne pieniądze pochodziły z małych podatków płaconych przez drobnych sklepikarzy i rzemieślników oraz z monopolu. Potem wydrukowaliśmy w Moskwie własne już znaczki. Pierwszy druk się nie udał, ponieważ zawierał błąd ortograficzny. Błąd ortograficzny jest także w tekście Manifestu Lipcowego drukowanego w Moskwie. Pierwszą część mojego nazwiska „Osóbka” została napisana przez „u”. Po tym można poznać pierwsze „moskiewskie” egzemplarze Manifestu.

Pierwszy budżet był bardzo mały, więc i pobory były małe. Urzędnik państwowy bez względu na rangę otrzymywał tylko 500 złotych miesięcznie na papierosy i codziennie zupełkowką. Kilo masła na czarnym rynku kosztowało 300 złotych.

— Przejeżdżałem również mównicą na drodze.

— Drożdże służyły jak wiemy do produkcji bimbiru. Normalnego spirytusu wystarczało zaledwie na deputaty dla wojska, więc drożdże na czarnym rynku osiągały astronomiczne ceny. Nawet niektórzy nasi ministrowie zwracali się do Jana Hanemana, bo on był kierownikiem resortu gospodarki narodowej i finansów, o przydział drożdży. Stanisław Kotek-Agroszewski prosił na przykład o 50 kilogramów, bo jego resort chciał za nie kupić drugą maszynę do pisania.

Budżety niektórych ministerstw były na początku bardzo skromne. Większość pieniędzy pochłaniało wojsko. To zaś, co pozostało, przeznaczaliśmy głównie na oświatę, opiekę społeczną i służbę zdrowia.

Zydył poprosili nas o pożyczkę w wysokości 18 mln złotych z tym, że dostaną pomocy z zagranicy. Zygmunt Berling, Bolesław Drobner i inni byli przeciwni, bo liczyli, że Polacy powiedzą, iż faworyzujemy Żydów. Sytuacja była jednak specyficzna. Żydzi wyszli z lasów, byli bez ubrań, bez mieszkań, głodni, wynędzniali, więc tu nie można było mówić o równości. Większością głosów uchwaliliśmy tę pożyczkę.

Po 9 maja 1945 roku, Dniu Zwycięstwa, Józef Stalin zaproponował, żebyśmy przekreślili wszystkie długi i zaczęli rachunki od nowa. Oczywiście zgodziliśmy się. Na oko byliśmy więcej winni Związkowi Radzieckiemu niż oni nam. Wprawdzie pożyczaliśmy im 2 miliardy złotych na żołd dla Armii Czerwonej, ale ZSRR pożyczali i gen. Władysławowi Sikorskiemu na armię Andersa, i nam na armię Berlinga, i potem jeszcze wiele razy siedzieliśmy w kieszeni Związkowi Radzieckiemu.

Muszę powiedzieć, że w tamtych czasach otrzymaliśmy znaczną pomoc od Rosjan i jeżeli ktoś twierdziłby inaczej, to popełniłby wielkie przestępstwo moralne. Narody radzieckie bardzo ciężko przeżywały wojnę. Jechaliśmy kiedyś salonką do Moskwy i widzieliśmy na dworcach wygłodniałe kobiety z niemowlętami na rękach proszące o chleb. Sami nie mieli, a jeszcze nam dawali. W radzieckich fabrykach pracujących dla potrzeb frontu widzieliśmy zatrudnione wyłącznie kobiety i dzieci. A kiedy dostaliśmy mąkę dla Warszawy, albo domki fińskie, to były trudności z zorganizowaniem rozładunku. Mięła euforia pierwszych dni wyzwolenia. Rozpanoszyła się spekulacja i szaber. Jakże się wstydzili z Polaków w chwiłach zwiedzania rosyjskich fabryk. Oni tam pracowali w pocie czoła dla wspólnego zwycięstwa. Gdyby więc ktoś chciał powiedzieć coś złego o ZSRR w tym okresie, to popełniłby wielki polityczny i moralny błąd.

Rozmawiał: MAREK MAMOS

Pierwsze dni nowej władzy...

Rozmowa z EDWARDEM OSÓBKĄ-MORAWSKIM



W odbudowie fabryki włókienniczej w Białymstoku pomagało wojsko

miał pełnomocnictw. Staral się jeszcze wytargować poparcie u Anglików i Amerykanów, ale oni mu wytłumaczyli, że musi ustąpić z rządu londyńskiego, bo ten nie jest w stanie porozumieć się z Moskwą i uznać wschodnich granic Polski. W końcu zrezygnował i razem z Grabskim, Stańczykiem, już jako osoby prywatne poszli na współpracę z nami. Mikołajczyk jeszcze liczył, że będzie premierem, ale się bardzo spóźnił. Musiał więc spokojnie i na skromniejszych warunkach do nas przystać.

— Mikołajczyk zawsze spóźniał się ze swoimi decyzjami.

— Zwleknięcie jest cechą ludowców. Chłop zawsze czeka dłużej niż inni. Poza tym u nich była posucha na polityków wielkiego formatu. Oprócz Wincentego Witosa u nich prawie nie było nie można wyróżnić. Nawet jak wydawali dziennik „Gazeta Ludowa”, to musieli wziąć redaktorów endeków. Ludowcy mieli natomiast zawsze dobrych działaczy społecznych i samorządowych.

— Jakże, pana zdaniem, największe błędy popełnił rząd emigracyjny w walce o władzę w Polsce?

— Największym błędem politycznym Londynu było to, że oni nie dogadali się z Józefem Stalinem. Jeszcze w grudniu 1941 roku Moskwa proponowała gen. Władysławowi Sikorskiemu uregulować o granic. Wtedy był najdogodniejszy czas do załatwienia tej sprawy. Armia Czerwona była w odwrocie,

na zachodzie. Przecież zamiast tych dwóch miast oraz bagien Polesia i Wołynia odzyskalismy Wrocław, Szczecin, Swinoujście, Gdańsk, Opole, tereny znacznie lepiej zagospodarowane pod względem przemysłowym i urbanistycznym.

Największy błąd Stanisława Mikołajczyka polegał na tym, że nie poszedł z nami w blok wyborczy. Oferowaliśmy mu 25 proc. wpływów, czyli tyle, ile posiadał w rządzie londyńskim, choć takich ogromnych zasług w budowie Polski Ludowej nie miał. On jednak chciał od nas 75 proc. i to był błąd. Rząd londyński źle ocenił rozwój sytuacji międzynarodowej, a Stanisław Mikołajczyk nie rozumiał przemian zachodzących w kraju. Kiedy więc doszło do wyborów został zgruchotany na 7,5 proc. i przestał się w ogóle liczyć. Jeszcze miał opozycję wewnątrz PSL. Przewodził jej Czesław Wycech i Józef Niecko, później założyciele Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego.

— W jaki sposób doszło do powstania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej?

— W Jalcie postanowiono, że do czasu wyborów w Polsce powinien działać rząd tymczasowy utworzony z Polaków z kraju i na emigracji. Powołano specjalną komisję trzech: Wiliama A. Harriman, Archibalda Clark-Kerra, Wacławsza Molotowa, która miała pomóc Polakom w utworzeniu takiego rządu. Polacy powołali jednak swoją komisję trzech: Stanisława Szwalbe — PPS, Władysław Gomułka — PPR i Władysław Kiernik — PSL i ta komisja do-

czerwca 1945 r. Istniał do wyborów, czyli do 8 lutego 1947 roku. Tymczasem Rząd Jedności Narodowej nawiązał stosunki ze wszystkimi niemal państwami. Nie uznali nas tylko Hiszpania, gen. Franco, Kuba, Watykan i kilka innych małych państw.

— Jakub Berman w jednym z wywiadów powiedział, że po ważnych rozmowach politycznych w Moskwie, Stalin zapraszał wszystkich uczestników do prywatnej rezydencji na obłady.

— Pierwszy oficjalny bankiet z udziałem Polaków miał miejsce wtedy, gdy starano się zmobilizować Polski Komitet Narodowy. Uczestniczyła w nim artystka Kuczyńska, która przez pomysłkę wniosła toast na cześć marszałka Józefa Piłsudskiego. Wszyscy pili zdrowie marszałka Józefa Stalina, lecz ona, zwolenniczka rządu przedwojennego, była podchmielona, więc wypłynęła jej się zdrowie marszałka Józefa Piłsudskiego.

Później miała kłopoty u sekretarza, nie u Stalina. Stalin powiedział: „Niczego, niczego, eto był toż choroszy marszał” i rozlał dawał napięcie, ale sekretarz dokuczał jej przez dłuższy czas.

Wielki bankiet zorganizowano po powstaniu Rządu Jedności Narodowej. Uczestniczyli w nim oprócz Polaków także ambasadorowie USA i Wielkiej Brytanii. Stalin wygłosił wtedy długi toast polityczny o dwóch obozach w Polsce, o antyradzieckim obozie londyńskim i o zaprzyjaźnionym obozie Osóbki Morawskiego, a w tym bankiecie uczestniczył Bolesław Bierut, więc jeśli Józef Stalin personifikował, to powinien po-

Polemiki • Listy • Opinie

„Jak demon lasu zemścił się na władzy”

Rozwiązanie zagadki z poprzedniego numeru.

Po latach dopiero, znajomy myśliwy, znakomity znawca broni, lasu i zwierzyzny wyduł z upartego Borsuka jego tajemnicę.

Wiedział Borsuk o skrytym polowaniu naczelnika. Codziennie chadzał przede wszystkim do lasu. Nauczony jak cień, bezszelestnie poruszał się w lesie, podszedł zaciężnego na drzewie myśliwca i cicho czekał. Kiedy zza drzew wychylał jego ukochany jeleni-przyjaciel, strzelił z flinty w powietrze, by uprzedzić zwierzę przed niebezpieczeństwem. Jeleni zdążył umknąć, nim dosięgła go kula naczelnikowego strzelca. Co zaś się wtedy stało — jasne, że to sprawa kłopotliwa. Jak zapowiedział zemsta, tak i wykonał. Więcej nie ma tu o czym się rozpowiadać.

Znajomy ów myśliwy wiedział jednak w czym rzecz. Zdarza się otóż, zwłaszcza w bukowym lesie, bo pnie buków są wyjątkowo twarde, że wystrzelona z lufy kula uderza nie w ciało zwierzę, lecz — chyłona — trafia w pień drzewa. Twardy bukowy pień odbija rykoszetem pocisk, a im gęściej rosną drzewa, tym więcej może być takich rykoszetów. Może się też zdarzyć, że wystrzelony przez myśliwego pocisk, parokrotnie odbity od pni, trafi z powrotem do strzelającego. Historia myśliwstwa zna nawet wypadki śmiertelne, gdy własna kula zabija polującego. Ten tajemniczy kłopot, słyszany przez naczelnika, to właśnie kolejne odbijanie się pocisku od pni. I widać tak właśnie było. Naczelnika poraniła jego własna kula. A że trafiała akurat w zawieszoną na pasku butelkę z żubrówką, większych jeszcze szkód narobiła. Zaczem nie silny nadprzyrodzony, ale prawa balistyki zemściły się na naczelniku.

JOLANTA WROŃSKA

Z DZIEJÓW ŁODZI

Na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego została przedstawiona w 1985 roku praca doktorska Zbigniewa J. Pytasza pt.: „Udział Wojska Polskiego w życiu społeczno-politycznym i gospodarczym na ziemi łódzkiej w latach 1945–1948”. Promotorem pracy był prof. dr hab. Stefan Banasik. Praca obrazuje i ocenia aktywność sił zbrojnych w całokształcie przemian na ziemi łódzkiej w latach 1945–1948 na podstawie materiałów archiwalnych CAW, AAN, KŁ, PZPR i Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Łodzi. Liczba wykorzystanej literatury wynosi ponad 200 pozycji. Pozwoliło to wszechstronnie omówić wyzwolenie Ziemi Łódzkiej przez Armię Radziecką w 1945 r., stan demograficzny ludności oraz problemy rozwoju społeczno-gospodarczego. Osobny rozdział poświęcony jest udziałowi WP w walce z podziemiem zbrojnym i ocenie zaangażowania WP w referendum i wyborach do Sejmu Ustawodawczego. Inny rozdział omawia wkład WP w odbudowę gospodarczą regionu. Ostatni rozdział charakteryzuje działalność propagandowo-polityczną, oświatową i udział żołnierzy w życiu kulturalnym regionu.

E. T. KNYPL

I ZNÓW „ŁAŃCUSZEK”

Na przełomie 1985/86 mieliśmy „łańcuszek” finansowy. Chodziło o przesyłki 1000-złotowe, o których tyle było w prasie i innych mass-mediach. Ten do mnie na szczęście nie dotarł. Natomiast w ostatnich dniach otrzymałem dwie przesyłki, dwa kolejne „łańcuszki”. Oczywiście nadawcy anonimowi.

Zaczytuję więc jedynie wyjątki, gdyż nie chcę obrażać wierzni wielu osób, a tak niestety te bzdurne anonimowe są formułowane: do wierzni i serc. Jednak bez logiki i odrobiny prawdopodobieństwa.

Z pierwszego: „oryginał tego listu jest z Holandii, tak krąży od dziesiętnastu lat... przesyłki kopie tego listu biednym ludziom przed upływem 96 godzin od dnia otrzymania. Pewien oficer przetrzymał list 5 dni, zmarł ponieważ przerwał wędrujący łańcuszek... Przysłał 20 kopii tego listu łańcuszka Bożego, a zobaczysz, co cię czeka za 4 dni. W dobrym uczynku łańcuszek Boży zapoczątkował pewien misjonarz Jezuita z Holandii, od tego czasu wędruje modlitwa... Pod żadnym pozorem nie przetrzymuj łańcuszka... odmów „Anioł Pański” za Jana Pawła II...”

Z drugiego: „...list ten został wysłany do Ciebie na szczęście. Oryginał jest w Nowej Anglii. List okrążył świat dziewięć razy... spotka cię szczęście w ciągu 4 dni pod warunkiem, że wyślesz go dalej... Oficer RAF-u wygrał 70 tys. dolarów. Jer. Kłot stracił 40 tys. dolarów ponieważ przerwał łańcuszek szczęścia... Łańcuszek szczęścia pochodzi z Wenezueli — ty musisz wysłać go do 20 przyjaciół... Constantin otrzymał list w 1955 roku i wygrał na loterii 2 mln dolarów, Carlo de Braz zapomniał go wysłać — i stracił pracę...”

Co można o tym powiedzieć? Że istnieje grupa ludzi, którzy albo się nudzą i w ten sposób zabijają czas, albo chcą uprawiać „mistyczną” robotę dla wzmocnienia własnego samopoczucia, albo wręcz przeciwnie, autentycznie durniami. Pomijam kwestię, że nikt nie może mnie ochronić przed „najazdem” tego typu, gdyż książki telefoniczne i spisy lokatorów w klatkach schodowych są ogólnie dostępne.

Wróćmy do listu nr 1. Misjonarz — Jezuita z Holandii (Boże mnie chroń przed Jezuitami i ich — swego czasu — inkwizycją) przed 19 laty przewidywał, iż mam się modlić za Papieża — Polaka.

Co tu więcej komentować!

(waf)

„UPIÓR” NA ULICY OBROŃCÓW STALINGRADU

Od ponad 25 lat przechodzę obok pustego, ruinowanego czasem budynku przy ul. Obrońców Stalingradu nr 27 (dawnie nazwy ulicy Konstantynowska i 11 Listopada) w Łodzi. Mieściła się tu niegdyś Szkoła Powszechna nr 3 im. Szymona Konarskiego. Wybudowana została w roku 1924 z funduszy społeczeństwa na popularne wówczas wezwanie: „Budujemy szkoły dla polskich dzieci”.

Była wówczas popularna piosenka śpiewana przez uczniów:

„Budujmy, budujmy, budujmy szkoły
Niech okrzyk ten wszędzie poeci,
Bo o to proszą, o to błagają
Wszystkie polskie dzieci!”

W szkole tej, skupiającej wówczas wyłącznie dziewczęta, powstała w roku 1926 siódma drużyna harcerek, która tak chlubnie pokazała swój patriotyzm i umiłowanie ojczyzny w wojnie obronnej 1939 roku, pełniąc służbę sanitarną w Wojennym Pogotowiu Harcerki.

Jeszcze przed wojną, bodaj w roku 1932, decyzją władz oświatowych szkoła zamieniona została z żeńskiej na koedukacyjną.

Początkowo w każdej z klas uczyło się po kilku chłopców, ale z każdym rokiem ilość ich stale wzrastała. Ja sam pobierałem w niej naukę począwszy od II klasy do klasy V. Po wojnie szkoła powróciła do dawnych tradycji, numeru i imienia patrona. Liczba dzieci uczęszczających do tej szkoły nie malała. Była ona przecież usytuowana w bardzo gęsto zamieszkanym dzielnicy Śródmieścia.

Kiedy rzucono hasło budowy tysiąca szkół na tysiąclecie państwa polskiego, wybudowano w pobliżu nową szkołę. Była to 23 Szkoła Podstawowa przy ul. Gdańskiej nr 16. Rejon Szkoły Podstawowej nr 3 podzielono wówczas na dwa, co nie przeszkadzało, że obydwa szkoły były przepełnione uczniami. Był to bowiem okres dużego wyżu demograficznego.

Ale wyż jak to wyż, jednego roku jest wysoki, drugiego zaś wykazuje wyraźny spadek. W trakcie takiego spadku bardzo mądre osoby wpadły na arcygenialny pomysł zlikwidowania Szkoły Podstawowej nr 3, gdyż ich zdaniem dzieci z okolicy pomieszczały się w Szkole Podstawowej nr 23 przy ul. Gdańskiej nr 16. Tak też uczyniono. Przez pewien czas budynek szkolny przy ul. Obrońców Stalingradu wykorzystywano na liceum, czy też Szkołę Podstawową dla pracujących, ale nie trwało to zbyt długo. Budynek opuszczono na stałe. Pozostały w nim zarte przez korniki ławki szkolne. Coraz mniej było całych szymb, a po budynku hulał sobie zimowy wiatr ze śniegiem. Nic więc dziwnego, że podłogi, drzwi i ramy okienne zaczęły gnić. Pomieszczenia kuchenne łącznie z wyposażeniem zostały zdewastowane, a brak wywieszanej flagi narodowej w święta państwowe świadczył o tym, że budynek nie miał już nawet dozorcę.

Lata siedemdziesiąte — to następny okres likwidacji szkół w Łodzi. Między innymi zlikwidowano Szkołę Podstawową nr 178, w której działał bardzo ceniony, znany i szanowany w środowisku szczerz harcerski „Watra”.

Znowu minęło trochę czasu, kiedy zauważyłem na starej, pamiętającej jeszcze dobre szkolne czasy bramie żółtą tablicę z napisem, że budynek zostaje poddany kapitalnemu remontowi. No cóż, należało się wówczas wziąć ostro do roboty, bo może na apel PRON i w związku z powstaniem Narodowego Funduszu Pomocy Szkole społeczeństwo śpić nie groziło. A że tam ktoś przez całe lata zawałał sprawę, to mało ważne. Nie takie sprawy się zawałało i winny się nie znalazł.

Niedawno żółta tablica zniknęła z bramy budynku szkoły przy ul. Obrońców Stalingradu nr 27, znak, że zaprzestano remontu. Minął zapal i oglądanie się na publiczne pieniądze. Dlatego też zastanawiam się obecnie, co będzie dalej i jak długo jeszcze „upiór” szkolny będzie straszył ocołolami wybitnych szymb na jednej z pryncypalnych, bardzo ruchliwej ulicy Śródmieścia?

MIECZYSLAW KOZAK

GIŻYCKO

Miasto Giżycko położone jest na przesmyku jezior Niegocin i Kisajno wchodzących w skład kompleksu jezior pod nazwą Mamry, na szlaku Wielkich Jezior Mazurskich. Było to dawne terytorium pruskich Bartów, na którym wybudowano obronny gród. Około 1340 roku Krzyżacy zakładają na miejscu staropruskiego grodu zamek obronny. Zamek ten był spalony przez wojska litewskiego księcia Kiejstuta, a następnie odbudowany przez wielkiego Mistrza Zakonu Krzyżackiego Winricha Von Kniprode. Podczas wojny trzynastoletniej zamek i wieś zostają ponownie spalone przez wojska polskie, a następnie znów odbudowane. Po sekularyzacji Zakonu stał się siedzibą starostów książęcych.

W ostatnich wiekach zamek stracił charakter twierdzy (obronnej i bazy wypadowej), stąd też pierwsze koncepcje ufortyfikowania rejonu Mazur narodziły się po 1815 r. W związku z tym została powołana specjalna komisja, która przy współudziale rzeczoznawców wojskowych przygotowała szereg projektów, z których jeden w połowie marca 1842 r. uzyskał akceptację władz. Plany szczegółowej budowy twierdzy zostały opracowane w maju 1843 r. przez gen. von Astera i wybitnego znawcę w dziedzinie fortyfikacji płk. Bresse. Twierdzę zbudowano w latach 1843–1851 (część podstawowa) — całość gotowa była dopiero w 1875 roku.

W Rudowce koło Giżycka żył i tworzył poeta Zbigniew Morawski jeden z najwybitniejszych poetów polskich XVII wieku, jak wielu innych wygnany z Rzeczypospolitej za arabskie przekonania. Zmarł 13.XII.1689 r., a zwłoki poety spoczęły w Stariej Rudowce. Jan Trembecki tu właśnie rozpoczął pracę nad „Wirydarem poetycznym”.

Już pod koniec XIX wieku dyrektor banku w Giżycku zaczął propagować walory turystyczne miasta. W roku 1912 przebywała tu Stefania Sempołowska, która urok krainy tysięcy jezior opisywała w prasie. Giżycko jest największym ośrodkiem turystycznym na szlaku wielkich jezior, a zarazem największą i najlepiej wyposażoną bazą turystyki wodnej regionu warmińsko-mazurskiego i suwalsko-augustowskiego.

Ogółem wody zajmują 14,7 proc. powierzchni terenu dawnego powiatu. Na obszarze ponad 118 km kw. wód występują zarówno wielkie zbiorniki wodne, jak i maleńkie oczka wodne rozsiane w licznych zagłębieniach terenu. Jest 57 jezior o powierzchni powyżej 2 ha oraz dziesiątki jezior-oczek poniżej 2 ha.

Okolice Giżycka mają stosunkowo największą średnią liczbę dni nasłonecznionych w porównaniu z innymi rejonami Mazur, co wyznacza dłuższy sezon dla wszystkich form turystyki. Pierwsze lata powojenne nie sprzyjały rozwojowi ruchu turystycznego. Odbudowa kraju ze zniszczeń wojennych, brak środków transportu, motoryzacja jeszcze w załazku, brak tradycji — to wszystko turystykę stawiało na ostatnim miejscu.

Ruch turystyczny przybrał charakter masowy dopiero w minionym dwudziestolecu. W porównaniu z początkiem lat sześćdziesiątych już w 1974 roku liczba przybywających do Giżycka w celach turystycznych i wypoczynkowych zwiększyła się czterokrotnie, a liczba przyjazdów turystów zagranicznych wzrosła dwudziestokrotnie. Największą dynamikę notowano po roku 1971. W 1974 roku na przykład w szczycie sezonu turystycznego gośczonego dziennie od 25 do 30 tysięcy turystów krajowych oraz około 2 tysięcy zagranicznych.

Dolina Wielkich Jezior Mazurskich stanowi jeden z największych w Europie zespołów jezior pochodzenia polodowcowego. Liczne połączenia kanałami tworzą szlak wodny o wybitnym znaczeniu, stanowiący najcenniejszą bazę rozwoju turystyki wodnej. Łączna długość trasy żeglownej łączącej Węgorzewo, Giżycko, Mikołajki, Ruciane, Pisz i Ryn wynosi 171 km; utrzymana jest na niej regularna komunikacja statkami. „Zegluga Mazurska” z siedzibą w Giżycku dysponuje białą flotą jednostek pływających, może jednorazowo przewieźć ponad 1500 turystów.

Niewystarczającą jest jednak baza noclegowa. Mimo wykorzystania kwatery prywatnych, daleka jest od zaspokojenia potrzeb. Dlatego też było szereg koncepcji ze strony władz administracyjnych Giżycka poprawienia tego stanu.

STANISŁAW CHODUNAJ

MNIEJ SKUPIĆ, DROŻEJ SPRZEDAĆ

W dalszym ciągu handel hołduje zasadzie: mniej skupić — drożej sprzedać. Nawet zmarnować, by nie dopuścić do obniżki cen detalicznych. Zresztą, po co zbytecznie się trudzić, więcej skupować i sprzedawać, skoro i tak wychodzi się na swoje...

Co z takiego handlu ma producent i klient? Ano nic! Producent nadal wytrwale szuka innego sposobu pozbycia się towaru, a klient świeżego i tańszego produktu. Ale sieć istniejących targowisk miejskich w dalszym ciągu jest zbyt szczupła. Nie wszędzie można dojechać wozem konnym, bagażówką lub traktozem z przyczepą. Natomiast na minitargowiskach usytuowanych raczej w centrum miasta producenta nie uświadczysz nawet ze świecą.

Nie dziwnego, że tego rodzaju sytuację w handlu wykorzystują pośrednicy. Z wielką łatwością i swobodą przewożą towar zakupiony od producentów w inne miejsce, aby następnie sprzedać z dużym zyskiem. Czasami upłynniając „na pnlu” mniej zaradnemu właścicielowi straganu czy kiosku. Stąd niewspółmierne wzrastają ceny w naszych warzywniakach, nierzadko przekraczając 100 proc. Taka, niestety, jest prawda.

Posiuję się konkretnymi przykładami: na nowym osiedlu „Chojny-Zatorze” od lat kilku buduje się targowisko. Nie oddane do dziś w użytkowanie. Podobne zjawisko obserwujemy w innych nowych dzielnicach i osiedlach, na obrzeżach miasta. Bywa nieraz, że jakiś zablakany producent zajadzie na dane osiedle z ziemniakami, warzywami i owocami. Staje przed blokami. Wówczas zaczyna się nie lada problem... Administracja osiedla ma pretensje do producenta, że źle stanął, osiedle zaśmiewa. Ma ją również pretensje władze porządkowe, okoliczni kioskarze. A to dlatego, że nieproszony, aczkolwiek potrzebny producent staje się ich bezpośrednim konkurentem. To fakt i nie było jak, bowiem oferuje tani i świeży towar z pierwszej ręki. Pełno klientów wokół producenta, a kiosk omijany z daleka.

Dla czego w poszczególnych dzielnicach, osiedlach są tak różnorodne ceny na warzywa i owoce? Doprawdy, trudno jest człowiekowi polapać się w tym całym rozgardiaszu i galimatiasie. Inne ceny obowiązują na peryferiach i w śródmieściu. W sklepach prywatnych, agencjach, spółdzielcach i państwowych. To dobrze. W zasadzie tak być powinno, lecz przy zdrowej konkurencji cen, opartej na popycie i sprzedaży, a nie na manipulowaniu cenami przez wszelkiego rodzaju „pośredników”. Ci nie sieją, nie orzą, nie oplacają podatków, ale zbierają obfite plony i zyski. Istnieją całe rodzinne „gangu” grasujące bezkarnie, przechwytujące towar od producentów. I z tego utrzymują się nieźle. Trzeba przyznać, że nie tylko w branży warzywniczo-owocowej. Bardziej obrotliwi nawet posiadają „zaświadczenia” producentów np. ogródków działkowych, innych poletek i sadów, co upoważnia ich do zbywania „własnych” produktów. A, że czasami to i owo „dokupią”, kogo może obchodzić?

Na obrzeżach wielkiego miasta, gdzie najprościej jest trafić producentowi, ceny bywają najwyższe — zamiast odwrotnie. Czy rzeczywiście w tym przypadku nie można uczynić, aby przerwać błędne koło ogólnej niemożności i beznadziejności? Wiemy, że brakuje nam magazynów, chłodni składowych itp., ale dlaczego w takim razie nie wyprostuje się i nie ułatwi wyboistej drogi od producenta do klienta i konsumenta zarazem. Sądzę, że w dużej mierze ponosi za to winę mało operatywny skup, dystrybucja i handel.

WEADYSŁAW BISZEWSKI

SPÓJRZMY INACZEJ

Po obejrzeniu filmu Isztwana Szabo „Pułkownik Redi” wyszedłem z sali z uczuciem ulgi. Oczywiście ulga ta nie była spowodowana faktem, że film się skończył, tylko tym, co reżyser mnie, jako widzowi, zaproponował. Otóż, w moim odczuciu zaproponował on wiarę w prawdziwego człowieka i przekonanie, że zło powinno, musi zginąć. Proste to stwierdzenie, ale niestety, nie zawsze mające potwierdzenie w życiu. Wydaje mi się, że właśnie ta wiara w zagładę zła jest głównym przesłaniem tego filmu.

Film skonstruowany jest linearnie. Akcja toczy się z zachowaniem chronologii, wydarzenia po wydarzeniu, bez żadnych retrospekcji czy wprowadzenia jakichś innych płaszczyzn czasowych. Prowadzona jest ona konsekwentnie, coraz mocniej akcentując (niemalże scena po scenie) narastanie łańcuszka zła budzącego się w człowieku aż do nieuniknionej końca. Jednak wbrew pozorom w filmie nie ma bardzo drastycznych, budzących strach, obrzydzenie czy litość scen. Nic tu nie jest przerysowane. To wszystko mogło się zdarzyć i tak właśnie wyglądać. Dlatego skłonna jestem uznać, że film ten mieści się w nurcie kina realistycznego. No, powiedzmy, z dość sporą dawką sensów egzystencjalnych.

Bohater, mimo zaszczytów do jakich dochodzi, jest skończoną, bezwzględna kanalia. Jego podłość narasta (aż w końcu przeraża jego samego). W pierwszych scenach mamy przecież do czynienia ze zdolnym, trochę sztywnym, jakby nieśmiałym, ale w końcu sympatycznym dzieckiem. Nie czujemy do niego jeszcze antypatii, gdy szpicluję kolegów w szkole elewów, bo przecież on to także przeżywa jako czyn niegodny. Jako dorosły człowiek jest sympatycznym, mającym autorytet wśród kolegów żołnierzem (scena wydalenia z wojska Schroma i scena pojedynku). A jednak dzieje się coś niedobrego — donosi. Jest szlachetny aż do śmieśności. I już wtedy cała nasza dotychczasowa sympatia rozplywa się.

Sądzę, że reżyser celowo w ten sposób zbudował tę postać. Pozwolił jej być na tyle sympatyczną, by wzbudzić sympatię widza po to, aby tym mocniej ukazać jego późniejszą podłość. Oczywiście w pierwszych scenach mamy już symptomy tego, co ma nastąpić, ale nie znając dalszego ciągu nie zwracam na nie uwagi. Takim symptomem jest wzrok dziecka, gdy jest z wizytą w domu przyjaciela. Wzrok ten jest twardy, jakby chłopiec chciał powiedzieć: „Jesteście bogaci, ale ja będę od was mocniejszy”.

Poza ustosunkowaniem się do jego charakteru trudno o Redi powiedzieć cokolwiek konkretnego: był Żydem czy nie? był homoseksualistą czy nie? był rzeczywistie wierny monarchii czy chciał władzy i pragnieniu zaszczytów? Na pewno wiemy tylko jedno: cokolwiek nim kierowało, kimkolwiek był, postąpił w sposób okrutny. Poza sobą nie kochał nikogo. Myślę, że reżyser celowo zagmatwał te wszystkie konkrety, aby tym mocniej uwypuklić postać Redi jako pewien archetyp. Gdyby był Żydem czy homoseksualistą, inna mogłaby być wymowa filmu.

Najbardziej podoba mi się końcowa scena przedstawiająca Redi. Jest to scena samobójstwa. Ukazano tu wyzutek z wszelkiej godności tchórza. Scena, którą zrealizował Szabo w „Pułkowniku Redi” jest, moim zdaniem, genialna w swej prostocie. Wystarczyła, by opowiedzieć wszystko o tym miotającym się, małym człowieku.

DOROTA CERAN

— Przyjechałeś na urlop do kraju i trafiasz na upały. Jak się w nich czujesz?

— Prawie tak samo jak w Sudanie. Z tym, że temperatura jest jeszcze o dziesięć stopni wyższa niż te trzydzieści parę tutaj znosi się tak samo albo nawet lepiej — jest zupełnie inna wilgotność i to pozwala żyć w tym klimacie. Sudan nie jest najgorętszym krajem, ale akurat stolica położona jest tak szczególnie, że należy do najgorętszych miejsc na świecie. Po arabsku „Chartum” znaczy „trąba słońca”. Czytałem reportaż, który był zatytułowany „Trąba słońca na patelni świata”.

— Doskonale tytuł, szkoda że nie mogę go użyć. Dajmy spokój klimatowi. To akurat nasi czytelnicy wiedzą. Wydaje mi się, że przeciętny Polak ma jakieś wyobrażenie o tym kraju ukształtowane w wyniku lektury „W pustyni i w puszczy”. Mało wiemy o Sudanie współczesnym. Może nie od rzeczy będzie, gdybyś spróbował krótko scharakteryzować aktualną polityczną rzeczywistość Sudanu. Zaczniemy od przewrotu, który miał miejsce przed rokiem. Niewiele o tych wydarzeniach wiemy. Opowiedz jak to wyglądało, co się tam działo?

— Przewrót przygotowywany był dużo wcześniej. Nimeiri był powszechnie znienawidzony, od zebrań na ulicy do ministerstwa. Panowała się korupcja i bezprawie, sytuacja gospodarcza stała się pogarszała, co zresztą miało miejsce nadal. Jego zachodni protektorzy, zwłaszcza Stany Zjednoczone, też uznali, że się zgubił, że ta twarz się już opatrzyła i nie zrobili żadnego nawet gestu w jego obronę.

— Przewrót, jak wiadomo, odbył się podczas nieobecności Nimeiriego w kraju. Co się działo w Chartumie?

— Nie był to klasyczny przewrót, taki jak to sobie potocznie wyobrażamy: z czołgami, ze strzelaniną itp. Były potężne demonstracje studenckie, do których dołączyły szerokie masy. Nimeiri wyjechał do USA pozostawiając swego najbliższego współpracownika, który był wiceprezydentem i szefem sił bezpieczeństwa. Powierzył mu „zaprowadzenie porządku”, czego ten już nie był w stanie dokonać.

— Czy to była ucieczka?

— To możliwe. Może zresztą sam Nimeiri o tym nie wiedział, ale ci, którzy organizowali mu ten wyjazd wiedzieli, że to jego ostatnia podróż w charakterze szefa państwa. Nimeiri jeszcze w Stanach wygłaszał oświadczenia, skierowane do kraju, w których obiecywał powrót i uśmierzenie rebelii. Już nikt tego serio nie traktował.

— Władzę przejęło bezkrwawo?

— Tak. Przejął ją generał Swar el Dahab, zresztą zaledwie dwa tygodnie przed przewrotem mianowany dowódcą sił zbrojnych. Nowe władze uwięziły zauszników byłego dyktatora, odbyło się szereg pokazowych procesów. Głównie o korupcję, ale nie tylko. Między innymi wykryto, że Nimeiri organizował przerzut Żydów etiopskich do Izraela. Na masową skalę, bo przetranszowano ich około 20 tysięcy. Akcja ta była organizowana przy pomocy CIA i spowodowała wielkie oburzenie świata arabskiego. Za tę własnie sprawę, choć nie tylko za tę, odpowiadał wymieniony już wiceprezydent i szef policji bezpieczeństwa. Prasa chartumska podała, że skonfiskowano mu 24 miliony funtów, trzy domy, pięć farm, 4 mercedesy i 3 landrovery. 24 miliony funtów sudańskich — to po kursie czarnorynkowym około sześciu milionów dolarów.

— Gen. Swar el Dahab ogłosił po przewrocie jakiś program polityczny. U nas wiadomo było, że obiecał wybory i swoje ustąpienie po roku. Czy był też jakiś szerszy program polityczny i program sanacji gospodarczej?

— Szerszego programu nie sformułował. Złożył kilka deklaracji politycznych, w których głosił, że kraj będzie otwarty dla wszystkich, że zamierza poprawić stosunki z blokiem socjalistycznym i światem arabskim, nie zamykając się również przed Zachodem. Jak wiadomo Nimeiri orientował się coraz bardziej na USA,

odwracał się od naszego bloku i zaogniał stosunki z krajami arabskimi. Symptomatyczne jest zwłaszcza nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Dżamahiriją Libijską, z którą Nimeiri te stosunki zerwał.

Co najważniejsze, nastąpił powrót do demokracji. Jak na europejski gust, demokracji cokolwiek rozszałej — działa w Sudanie 60 partii politycznych!

Oczywiście, wróciła na scenę polityczną partia komunistyczna, którą dyktator zlikwidował, w sensie niemal dosłownym. A jest to jedna z liczniejszych i mocnych partii komunistycznych w tej części świata.

Odbyły się wybory. Swar el Dahab ustąpił, co też jest ewenementem w Afryce. Postanowił się poświęcić działalności religijnej, jest bowiem przy-

Zadłużenie Sudanu wynosi jedenaście miliardów. Przy eksporcie rządu 500–600 milionów dolarów rocznie spłata tego długu jest praktycznie niemożliwa — stosunek zadłużenia do możliwości spłaty wynosi mniej więcej 20 do 1. Połowa eksportu to bawełna — reszta to włókno bawełniane, trochę bydła rzeźnego, sezam, guma arabska, orzeszki ziemne.

— Co my kupujemy?

— Do tej pory kupowaliśmy bawełnę, ale przestaliśmy. Część sudańskiej bawełny była zarażona w ubiegłych latach chorobami, których nie można było zlikwidować w naszym przemyśle przetwórczym.

Zresztą ostatnio mamy bardzo korzystne porozumienia z

łącznie charytatywna, żywnościowa, medyczna itp., czy też ma charakter jakiegoś długofalowego wspierania rozwoju, u- przemysłowienia, unowocześnienia istniejących struktur gospodarczych?

— Sudanowi wszyscy dają: ONZ i wszystkie jego możliwe agendy, Wspólny Rynek itd. Jest to kraj rzeczywiście wyjątkowo biedny, bankrut bez szans spłaty zadłużeń. A import jest konieczny.

Sudan mógłby być spichlerzem Afryki, a nie jest. Żeby rozwinąć rolnictwo trzeba włożyć masę pieniędzy.

— W przypadku Sudanu nie można mówić o typowym neokolonializmie typu: wycofujemy się politycznie ale zostawiamy system powiązań ekono-

omicznych i czerpiemy nadal zyski?

— Z Sudanu rzeczywiście nie się nie wyciągnie. Brak wody, insekty, niska wydajność, średniowieczne stosunki na wsi, półtora miliona uchodźców, z czego 850 tys. z Etiopii.

Pewną szansą dla Sudanu mogłaby być ropa naftowa, którą przed kilkoma laty odkryto na południu kraju. Ale na południu trwa wojna... Trzeba wybudować rurociąg długości około 1300 kilometrów kosztem paru miliardów dolarów. Nikt ich nie da, zaprzyjaźnione kraje naftowe nie są przecież zainteresowane. Praktycznie nikt nie jest zaintereso-

wany system powiązań ekonomicznych i czerpiemy nadal zyski?

— A co my sprzedajemy w Sudanie?

— Przede wszystkim usługi agrolotnicze. Rolni to PZL z Warszawy już od piętnastu czy szesnastu lat. W roku 1985 wszedł na rynek „PolSERVICE” z



Foto: Piotr Grzelak

inwestycjami. Jest to poważny kontrakt na ok. 5 mln marek zachodniemieckich — system zaopatrzania obozu uchodźców: rurociąg długości 60–70 kilometrów. Od półtora roku pracuje „Polmex-Cekop” z kontraktem około 600 tys. dolarów. Jest to wyposażenie ferm drobin.

W PZL „PolSERVICE” i „Polmex” pracuje około 80–100 osób z Polski. Poza tym sprzedajemy tam tradycyjnie trochę towarów takich, jak słodycze, szkło budowlane, silniki diesla do pomp, płyty pilśniowe, trochę prostych narzędzi, trochę wag szalkowych.

— Niewątpliwie bilans handlowy z Sudanem jest wysocy dodatni po naszej stronie, tylko, że jest to kontrahent niezbyt wypłacalny?

— Jest to przede wszystkim rynek prywatny, do tej pory przynajmniej, bowiem koncepcja ekonomiczna nowego rządu ma ograniczać swobodę prywatnego kapitału. Te drobne, o które wspominałem, kupuje za gotówkę prywatny handlowiec. Natomiast płatności za usługi „PolSERVICE” czy „Polmexu” płyną z Zachodu, są to bowiem pożyczki dla Sudanu lub wręcz darowizny.

— Sudan jest objęty różnymi formami pomocy międzynarodowej. Czy jest to pomoc wy-

łasność drobnych przedsiębiorców, właścicieli kilku albo nawet tylko jednego wozu nadających miastu szczególny kolor? Wódz, przewidziany na przewóz trzydziestu, czterdziestu ludzi mieści dwa razy tyle, zatrzymuje się, jak byśmy u nas powiedzieli „na żądanie” choć, jak zauważyłem, na ogół w tych samych miejscach. Powstaje coś w rodzaju „przystanku umownego”, zwyczajowego

— Tracę to smutne, co mówisz, ale przecież są chyba w Chartumie rzeczy ciekawe, piękne, godne zwiedzania?

— Niewiele. Jest muzeum z wieloma ciekawymi eksponatami z okresu królestwa Nubii. Najciekawsze jednak eksponaty są w British Museum i w muzeum kairskim.

Przy okazji — nasi archeolodzy corocznie przyjeżdżają do Sudanu i prowadzą prace w starej stolicy Nubii. Dokonują także prac konserwatorskich. Praktycznie zabytków ten kraj nie posiada, nawet zabytkowych meczetów. Jest mauzoleum Mahdiego i muzeum pamiątek po proroku, stare umocnienia wojsk Mahdiego nad Nilem.

Niewątpliwą atrakcją turystyczną Chartumu jest targ. Można tam kupić wszystko... Inną atrakcją są derwisze — żebracy mnisz i prorocy. Byłem w domu takiego znacznego derwisza. Grupa jego wyznawców pracuje na niego o co się wyłącznie modli. Dom ma dostatki, sam jest raczej... dobrze odżywiony, robi wrażenie niezłego cwaniaka.

W każdy piątek po południu można zobaczyć rytualne tańce. Wierni, biorący w nich udział pod przewodnictwem derwiszów sprawiają wrażenie ośzołomionych narkotykiem. Coś tam chyba żują czy wachają... Są bardzo kolorowo ubrani, z przegną zieleni. Zakładają czapeczki, przypominające blaszanki z dzwoneczkami. Tyle, że bez dzwoneczek. Z jakby poobcinanymi rogami. Czapeczka jest czerwona i często ma ponaszywane jakieś ozdoby.

Szczerze mówiąc, te epileptyczne tańce nie są jednak miłym dla oka widowiskiem. Można popatrzyć dziesięć minut.

— W takim wielkim mieście musi istnieć jakieś życie kulturalne. Jakie ono jest i w jakim stopniu dostępne dla was, Europejczyków? Zaczniemy może od telewizji, prasy, kin?

— Są dwie gazety w języku arabskim, dla ambasady i innych placówek jest biuletyn po angielsku. Telewizja też dała około 10 minut programu po angielsku. Wiadomości z Europy jest niewiele, gros informacji dotyczy spraw wewnętrznych i życia krajów arabskich. Telewizja jest bardzo uboga, nawet dziennik telewizyjny nazywamy fotoplastikonem bo prawie nie ma filmów tylko zdjęcia fotograficzne. Filmy głównie egipskie, raz w tygodniu można zobaczyć film angielski czy amerykański.

— Co się działo w czasie amerykańskich nalotów na Libię? W jaki sposób komentowały je miejscowe mass media?

— Z solidarnością dla Libii i ogromną niechęcią dla Amerykanów. Nawet powstał projekt ohochniczego zaciągu do ndzielenia doraźnej, wojskowej pomocy bratniemu krajowi. Było kilka niebezpiecznych demonstracji przed ambasadą amerykańską, doszło do postrzeżenia jednego pracownika ambasady. Amerykanie wysłali do kraju żony i dzieci, zostali tylko niezbędni pracownicy. Amerykanie od tego czasu czują się w Chartumie niepewnie.

— Czy ta niechęć rozciąga się również na Europejczyków? Przecież trudno ich odróżnić od Amerykanów?

— Przeciwnie. Europejczycy są traktowani z dużą sympatią. Myślę, że Anglicy nie dali się im tak bardzo we znaki, bo biały kolor skóry nie budzi odruchów niechęci czy agresji, raczej rodzaj żywego zaciekania. Sudańczycy w ogóle są sympatyczni, pozdrawiają, uśmiechają się, służą pomocą, jeśli na przykład popsuje się samochód.

— Wróćmy do życia kulturalnego Chartumu.

— Jest w mieście parę kin, ale ich stan nie zachęca do kupienia biletu. Teatrów nie ma. Życie kulturalne zarówno za-

możniejszych tubylców, jak i przybyszów skupia się według tradycyjnego angielskiego modelu, w klubach.

Członkowie klubu mogą popływać w basenie, napić się coca-coli, zjeść kolację, obejrzeć video. W czasie świąt, zarówno muzułmańskich, jak chrześcijańskich organizuje się imprezy, bale itd. W przypadku dwu rodzin polskich, które składają się na personel naszej placówki, życie towarzyskie praktycznie ogranicza się do spotkań z pracownikami placówek bratnich krajów socjalistycznych.

— Coś o Polakach, Polonii i polonicach sudańskich.

— Jak wspominałem, około stu Polaków pracuje na miejscu. Pracują — zwłaszcza lotnicy — i mieszkają w ciętych warunkach. Chciałbym, żeby ci, którzy zazwyczaj im zakupów w „Pewexie” zobaczyli, jak ciężko pracują na te swoje dolary. Loty odbywają się — przez osiem godzin dziennie — w powietrzu o temperaturze do pięćdziesięciu stopni. Rozpylają chemikalia szkodliwe dla zdrowia, ale muszą latać jak najniższe a więc są sami narażeni na ich działanie. Ci, którzy ich kontrolują sprawdzają, czy koła samolotów są zabrawione na zieleno — świadczą o tym niskim locie, w trakcie którego podwoje zawadzało o roślinność.

Mieszkają w bazach odległych od miast, na pustyni niemal, w barakach bez klimatyzacji. Mówi się o nich, że muchy im nie dokuczają. Po pracy, nawet po kąpieli, ich skóra jest jeszcze owadobójcza.

Pracownicy „Polmexu” i „PolSERVICE” mają warunki niewiele lepsze. Pracują na pustyni, mieszkają w barakach przebranych z kontenerów. Po pracy nuda, nostalgia i oczekiwanie na listy. Lekarze stwierdzają u nich, po kilku miesiącach pobytu, wyraźne zmiany w psychice.

— Co to jest nostalgia? Sam nigdy nie doświadczyłem tego uczucia, czy po dwuletnim pobycie w Sudanie potrafisz je zdefiniować?

— W warunkach Sudanu, to przede wszystkim docenia się nasze urozmaicenie klimatyczne. Tam praktycznie jest wciąż ta sama pora roku, dziesiątego października jest pogoda taka sama, jak piętego maja, o tej samej godzinie wschodzi i zachodzi słońce. Wciąż jest zielono i ciepło.

Nie ma chmur, nie ma wiatru, nie ma deszczu. Bywają burze piaskowe, bardzo nieprzyjemne.

— Wróćmy do Polaków i polonistów.

— Jest kilka Polek w Chartumie, które wyszły za sudańców sudańskich. Niektórzy się powiodło, ich mężowie są bogaci. Te pokazują się w naszej placówce, zapraszają do domów. Te, którym się nie powiodło, unikają nas. Zwyczajna rzecz — wstydzają się.

Z polonistów wymienię może tylko wojenne groby polskich lotników na brytyjskim cmentarzu wojskowym. Są bardzo dobrze utrzymane. Składamy na nich kwiaty i zapalamy świece w Dniu Zmarłych.

— Przeciętny Sudańczyk nie wie o Polsce nic, myli ją z Holandią.

— Nawet wykształconym się to zdarza. Zresztą z wykształceniem Sudańczyków nie jest dobrze. Szkółki arabskie, zresztą nieobowiązkowe, ucza niewiele, głównie religii. Rok szkolny trwa krótko. Nauczyć się można czegoś tylko w szkole angielskiej, ale ta jest droga. Wykształcenie jest więc tylko dla bogatych. Zresztą Sudan jest modelowym krajem pod tym względem, straszliwie nędzy towarzyszy niewyobrażalna bogactwo elity. Są ludzie, którzy nie tylko studiują w Europie, ale jeżdżą na zakupy i Londynu, leczą się u brytyjskich lekarzy, żyją właściwie w pełnej izolacji od reszty społeczeństwa.

— Dziękuję za rozmowę. Egzemplarz „Odgłosów” przysłać ci do Chartumu.

Rozmawiał:
ANDRZEJ
KAROLCZAK

Po drugiej wojnie światowej nastąpiło w Egipcie ożywienie życia politycznego. Organizowało się wokół dwóch haseł: zakończenia okupacji brytyjskiej i przeprowadzenia reform społecznych. W warunkach rozbiicia sił politycznych, inicjatywę obalenia skorumpowanej, uległej Wielkiej Brytanii monarchii przejęła armia, a ściślej młodszy korpus oficerski, zorganizowany w Związku Wolnych Oficerów, którego centralną postacią był Abdel Gamal Naser. Doświadczenia wojny palestyńskiej spotęgowały kryzys wewnętrzny i przyspieszyły akcję Wolnych Oficerów. Przejęcie władzy przez młodszych oficerów zostało przeprowadzone przy zręcznym wykorzystaniu sprzyjających momentów militarnych i politycznych. Od abdykacji króla Faruka Egipcjanie masowo opowiedzieli się po stronie rewolucji.

OBLICZE NOWEJ WŁADZY EGIPTU

krystalizowało się w okresie walk wewnętrznych w latach 1952—1954. Do osiągnięcia tego okresu można zaliczyć reformę rolną i porozumienie z Wielką Brytanią o Sudanie. Następnie doszło do porozumienia brytyjsko-egipskiego o ewakuacji wojsk brytyjskich z Egiptu. Została ona zakończona nieco ponad miesiąc przed wybuchem konfliktu sueskiego. W okresie do czerwca 1956 r. ustalono również podstawy organizacyjno-prawne nowej władzy.

Egipt stał się republiką autorytatywną. Dla Wolnych Oficerów demokracja była czymś wtórnym. Ich ideałem był naród silny, niepodległy i zjednoczony. Demokracja mogła być dopiero rezultatem utrwalenia rzeczywistej niepodległości oraz zniesienia wszelkiego wyzysku. Wyzysk stawia klasy uciskane w niekorzystnej sytuacji. W konsekwencji prowadziło to do osłabienia narodu i wzmocnienia obcej dominacji. Aby osiągnąć swój cel naród powinien być zjednoczony. Stąd konieczność przeprowadzenia reform społecznych: reformy rolnej i poprawy sytuacji robotników. Naczelnym zadaniem Wolnych Oficerów było dążenie do niepodległości. Pod tym względem rewolucja lipcowa była kontynuacją dążeń wyzwoleńczych Egiptu w okresie ostatnich 70 lat, od powstania Arabiego w 1882 r.

Na przełomie 1954—1955 roku w stosunkach między Egiptem a Zachodem można było zauważyć pozorną odwilż, związaną w pewnej mierze z brytyjsko-amerykańską rywalizacją o wpływy na Bliskim Wschodzie. Po drugiej wojnie światowej rola Wielkiej Brytanii osłabła i Stany Zjednoczone poczęły przyjmować pozycję brytyjskie w tym rejonie. Bliski Wschód miał dla Wielkiej Brytanii inną rolę (defensywną — polityka imperialna, nafta), niż dla Stanów Zjednoczonych (ofensywną — jako element w polityce globalnej). Zawiazanie Paktu Bagdadzkiego na początku 1955 r. pod egidą brytyjską wykazało dążenie Wielkiej Brytanii do przejęcia przywództwa w tym rejonie.

Z poprawą stosunków z Wielką Brytanią Egipt wiązał nadzieje na zapoczątkowanie ery równoprawnej współpracy, korzystnej dla obu stron. Współpraca ta mogłaby objąć także i inne kraje arabskie — oczywiście po uzyskaniu przez nie niepodległości.

IDEOLOGIA „NACIONALIZMU ARABSKIEGO”

zdobywała sobie w tym czasie serca i umysły Arabów. „Nacjonalizm arabski” wzrósł na gruncie walki z zachodnim kolonializmem i imperializmem, jako bunt narodów arabskich przeciwko poniżeniu i doprowadzeniu ich do roli kolonialnego zaplecza Zachodu, bunt przeciwko zacofaniu i zablokowaniu dróg postępu. „Nacjonalizm” ten czerpał z tradycji pierwszych dziesięcioleci imperium muzułmańskiego, kiedy to Arabowie byli zjednoczeni wokół jednej władzy. Nawiązywało także do tradycji czasów świetności, panowania dynastii Omajjadów, Abbasydów, dynastii fatymidzkiej w północnej Afryce i kalifatu w Hiszpanii.

Zawiazanie Paktu Bagdadzkiego wytworzyło głęboki wyłom w stosunkach Egiptu i Arabów z Zachodem, a przede wszystkim z Wielką Brytanią. W swym dążeniu do przejęcia bezspornej hegemonii na Bliskim Wschodzie Brytyjczycy planowali rozszerzyć pakt na inne kraje arabskie. Egipt stanął im na przeszkodzie.

Źródłami napięcia między Egiptem i Zachodem były także: problem zasadniczego poparcia Zachodu dla Izraela i wykorzystanie tego ostatniego jako elementu nacisku na Arabów, kwestia odmowy dostarczania Egipsowi broni niezbędnej dla powstrzymania ekspansji izraelskiej, sprawa zmniejszenia się zamówień zachodnich (szczególnie brytyjskich) na bawełnę egipską — podstawowy produkt monokulturowego rolnictwa egipskiego.

Brytyjczycy (i Zachód) chcieli pozyskać Egipt dla swej polityki lub przynajmniej go zneutralizować. Kiedy doznał niepowodzenia, doszli do przekonania, że przyczyną zła na Bliskim Wschodzie jest jedynie Naser: miał więc on zostać usunięty drogą użycia siły. Bardzo podobne było pod tym względem stanowisko rządu francuskiego, który obarczył Nasera odpowiedzialnością za powodenie algierskiego powstania niepodległościowego. Stany Zjednoczone natomiast wołały przyjąć rolę pozornie neutralnego „arbitra”. W rzeczywistości zaś dążyły do wykorzystania tego regionu dla swoich celów globalnej walki z socjalizmem. Było to obce Egipsowi i Arabom. Nie tylko nie mieli oni interesu w walce z socjalizmem, ale obiektywnie znajdowali się po jego stronie w walce z imperializmem. Wielu Arabów zdawało sobie z tego sprawę. Stąd egipskie zbliżenie do krajów socjalistycznych, które miało znaczenie także praktyczne.

Egipt dążył do realizacji programu rozwoju gospodarczego, wymiany handlowej na korzystnych warunkach, a przede wszystkim uzbrojenia armii egipskiej w broń, potrzebną dla przedstawienia się ekspansji izraelskiej. Główne mocarstwa zachodnie odmawiały Egipsowi dostarczenia tej broni. Faworyzowano Izrael — wroga Arabów. Na tym też doszło do zakupu broni przez Egipt z krajów socjalistycznych, bez warunków politycznych w zamian za bawełnę.

Jeszcze w drugiej połowie 1955 r. Zachód próbował przeciągnąć Egipt na swoją stronę. Bez większego przekonania przedstawiano nadal parę propozycji rozwiązania konfliktu izraelsko-arabskiego. W próbie mocarstw zachodnich pozyskania Egiptu dla swej polityki głównym elementem pozostała kwestia dofinansowania budowy tamy pod Asuanem — przedsięwzięcia mającego zasadnicze znaczenie dla polityki gospodarczej władz egipskich. Przez udział w finansowaniu tamy Zachód zamierzał związać Egipt na długie lata ze swoją polityką.

Kiedy nadzieje polityków zachodnich się nie ziściły (dalsze zbliżenie się Egiptu do ZSRR, uznanie ChRL, zaścienienie stosunków z Indiami i Jugosławią, dalsza walka z Paktem Bagdadzkim), Stany Zjednoczone „ukarały” Egipt cofnięciem oferty asuańskiej. Odpowiedzią Egiptu była

NACIONALIZACJA TOWARZYSTWA KANAŁU SUESKIEGO

26 lipca 1956 r.

Źródła ostrej reakcji Zachodu — szczególnie Wielkiej Brytanii, Francji i Stanów Zjednoczonych — na upaństwowienie Towarzystwa Kanału Sueskiego należy z jednej strony szukać w tym, że spotęgowało ono nastroje antykolonialne

HASSAN A. JAMSHEER

Wojna o Kanał Sueski w 1956 roku

nialne w Afryce i Azji oraz stanowiło zagrożenie dla pozycji mocarstw zachodnich na rozległych, ważnych ekonomicznie, politycznie i strategicznie, obszarach Bliskiego Wschodu. Z drugiej strony wrzawa, jaką rozpetano na Wschodzie, była odbiciem taktyki określonych kół zwolenników tradycji egipskiego kolonializmu, którzy wykorzystując akcję egipską jako pretekst, chcieliby zastraszyć dawne ludy kolonialne i półkolonialne i zmusić je do odwrotu.

W okresie sueskim w Wielkiej Brytanii wzięły górę poglądy pravicowych konserwatystów, którzy nie doceniali znaczenia wzmocnienia się ruchu narodowego i nie uznawali nowych realiów światowych, a zwłaszcza nie mogli się pogodzić z faktem zmniejszenia się brytyjskiego znaczenia w świecie. Już wcześniej premier brytyjski stał się zwolennikiem zastosowania siły zbrojnej przeciwko Egipsowi. Dał temu wyraz w czasie swej wizyty w Stanach Zjednoczonych na początku 1956 r., a także po wydaleniu Głubba z Jordanii, 1 marca 1956 r., oraz w czasie wizyty radzieckich mężów stanu w Anglii w kwietniu 1956 r.

Nacjonalizacja Towarzystwa Kanału Sueskiego podchwyciono więc jako niepowtarzalną okazję do powrotu siłą do Egiptu i obalenia rządów prezydenta Nasera. Zdając sobie sprawę z tego, jak trudno byłoby mu dochodzić swych roszczeń na drodze prawnej, rząd brytyjski zdecydował się na stosowanie siły zbrojnej przeciwko Egipsowi wspólnie z Francją, która w tym okresie traktowała Nasera za wroga nr 1 i była gotowa wziąć udział w akcji wojennej.

Wobec braku wystarczających sił powietrznych i morskich w tym rejonie świata dla przeprowadzenia natychmiastowej akcji zbrojnej, przygotowując się do inwazji, rządy Wielkiej Brytanii i Francji zgodziły się na podjęcie akcji dyplomatycznej, zainicjowanej przez Stany Zjednoczone, które — choć zajęły wrogie stanowisko wobec nacjonalizacji kanału — nie miały interesu w powrocie i usadowieniu się swych rywali na Bliskim Wschodzie i tą drogą akcji zbrojnej, alienującej od Zachodu Arabów i nowo niepodległe państwa Azji i Afryki.

Odbłyły się dwie konferencje londyńskie, misja „Pięciu” pod przewodnictwem australijskiego premiera Roberta Menziesa w Kairze, zawiazanie stowarzyszenia Użytkowników Kanału Sueskiego oraz zabieg dyplomatyczny na terenie ONZ. Posunięcia te nie miały jednak na celu wszczęcia rokowań z Egiptem. Nie próbowano dojść do porozumienia z rządem egipskim. Miały one charakter ultimatywny przy założeniu, że zostaną odrzucone, co w odpowiednim czasie dałoby pretekst do wszczęcia operacji wojskowej przeciwko Egipsowi.

RZĄD EGIPSKI DZIAŁAŁ BARDZO OSTROŻNIE,

nie dawał żadnego pretekstu do użycia siły zbrojnej i okazywał gotowość przeprowadzenia konsultacji, ale nie podporządkowania się dyktatowi. Pod tym względem rząd egipski miał poparcie krajów socjalistycznych, arabskich i niez zaangażowanych. Wyrazem pomocy tych państw — a przede wszystkim państw socjalistycznych — było udaremnienie próby Wielkiej Brytanii i Francji unieruchomienia Kanału Sueskiego przez wycofanie zachodnich pilotów, przez co oba kraje chciały uzyskać pretekst do użycia siły zbrojnej przeciwko Egipsowi.

Pozbawione wszelkich pretekstów, Wielka Brytania i Francja w obliczu antywojennego stanowiska opinii światowej i dużego odłamu społeczeństwa we własnych krajach, zdecydowały się wykorzystać inwazję Synaju przez Izrael dla rozpoczęcia swej operacji, z ręką na zamiarem rozdzielenia walczących sił Egiptu i Izraela oraz ochrony Kanału Sueskiego.

Izrael uznał pojawienie się Nasera jako popularnego przywódcę arabskiego za potencjalną groźbę dla swej ekspansjonistycznej polityki.

Już wcześniej Izrael przygotował się do opasowania Synaju (zajęcia strefy El-Audża), lecz dopiero po upaństwowieniu Kanału Sueskiego Izraelczycy mogli myśleć poważnie o udziale w operacji przeciwko Egipsowi. Początkowo synchronizacją akcji z Izraelem zajmowali się Francuzi, następnie, w drugiej połowie października, także oficjalne czynniki brytyjskie poparły trójsstronny plan akcji.

Rozpoczynając 29 października 1956 r. działania wojenne,

IZRAEL MIAŁ ULATWIONE ZADANIE

W obliczu koncentracji wojsk brytyjsko-francuskich na Cyprze, władze egipskie wycofały po nacjonalizacji połowę stanu swoich wojsk, stacjonujących w normalnych warunkach na Synaju. Wojska izraelskie otrzymywały broń i amunicję drogą powietrzną, przy pomocy francuskich samolotów transportowych startujących z Cypru. Ponadto Francja zapewniła Izraelowi osłonę powietrzną i morską. Pomimo tego, wojska izraelskie nie mogły uzyskać rozstrzygnięcia aż do czasu rozpoczęcia bombardowań lotnictwa brytyjsko-francuskiego, kiedy to rząd egipski wydał rozkaz wycofania się z Synaju.

Ultimatum brytyjsko-francuskie opierało się o fikcyjne założenie, że walki toczyły się w pobliżu Kanału Sueskiego. W owej rzeczywistości

ultimatum sprowadzało się do zaproszenia Izraela do marszu w kierunku Kanału Sueskiego. W ten sposób już w następnym dniu po akcji izraelskiej wyszła na jaw kolaboracja trzech państw w przygotowaniu wojny przeciwko Egipsowi. Ultimatum stanowiło ponadto naruszenie przez oba mocarstwa wielu umów, których były sygnatariuszami (Konwencja w Konstantynopolu z 1888 r., deklaracja amerykańsko-brytyjsko-francuska z maja 1950 r., brytyjsko-egipskie porozumienie z 1954 r. oraz Karta Narodów Zjednoczonych).

Interwencje trzech państw można zakwalifikować jako agresję. Artykuł 1 Karty ONZ postanawia w punkcie 1: „(...) załatwiać i rozstrzygać spory lub sytuacje, mogące prowadzić do naruszenia pokoju, w drodze pokojowej według zasad sprawiedliwości i prawa międzynarodowego”. Także punkt 2 artykułu głosi: „Wszyscy członkowie załatwiać będą swe spory międzynarodowe środkami pokojowymi w taki sposób, aby nie dopuścić do zagrożenia międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa oraz sprawiedliwości”. Karta NZ nie zna przypadków „wojny legalnej”, w odróżnieniu od Karty Ligi Narodów, która pozwalała na rozstrzygnięcie sporów w drodze wojny, po wyczerpaniu określonych środków procedury pokojowej. Bezpośrednią odpowiedzialność za utrzymanie pokoju państwa członkowskie nałożyły na Radę Bezpieczeństwa.

INWAZJA BRYTYJSKO-FRANCUSKA

trwała zaledwie dwa dni od momentu desantu na Port Said rankiem 5 listopada. Silna reakcja przeciwko interwencji nie została wzięta przez oba mocarstwa w rachubę. Liczono bowiem na to, że Stany Zjednoczone będą zajęte wyborami, a ZSRR kwestią węgierską. Zaprzestano jednak inwazji nie osiągnąwszy ani zamierzonych, ani ogłoszonych celów. Zdecydowało to stanowisko Wielkiej Brytanii, zajmujące centralne miejsce w kwestii sueskiej. Decydującymi czynnikami były tu: opozycja labourzystowska i lewicy brytyjskiej, różnice zdań w łonie partii konserwatywnej, negatywne stanowisko Stanów Zjednoczonych, przerwa w dostawach naftowych, potępienie agresji przez kraje arabskie i Wspólnotę Brytyjskiej, negatywne stanowisko Rady Bezpieczeństwa i Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Decydującą rolę odegrała jednak — oprócz oporu samych Egipcjan — nota rządu radzieckiego do rządów Wielkiej Brytanii, Francji i Izraela oraz jednoczesna akcja ZSRR na forum Rady Bezpieczeństwa i wystosowana do Stanów Zjednoczonych propozycja wspólnej radziecko-amerykańskiej interwencji w celu powstrzymania agresji.

Agresja została powstrzymana i po kilku tygodniach wojska brytyjsko-francuskie musiały wycofać się z Egiptu, zaś izraelskie do 8 marca 1957 r. Główną batalię o ewakuację wojsk agresorów z Egiptu stoczono na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych — Rady Bezpieczeństwa (30 i 31 października), Pierwszej Specjalnej Sesji Nadzwyczajnej Zgromadzenia Ogólnego (1 do 10 listopada), XI Sesji Zgromadzenia Ogólnego (12 listopada 1956 r. — 8 marca 1957).

Rozpoczęcie przez Izrael działań wojennych postawiło Stany Zjednoczone w niezręcznej sytuacji. Odmowa Wielkiej Brytanii i Francji współpracy w ramach trójsstronnej deklaracji z 1950 roku, w której zmierzającej do powstrzymania agresji izraelskiej, przekonała Amerykanów, że wszystkie trzy państwa były ze sobą w znowie. W tych warunkach milczenie Stanów Zjednoczonych byłoby pożyteczne dla cichego poparcia dla akcji trzech państw przeciwko Egipsowi. Stany nie chciały aprobować powstania niebezpiecznego precedensu ani polityki faktów dokonanych w kwestii grożącej nieobliczalnymi konsekwencjami dla pokoju. Z drugiej strony Stany Zjednoczone, przejmując inicjatywę w Radzie Bezpieczeństwa i początkowej fazie obrad Pierwszej Nadzwyczajnej Sesji Zgromadzenia Ogól-

nego, nie chcieli jednak dopuścić do przejęcia inicjatywy przez ZSRR ani do potępienia trzech agresorów.

Negatywne stanowisko Stanów Zjednoczonych było także podyktowane tym, że w owych dniach uwaga administracji amerykańskiej była skierowana na Węgry i Polskę. Niektóre amerykańskie koła polityczne sądziły, że nadzedł upragniony przez nie moment „wyzwalania” krajów demokracji ludowej. W postulowanej przez te czynniki amerykańskie akcji zbrojnej czołową rolę odegrały siły zbrojne Wielkiej Brytanii i Francji. Tymczasem oba kraje były zajęte wyprawą sueską. Obrady Rady Bezpieczeństwa stały pod znakiem potępienia najpierw akcji izraelskiej, a następnie brytyjsko-francuskiego ultimatum i bombardowań terytorium egipskiego przez lotnictwo Wielkiej Brytanii i Francji. Argumenty obu mocarstw o rozdzieleniu sił walczących i ochronie Kanału Sueskiego okazały się całkowicie nieprzekonywające. Jedynie dzięki zastosowaniu weta udało się delegatowi brytyjskiemu i francuskiemu powstrzymać uchwalenie nieprzychylnych dla siebie rezolucji. Anglia i Francja nie mogły jednak nie dopuścić do przyjęcia proceduralnej rezolucji zwołującej nadzwyczajną sesję Zgromadzenia Ogólnego.

Rządy Wielkiej Brytanii i Francji traktowały swoją interwencję jako „akcję policyjną”. Uzasadnili one zaprzestanie działań wojennych między innymi od zgody Egiptu i Izraela na przyjęcie sił Narodów Zjednoczonych. Postulat ten był posunięciem taktycznym, podjętym pod silnym wpływem opozycji wewnętrznej i międzynarodowej. Intencją obu mocarstw było po prostu, by Zgromadzenie Ogólne uznało za wojska policyjne ONZ oddziały brytyjskie i francuskie, które miały niebawem wyładować w rejonie Kanału Sueskiego. Uderzająca jest tu analogia z wojną koreańską. Warunek brytyjsko-francuski nie nadawał się w swej pierwotnej postaci do przyjęcia ani dla Zgromadzenia ani tym bardziej dla Egiptu. Pragnąc pomóc Wielkiej Brytanii i Francji Kanada przedstawiła projekt rezolucji o utworzeniu Doraźnych Sił Zbrojnych NZ (UNEF) na Bliskim Wschodzie.

Od początku obrad Nadzwyczajnej Sesji Zgromadzenia Ogólnego można było zauważyć dwa nurty negatywne w stosunku do interwencji trójsstronnej. Jeden nurt, łączący kraje socjalistyczne i grupę państw afro-azjatyckich (która właśnie się wytworzyła), stał na gruncie bezwarunkowego zakończenia interwencji brytyjsko-francuskiej i wycofania wojsk izraelskich poza linie rozejmowe. Sprawą wykonania postanowień rezolucji mieli się zająć UNTSO (Organizacja Nadzoru Rozejmu) i sekretarz generalny. Drugi nurt, skupiający zwolenników kanadyjskiego postulat, dążył do ugłaskania agresorów w imię zachowania ich prestiżu. Próby znalezienia formuły kompromisowej w warunkach trwającej agresji i okupacji musiały się odbyć kosztem ofiary.

KRAJE SOCJALISTYCZNE UWAŻAŁY

powołanie Doraźnych Sił Zbrojnych NZ za naruszenie Karty, gdyż jedynie Radzie Bezpieczeństwa przysługuje prawo zastosowania siły zbrojnej. Wobec tego, że rząd egipski nie zgłaszał sprzeciwu wobec powołania UNEF, kraje socjalistyczne traktowały rezolucję dotyczącą UNEF jako wyraz woli państw powołujących tę siłę. W związku z tym wstrzymały się od głosu. W sprawach finansowania UNEF wspomniane kraje uważały, że koszty tych sił oraz odszkodowanie za szkody wyrządzone Egipsowi w czasie działań wojennych, jak i koszty oczyszczenia Kanału Sueskiego powinny ponieść państwa, które dokonały agresji. Kraje socjalistyczne potępiały próby mocarstw zachodnich wymuszenia ustępstw na Egipcie w zamian za wycofanie wojsk okupacyjnych.

Najdłużej pozostały na ziemi egipskiej izraelskie siły zbrojne (do 8 marca 1957 r.). Wykorzystując okupację jako element przetargu Izrael osiągnął rozmieszczenie UNEF jedynie po egipskiej stronie linii rozejmowej (rejon Gazy) oraz w Szarm-El-Szejk nad Zatoką Akaba, zapewniając sobie swobodę żeglugi. Obecność sił ONZ w rejonach Gazy i Szarm-El-Szejk — bezterminowa, choć zależna od zgody rządu egipskiego — ograniczała suwerenność Egiptu na własnym terytorium.

IZRAEL WYRZĄDZIŁ EGIPSIOWI WIELE SZKÓD

materiałnych. Szczególnie ciężkie szkody wyrządziły wojska izraelskie przed wycofaniem się z każdego zajętego terenu: niszczone drogi, kołpnie i budynki, dokonywano aktów grabieży. Wszystko to działało jako bezkarnie i pod pozorem zastosowania się do rezolucji Zgromadzenia Ogólnego o ewakuacji. Izraelowi głównie chodziło o opóźnienie rozwoju gospodarczego i militarnego Egiptu, w myśl swoistego rozumianego „prawa do samoobrony”.

Jeżeli Izrael mógł zapisać na swoje konto kilka osiągnięć, to Wielka Brytania i Francja notowały porażki: utratę resztek pozycji w Egipcie, przekreślenie porozumienia brytyjsko-egipskiego z 1954 r., utratę bazy sueskiej i wielu dalszych pozycji na Bliskim Wschodzie, osłabienie stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, zachwianie prestiżu obu mocarstw w świecie, upadek rządu Edena. Jednocześnie nastąpił dalszy wzrost ruchu narodowego i podnosił się autorytet krajów socjalistycznych wśród Arabów. W celu powstrzymania procesu wypierania wpływów zachodnich z Bliskiego Wschodu, Kongres amerykański uchwalił w dniu ostatecznego wycofania się Izraela z Egiptu (8 marca 1957 r.) tzw. „doktrynę Eisenhowera”, głoszącą konieczność przejęcia przez Amerykanów bliskowschodniej „próżni” wytworzonej przez porażkę Wielkiej Brytanii i Francji.

(Autor jest adiunktem w Międzyuczelnianym Instytucie Nauk Politycznych UL)

Postać Jakuba Casanovy, autora i bohatera sławnych na cały świat Pamiętników jest tak problematyczna i arcyzabawna, jak jego rozpustne przygody miłosne i całe przedziwne życie.

Casanova, jakiego znamy dzisiaj, to w jednej osobie: człowiek, który żył i wiele kochał — oraz postać zmyślona, która stała się prototypem pewnej kategorii ludzi. Prawdziwy humorysta — a jednocześnie dzieło humorysty. Najweselej awanturnik osiemnastego, sensacyjny bestseller dwudziestego i sławny na cały świat bohater dwudziestego stulecia.

Nie ma prawie rzeczy, o którą nie pomyślałoby by tego zadziwiającego człowieka: z kolei niemal wszystkiemu zaprzeczano. Rzadko się zdarza, by ktoś równie otwarcie, bez żadnych osłonek zwierzał się z przeżyć, które inni lekliwie starają się okryć tajemnicą. Mimo to niektórzy krytycy nazywają go jednym z najbardziej wstydlivych kłamców w literaturze światowej.

Kwestionowano nawet jego istnienie. Pamiętniki uznano za bezcenne fałszyki. Pewien paryski bibliofil zapewniał, że w Pamiętnikach Casanova rozpoznaje dzieło Stendhala, poety o stu pseudonimach.

Natomiast pewien niemiecki uczynek napisał dwutomową wnikliwą rozprawę, by udowodnić, że Pamiętniki Casanovy stanowią jedno z najwiarygodniejszych źródeł historycznych osiemnastego wieku. Dziesiątki badaczy-specjalistów w dziesiątkach krajów przeorały całe biblioteki i archiwa, dokumenty weneckie i akta policyjne pięćdziesięciu miast, by dowiedzieć, że Casanova po stokroć powiedział prawdę, a tylko przegadnie pomylił jakąś datę czy miejscowość, przesunął takie czy inne wydarzenia historyczne, tu coś opuścił, tam coś dodał lub z przekonywającego dla pedantów powodu nie utrzymywał stosunku z córką amsterdamskiego bankiera Hoega, ponieważ przekorny bankier nie miał córki, tylko syna.

Czy Casanova, bożyszcze kobiet, był przynajmniej pięknym mężczyzną? Zdaniem jego dowcipnego przyjaciela, Karola de Ligne, „byłby bardzo piękny, gdyby nie był szpetny”.

Ale czy był on istotnie jednym z największych uwodzicieli wszystkich czasów? W Pamiętnikach, obejmujących okres czterdziestu lat, Casanova wymienia po nazwisku około stu szesnastu kochanek. Zaledwie trzy kochanki w roku; na kawalera, który nieustannie podróżował po Europie, spotykał tysiące ludzi wszelkich klas i narodowości i sam wyznał, że czuje się stworzony dla pięćdziesięciu — to chyba niewiele.

Ponadto z jego opowiadań wynika, że byłoby mu trudniej obronić się przed niektórymi dziewczętami niż je zdobyć, że — mało wybredny — nie zrażał się ani wiekiem, ani środowiskiem społecznym czy koniecznością ofiar; że wiele kobiet przekupywał pieniędzmi, podarunkami i dobrodziejstwami. Jedną zdobywał dzięki szczęśliwemu przypadkowi, inne oczywiście uwodził bezcennymi fortelami i sztuczkami, a czasem zdumiewającą psychologiczną finezją.

Co czyni go prototypem wszystkich uwodzicieli? Technika? Namietność? Róg obfitości w spodniach (jak powiedział Barbey d'Aureville)? Czy był encyklopedystą zmyślowej miłości? Seksualnym atletą? Czy fortelle i chwytły jego sztuki uwodzieleńskie były aż tak wyjątkowe? Czyżby zadecydowała o tym pasja, z jaką uprawiał i opisał swoje prawdziwe i rzekome sukcesy? A może miał nowe pomysły w tej dziedzinie, w której niezmordowany wynalazczość człowieka tak żarliwie zawiadza?

W jednym ze wstępów do Pamiętników, o wnych apologii dwunastotomowej apologii, Casanova oświadczył, że napisał je nie ku własnej chwałie, lecz jako satyrę na samego siebie. Mimo płomiennych zmyślowości, nie chciał uchodzić za człowieka zmyślowego; nigdy bowiem dla rozkoszy zmyślowej (która wprawdzie była głównym celem jego życia) nie zapomniał o obowiązkach, o ile w ogóle je miał. Twierdził, że był niezmordowanym amatorem, lecz nie zawodowym kochankiem czy uwodzicielem. (...)

Casanova stał się typem charakterystycznym na skalę światową przede wszystkim dzięki środkom literackim. Był jednym z najznakomitszych mistrzów autoreklamy wszystkich czasów.

Niepodobny do Don Juana, legendarnego kolekcjonera „numerów” w swej kartotece i seksualnego łowcy skaupów, którego, zdaje się, gnał skryty lek przed impotencją, Casanova nie był maniakiem, lecz dowcipniścem. Ten moralizujący amoralista to cynik, który jednocześnie chętnie się swoją pobożnością i występami. W poglądach na honor, obyczaje i sumienie zawsze przystosowywał się do otoczenia.

Jego filozofia był kokietyrny artykułem mody. Jako hedonista powoływał się na stoików. W młodości anarchista, przystąpił później do wolnomularstwa, w owym zaś czasie wolnomularze, podobnie jak encyklopedyści, uchodzili za ojców orzyszych rewolucji. Na starość stał się koniunkturalnym wrogiem rewolu-

cji i ludzi Oświecenia; lecz żył wtedy wśród arystokratów i pisał dla „wyższych sfer”.

Obok podniecających, pozornie absorbujących go przygód miłosnych, Casanova wiodł życie w pełni czynne i w pełni próżniacze; holdował różnym, pochłaniającym czas namietnościami i dokonywał licznych żmudnych transakcji. Więcej działał, pełniej żył niż tuzin przeciętnych smiertelników. Był amatorem o tysiącach zainteresowaniach, dyletantem w stu dziedzinach.

W czasie, kiedy podróżowanie było mozolne i nad wyraz uciążliwe, znajdował się w nieustannych rozjazdach jak Żyd Wieczny Tulacz. Obdarzony świetną pamięcią, z największą łatwością studiował różne dziedziny nauki, śledził najrozmaitsze galezie literatury swej epoki, a w miarę przybywających lat prowadził coraz bardziej ożywioną korespondencję z wielu sławnymi i znakomitymi osobistościami, pisząc w trzech językach: włoskim, łacińskim i francuskim.

Przełożył Iliadę Homera na włoskie tercyny, Woltera i innych francuskich autorów na je-

HERMANN KESTEN

Kim był prawdziwy Casanova?

zyk włoski prozą i wierszem. Za życia wydał drukiem po francusku i po włosku dwa tuziny książek, wśród których znalazły się rozprawy historyczne, matematyczne, astronomiczne, ekonomiczne, filozoficzne i utwory beletrystyczne, świadczące o rzetelnej wiedzy i osobistym doświadczeniu. Wydawał czasopisma, założył fabrykę, zarządzał kantorem loteryjnym i brał udział w organizowaniu loterii Ecole Militaire. Był sekretarzem adwokata, kardynała, kapitana galer, posła. Był bibliotekarzem. Podróżował z polecenia wolnomularzy i różnokrzyżowców. Był agentem dyplomatycznym króla Portugalii, agentem finansowym króla Francji; król pruski zaproponował mu stanowisko preceptora kadetów. Był szpiegiem kilku rządów i weneckiej Inkwizycji Państwowej, która go niegdyś więziła. Był zawodowym gra-czem i sprzymierzeńcem profesjonalnych szulerów, dyrektorem teatru i dziennikarzem, skrzypkiem, oficerem, człowiekiem wiecznie snującym projekty, poszukiwaczem złota i skarbow, oszustem, czarodziejem i szarlatanem. (...)

Na starość humorysta Casanova stworzył z siebie, z młodego szczęściarza Casanova, typ arcyuwodziciela i mógł za darmo po raz drugi deklamować się we wspomnieniu swym życiem i powtórnie uwodzić w myśl wszystkie dziewczęta.

Lecz dopiero po śmierci dzięki najfrywolniejszemu ze swoich dzieł stworzył siebie — jeśli zmarłemu można przypisywać twórczą działalność — uniwersalną sławę i trzecią egzystencję. Właśnie przez uświetnienie swego indywidualnego życia, plawiąc się w lubieżnej radości z własnej osoby i ze swych niewyczerpanych koncepcji, uczynił z siebie klasyczną postać. Odmierzając się niepomaganą szczerością i bezgraniczną miłością własną, zmienił awanturnicze życie czarującego wyko-lejca, w surrealistyczną legendę uwodziciela, któremu nikt nie mógł się oprzeć. W ten sposób sam stał się legendą.

Casanova żył rzeczywistości. Sam napisał swoje Pamiętniki. Był „nieślubnym synem” kipiącego życiem osiemnastego stulecia, weneckim bąkartem i kosmopolitą.

Wszędzie kochano go i on kochał wszędzie. Z jego ust i spod jego pióra płynęły potoki idei i przesądów stulecia. Wcisnął się wszędzie i nigdzie nie przynależał całkowicie, król pasyżów, przygodny narzeczony sans facon (bezceremonialny) w stałych rozjazdach.

Nowy podział władzy i bogactwa w społeczeństwie osiemnastego wieku wstrząsnął wszystkimi panującymi konwencjami. Wiek Oświecenia przyniósł obok obfitości wiedzy niejedną przesadę. Wśród synów tego stulecia znaleźli się wybujały optymiści, zakochani w ziemi i całej ludzkości; sądzili, że wszystko widzą inaczej i odkrywała na nowo: nowego Boga i nową logikę, nową wolność i demokrację, całe mnóstwo nowych wiadomości i pojęć, nowe maszyny i nowe zarty, a także — obok wszystkich politycznych, społecznych, religijnych, technicznych i intelektualnych rewolucji — rewolucję życia płciowego, erotyki, ziemskiej miłości.

Wiek XVIII, jak każde stulecie, stworzył warunki dla nowego typu człowieka i na odwrót człowiek, który był najlepiej przystosowany do owych czasów, nadał temu nowemu typowi własne cechy. Podobnie jak Napoleon dzięki rewolucyjnej levée en masse (ruch masowy) wykazał geniusz militarny jako masowy konsument meczczyzn, tak w Casanovie zrodził się nowy geniusz erotyczny, masowy konsument kobiet, „Sprawila to ilość”.

Klasyczna starożytność wyobrażała sobie postać uwodziciela bosko-humorystycznie: taki Jowisz na przykład był zawsze śmieszny w swych lubieżnych przemianach od byka do złotego deszczu.

Chrześcijaństwo ze śmiertelną powagą pasowało szatana na arcyuwodziciela; zadawał się on zarówno ze starymi, jak i młodymi czarownikami, ba, w ciągu jednej tylko nocy Wal-purgii prześcignął pod względem masowej konsumpcji wszystkie życiowe sukcesy Casanovy i Don Juana.

Nieco później rysy uwodziciela nabrały cech bardziej ludzkich. W Prowansji stał się poetyczny jak trubadur, gdzie indziej demoniczny jak Faust, niemiecki mistyk, albo jak Don Juan, pełen pogardy dla kobiet Hiszpan z kompleksem buchałteryjnym.

Casanova sprawił, że uwidzenie straciło charakter bosko-pogański, grzeszno-chrześcijański i demoniczno-poetycki. Z niebiańskiego mitu, grzesznego upadku w otchłań piekielną i z ziemskiej tragedii miłości uczynił seksualną przygodę, erotyczną farsę i satyrę, namietną

grę zmyśłów, rozkosz bez grzechu, miłość bez tragizmu. (...)

Zdolny tego samego dnia zakochać się z młodzieńcem i zarem w kilku kobietach wierzył za każdym razem, że nigdy przedtem nie kochał jeszcze tak gorąco, jak w danej chwili i zarażał kochankę tą wzruszającą wiarą w cud.

Rozrzućnik, darowywał całą swą siłę witalną coraz to nowym przyjaciółkom w coraz to nowych ekstazach i każdą szczerze obdarzał pieniędzmi, bezmiarom czułości i słów, gdyż spośród wszystkich amantów był najwymowniejszy i najgadatulwyszy. Nie darmo z meczczyzny, który wiele dziewcząt uwiodł samą tylko sztuką wymowy, zmienił się w erotycznego pisarza, u-wodzącego czytelników sztuką obrazowania i podniecającego ich zmyślowością samymi słowami.

Stary ten zbieracz widział w każdym nowym uwidzeniu rozkosz dla siebie i dla swych ofiar. Jeśli mu się zaruca — pisał — że jego zbyt plastyczne opisy miłości rozgrzewają fantazję czytelnika, to tego właśnie chciał. Czytelnik jest jego przyjacielem, a autor małym kosztem sprawia mu przyjemność.

Casanova nie gardził — z wyjątkiem gwałtu i mordu — żadnym środkiem, zmierzającym do zdobycia kobiety i żadnym, by nie stracić tej, która tyłkaniem forteli dopiero co zdobył. Ow wyrafinowany egoista znał niezliczone chwytły i sztuczki, gdy pragnął uzyskać od dziewcząt to, co — jak zapewnia — jedynie wtedy mogło go uszczęśliwić, gdy uszczęśliwiała dziewczęta.

Lecz najpiękniejszą i najmocniejszą bronią Casanovy była hojność i szczęście. Szczególnie jeśli chodzi o czas, był niesłychanie szczerzy. Dziewczęta zdobywała się wytrwałością. A szczególnie, które odczuwała i przekazywał, było jedynie w swoim rodzaju. Każdej kobiecie schlebia świadomości, że potrafi niewielkim (że tak powiem) wysiłkiem uczynić meczczyznę tak bezgranicznie szczęśliwym. A miłość rzadko daje kobietom prawdziwe szczęście. Miłość rzadko uszczęśliwia.

Polowa jego życia była niemal nieprzerwaną rozkoszą, którą dzielił ze stu czy dwustu kobietami. Bywało, że chciał się z którąś z nich ożenić, lecz nigdy do tego nie doszło. Dla niejedynej postarał się o dobrą partię — bezinteresowny rajfur, pragnący jednocześnie na swój sposób „uchodzić za bezinteresownego kochanka, ba, nawet w bilansie swojego życia za u-wiedzonego uwodziciela. Ten legendarny bohater permanentnej miłości, kochanek całego zastępu kobiet, sam siebie nazywał ich ofiarą, la dupe des femmes. (...)

Zespół ludzi w jego Pamiętnikach — to całe mrowie wybitnych osobistości wielkoświatowych i prowincjonalnych, zwirowane figur, przedstawiciele wszystkich klas i stanów, królowie i kurtyzany, szubrawcy i księżniczki, tancerze i zakonnice, papieża i szarlatani. Casanova zna cały świat.

Kocha w każdej sytuacji: w łóżkach, w pojazdach, na schodach, w łaźniach i na łonie przyrody. Uprawia miłość we wszystkich pozycjach: na stojąco, leżąc, siedząc, z jedną dziewczyną, z dwiema dziewczynami, we dwóch z jedną dziewczyną, z fałszywymi eunuchami, z własną siostrzenicą, ze swoją nieślubną córką, ze spotkanymi po trzydziestu latach starymi przyjaciółkami, z dziesięcioletnią, z siedemdziesięcioletnią — przy czym widok nagiej dwudziestolatniej przyjaciółki dodaje mu siły — z dwiema siostrami jednocześnie, z matką i córką, z prostytutkami i niewinnymi, których cno-

te potrafi uszanować. Kocha wśród śmiechu, kocha wśród łez, kocha wśród przysięg i fałszywych obietnic, wśród szczerych ślubowań i istnych kaskad słów, przy świetle i w ciemnościach, z pieniędzmi i bez pieniędzy, za pieniądze, a jeśli nie kocha, mówi o miłości, wspomina miłość, pragnie miłości i jest pełen miłości: to jedna wielka i dość pogańska pieśń na cześć miłości, potężny hymn uwielbienia, dla całej picie niewieściej. (...)

Smak tajemnicy, intryg, zawziętych przygód miłosnych i niespodzianek, maskarady i szpiegowania poznał Casanova już w mieście rodzinnym, Wenecji, i w weneckich teatrach, za których czarodziejskimi kulisami wzrósł. Jakas biesiada, spacer za bramą, spotkanie w gospodzie, ludzie na ulicy i w teatrze — wszystko prowadziło do najbardziej pasjonujących przygód, wszystko gmatwało się w tajemniczy i zaskakujący sposób, wszystko wiodło do miłości i alko, do stołu gry i pojedynku, do maskarady i ucieczki, a także niestety, coraz częściej do policji, więzienia, na wygnanie, ba, nawet w pobliże szubienicy.

Ludzie, o których wiemy zbyt wiele stają się dla nas z czasem bardziej zagadkowymi niż ci, o których wiemy mało. Tajemniczy Casanova opowiadał podobno „wszystko”, nie oszczędzając ani siebie, ani innych. Nagle wszystko staje się wątpliwe, nawet wtedy, gdy mówi prawdę, a mówi ją przeważnie. Nic nie brzmiał tak niewiarygodnie, jak niekonwencjonalna prawda. (...)

Sam Casanova, jeden z najbardziej drobniagowych i najmniej dyskretnych pamiętnikarzy, usprawiedliwiał niepewność swych Pamiętników dyskretną w stosunku do bliźnich, przestrzegając w ich interesie. Rzekomo brak mu cynizmu mizantropa i dlatego nie mógł opowiedzieć pewnych zdarzeń. Podziela także wszystkie przesady „wyższych sfer”.

Mimo iż był synem biednych aktorów i do-robkiewiczów, mimo iż wielokrotnie upadał i znów się dźwigał, zawsze stał po stronie bogaczy i dawnego reżimu, który się go zewsząd pozbywał i wtrącał do więzień. Nienawidził wszelkich demagogów i rewolucjonistów oraz ich wielkich prekursorów, jak Wolter czy Rousseau, gdyż wcześniej pojął, że zamykali oni studencie uciech, epokę jedwabnych pończoch i gładkich manier, błyskawicznych szpad i awanturników.

Zamiast z ubóstwem bratał się z rozpustą, odszczepieniec sygnający z komediankami całej Europy, uczujący i grający z markizami i księżkami, zdradca własnej klasy, lecz nie Tar-tuffe. Oszukiwał wszystkich, wrogów, przyjaciół i większość swych przyjaciół, ale błędy swe wystawiał na pokaz tak otwarcie, jak at-lasowe spodnie, złote puzderka i dukaty, którymi pobrzekiwał we wszystkich kieszeniach, jak swoją zawsze skorą do działania szpadę i to, co poza nią już za młodu miał stale w po-gotowiu, a także fałszywe tytuły i bezwartościowe ordery.

Kim więc był prawdziwy Casanova? On sam uważał się za lekkomyślnego, ale po-cziwego i w gruncie rzeczy porządnego czło-wieka. Sądził, że spokojnie może pokazać się w negliżu, a niekiedy nawet nago.

Jak mamy go cenić? Czy był żadnym życia awanturnikiem, który odwiedzał papieża i kró-lów, zwycięskim współzawodnikiem Cagliostro i księcia de Saint-Germain?

Czy nie pozbawionym geniuszu, zbankruto-wanym literatem, wyuzdanym autobiografem, satyrycznym autoparodystą i nieubłagany kronikarzem obyczajów osiemnastego stulecia, wszechstronnym, pełnym dowcipu dyletantem, skrajnie wyrafinowanym i najbardziej wstydli-wym narratorem przygód swoich czasów?

Ow stały klimat teatru, szaleńcze tempo kó-mediowe, cały ten farsowy świat, żywiołowa żądza użycia i ciągłe powtarzane rozkosz, tak dumna z siebie, jak gdyby była zasadniczym założeniem stworzenia, pałacy oddech namiet-ności, tysięczne nastroje i donośny, beczelny chichot, owe faunowe echo osiemnastego stu-lecia — czy to wszystko jest wymysłem zartre-tyzowanego starca, który gdzieś w czeskiej wsi zdolny był już tylko pisać pamiętniki i upiększać romantyzmem karierę szubrawca?

Czy owe spróśne Pamiętniki zawierają rze-czywiście tylko seksualne marzenia starego, py-szałkowatego impotent? Czy mógł jednak im-potent-komediopisarz wyssać z palca tę arcy-potentną postać farsową, owego płonącego wszystkimi namietnościami facecjonistę i pa-sożyta miłości?

A może w tych priapowych Pamiętnikach kryje się urzekający odbłask nieokiełzanego i wesolego żywota jakiegoś arcypondeirzanego, do głębi niemoralnego, opętanego żreciem erotycz-nym geniusza?

Fragment książki „Casanova”.



Agonia w błysku stu słonec

Jacek Sawaszkiewicz

(10)

Florence miała ochotę wierzeć i kwiczeć. Odprowadziła wzrokiem samochód, który ruszył majestatycznie kołując się na wertepach i rozciągając za sobą zastawę z pyłu.

— Ja tylko chciałam... chciałam...

— No, pewnie. Ty tylko chciałaś.

— Ja tylko chciałam p o m o c

— Ale masz szczęście! Wiaśnie nadarza się okazja. Chwytaj za te linki i zakładaj je na śledzie — tato na powrót zaczął wywijać młotkiem.

Florence tupnęła nogą. Rół przeszył jej pięte.

— Jeeezu! — wrzasnęła z furii, która zaszkliła jej oczy i zabiła w niej chłód. Niech on te linki założy sobie na szyję, kur-de! Nadziany Durwood zapłacił za ich bilety na rewie i zarezerwował stół w takiej restauracji, wszystko zostało ustalone i zatwierdzone: godzina spotkania, środek lokomocji i nawet miejsce na udzie, dokąd pozwoli sięgnąć Murrayowi. A tu raptem tato, Fizyczna Sprawność i Hart Ducha, zdecydował, że ona jedzie z rodziną na biwak. Niech on się na tych linkach, kur-de, powiesi!

— I nie próbuj ze mną swoich sztuczek z atakami ślepej kłótni czy czymś. Nie ruszysz się stąd, dopóki ja się stąd nie ruszę.

— Dopóki ty się stąd nie ruszysz? — No więc nikt nie będzie czekał na to wydarzenie sezonu. — Nawet gdybym miała tu skonać?

— Nie kona się z powodu straconej randki.

— To więcej niż stracona randka. To stracona twarz.

To w ogóle koniec ostateczny, bo jak ona nawali, Murray znajdzie na to popołudnie inną dziewczynę, która może nie będzie psuć sobie zabawy wyznaczaniem miejsca na udzie, pozwoli mu sięgnąć w szedzie. Wiadomo, ile jest takich, co z zapalem wręcz karłowatym wyrażają chłopcom swoją wdzięczność. Trzeba temu koniecznie zapobiec, i niech się tato wypcha! Ona wyśnie stąd zaraz po lunchu.

— Straciłaś twarz, Florence, ale ocalisz honor... jeżeli wiesz, o czym mówię.

— Honor! W średniowieczu na pewno znali się na tym lepiej ode mnie. — Ten honor przyniosła ze sobą na świat, nie rozstała się z nim do dzisiaj i coraz słabiej opierała się pokucie, by go powtórzyć. Komuś możliwie szybko i bezboleśnie. — Jestem już pełnowartościową, tatustu.

— Co ty powiesz!

Wzięła swoją torebkę, rozepnęła dwa guziki przy dekoltie, poprawiła faldy spódnicy i oddali się stąd zamaszystym krokiem.

— Jestem dorosła i mogę robić to, na co mam ochotę.

— Naprawdę?

Wyjdzie na zewnątrz i zatrzyma pierwszy przejeżdżający samochód.

— Po lunchu wracam do miasta.

— Ty tu nie masz nic do gadania.

To się jeszcze okaże. Ale do lunchu warto by trochę poleżeć w kostiumie na słońcu i utrwalić opaleniznę. Och, tak! I przecież wzięła ze sobą ten kostium. Ten, który tato w nieprawdopodobnej złości nazwał „dziwkarskim lachem”. Cudownie, wspinała, niech się Jarecki powściąka!

Florence podeszła do turystycznej torby i spomiędzy drobniaków wyłowiła swoje sekretne zawiniątko.

— Idę się przebrać — powiedziała. — A może mi nie wolno? Czy wolno mi się przebrać, tatustu? W opalaczu?

Pan Leinster odburknął niezrozumiale. Florence ze staniem zawiadła przeziębionym przez ramie opuszczającym się w powietrze i wśliznęła się w kostium. Florence ostoiła twarz przed słońcem, podniosła oczy na niebo i wtedy...

— Traaach! — wrzasnął Powell.

Rzucił przed siebie otwarty impregnowany kubelek z keczupem i nacisnął spust elektrycznego Smitha i Wessona. Kubelek przeleciał obok głowy pana Leinstera, potem huknął strzał i niemal natychmiast czerwony, gęsty sos rozbrzysnął się przepysznym na płótnie namiotu — jak na tamtym filmie.

— O kurczę! — szepnął Powell zachwycony rezultatem.

Jego przybrany ojciec, któremu kula jednak nie rozerwała karku na strzępy, zastąpił w przysiadzie. Milcząc przyglądał się, jak keczup spływa po płachcie namiotu luźno zwisającej z masztów. Kiedy wreszcie odzyskał mowę, zaklął nierzadym kierowcą ciężarówki dwa razy w tygodniu wywołując z sierocinca odpadki.

— Jesteś trup-nieboszczyk-w-kalesonach — zakomunikował mu wesolutki Powell.

— Stephensonie Baden-Powellu... Czyś ty oszalał, na miłość boską? — Pan Leinster z irytacją układał już w myślach treść reprimendy, ale nagle odezwało się w nim sumienie. Ten biedny chłopiec stracił rodziców, zanim dane mu było zobaczyć pierwszą świecę na torcie urodzinowym, nikt z dalszych krewnych nie chciał go adoptować albo nie miał po temu warunków, i do trzeciego roku życia czekał on w sierocinicy na rodzinę zastępczą. W sierocinicy, gdzie wychowywano swoim podopiecznym z pewnością narzucając ograniczenia, hamując spontaniczny rozwój ich osobowości, kępiając samodzielność i wypaczając charakter. Powell był jego przybranym synem od dwóch lat i przez ten czas pan Leinster nieustraszenie naprawiał błędy popełnione przez wychowawców z sierocinicy. Rozpieszczał go i nierazko na zbyt wiele mu pozwalał, ale chłopcu, który tyle przecierpiał, należy się coś od życia, tak czy nie? — Jesteś szalony — powiedział już bez złości i nawet ze szczyptą ciepłego uznania, chociaż ten namiot trzeba będzie teraz umyć, a tu jak na przekór w zasięgu paru kilometrów nie ma kropli wody. — Przestrzeliłeś mnie na wylot. I co za naboje ty używasz, u licha, że robisz w ciowieku takie okropne dziury, synku?

— Okropne dziury! — podchwycił szczęśliwy Powell. — Na wylot!

Miał ekscytującą nadzieję, że wśród prowiantu rozłożonego na trawie znajdzie jeszcze jeden kubelek z keczupem. Pobiegł tam niesiony na skrzydłach własnej mocy, a pan Leinster, Wzorowy Uczeń Frąbła, Tolerancyjny Ojciec, śledził jego bieg z rozlęknieniem, po czym przeniósł spojrzenie na zarośla pod kępą drzew, skąd właśnie wyrzuciła się Florence.

Wyrzuciła się z tych zarośli jak nimfa, stąpając z włosami rozsypanymi na gotych plecach, z pochyloną głową, w skąpym kostiumie plażowym — mniozo wstydliwą. Wierzchnia odzież, którą nosiła przewieszona przez rękę, zasłaniała jej brzuch i biodra. Florence postanowiła, że dopiero kiedy będzie dostatecznie blisko, upuści tę odzież na ziemię, by przed wściekłym wzrokiem tatę ukazać się w pełnej krasie kostiumu — jego dolnej części ozdobionej czarnym lukrowanym napisem: DLA CIEBIE. Nim jednak dotarła do namiotu, spostrzegła, że tato już na nią nie patrzy, że w przysiadzie, wsparty na młotku, okrecza się bardzo powoli na palcach stóp, marszcząc brwi, jakby uchem Tropiciela Bizonów usiłował złowić tętent stada. Przystanęła i teraz ona także usłyszała ten dźwięk. Był nieuchwytny, mimo to zdawał się wypełniać całą przestrzeń, od horyzontu do horyzontu, zagęszczać powietrze i wprawiać je w subtelny wir. Florence ostoiła twarz przed słońcem, podniosła oczy na niebo i wtedy...

FRAGMENT EGZEGEZY Z „EWANGELIARZA ELIASA”

„Ten dźwięk był faktycznie ciszą, ciszą absolutną, a cisza ta była chwilą zwątpienia Wyszłych. Hierarchii Duchownych. Czuwający nad królestwami mineralów, roślin, zwierząt i ludzi Pomocnicy, w których działaniu Hierarchie owe nam się objawiają, przerażeni, a wraz z nimi na tę ulotną chwilę zamario życie w przyrodzie...”

NIC NIE WIADOMO

W stanie Georgia znalazła ujście rzeka podróży napływających z rozmaitych stron Ameryki. Ujście to było wszakże dosyć szerokie i zapobiegło tworzeniu się rozlewisk. Podobnie jak w przypadku każdego terenu o walorach turystycznych, do okręgu Griffin ludzie nieustannie przyjeżdżali i odjeżdżali stamtąd robiąc miejsce następnym, przy czym z dnia na dzień odbywało się to sprawniej, ponieważ malała ilość uciekinierów z Florydy, którzy karkowali ten ciągły ruch na autostradach.

Dla większości Elias był jeszcze jedną atrakcją turystyczną warty obejrzenia, czymś, co dałoby się porównać z Aligatorem Mówiącym Po Angielsku. Gdyby taki istniał; ludzie przyjeżdżali do Griffin, by tego samowznoszącego proroka zobaczyć naocznie, wysłuchać zwrotnych kazań i z prośbą o autograf podsunąć mu kupiony specjalnie na tę okazję egzemplarz „Ewangeliarza” jego autorstwa. Serio Eliasa traktowali niecierpliwie, ale było to grom uczniów wiernych i fanatycznych, i stale rosło.

W przeciwieństwie do Iry Buell, która śledząc w autobusie Greyhound, między oknem a swoim nowym przyjacielem Nicholem, zbliżała się do

wschodniej granicy stanu Kansas, Cedric Eccels nie czuł, że przynależy do grona uczniów Eliasa. Proroka tego traktował jednak serio. Każdą robotę, którą zlecił mu szef Agencji, Albert MacTea, traktował w ten sposób. Nawet gdyby mu kazano poszperać w przeszłości Kaczora Donalds, też by to zrobił sumiennie i z należytą powagą. Jego osobisty stosunek do zlecen nikogo nie obchodził. Nie płacono mu za to.

Wczoraj MacTea wezwał go do siebie zaraz z rana. Siedział rozparty w fotelu za biurkiem o blacie muzealnie czystym i pustym, jeśli pominąć leżącą na nim grubą, szarą kopertę.

„Chciałbym, żebyś się tym zajął, Ced” — powiedział mu i wskazał tę kopertę samym wzrokiem.

Eccels nie miał wątpliwości, że zawiera ona wydruki komputerowe.

„Kto to jest?” — spytał. „Nasz drogi czarny brat Elias — odrzekł MacTea. Lokcie opierał na poręczach fotela, dłoń miał splecioną i kciukiem gładził bransoletkę zegarka. — W założeniu”.

„W założeniu?” „Te dane dotyczą trzech Murzynów. Każdy z nich może być naszym drogim czarnym bratem, ale równie dobrze może być tylko sobą i nikim więcej”.

„To znaczy, że nie mamy jakiegoś punktu zaczepienia?” „To znaczy, że nie mamy nic”.

Eccels spojrział badawczo na MacTea, który teraz, siedząc za biurkiem, przypominał urzędnika. Bo kiedy MacTea stał, szedł korytarzem, grał w tenisa, zbiegał ze schodów, wkładał płaszcz czy jechał samochodem — urzędnika bynajmniej nie przypominał, chociaż był nim zawsze, odkąd Eccels zaczął pracować w Agencji.

„Są ludzie, których wygląd nieodparcie kojarzy nam się z określonym zawodem. Mówimy, że ktoś wygląda „jak barman”, „jak dyrektor z branży tekstylnej”, „jak były bokser”, „jak damski fryzjer”, „jak emerytowany wojskowy” i tak dalej. Jeśli pomimo takiego wyglądu ludzie ci wykonują inny zawód, wprawiają nas w zakłopotanie”.

Po prostu nie pasują do naszej wizji świata. Jesteśmy zdania, że wygląd ściśle wyznacza im grę w społecznym kurniku, a ich sposób bycia i mówienia, ich ubiór, ich żargon i gesty, tak nieprzystawalne do naszych oczekiwań, to sztuczne dodatki, erzace, manery imitowane po to, by uchodzić za kogoś, kim się nie jest. I sądzimy, że jeśli ci ludzie nie są tymi, na kogo wyglądają, i nigdy nim nie byli, to albo musieli kiedyś dopuścić się oszustwa, albo fatalnie zaprzepaścić daną im szansę — zależnie od ich wyglądu i zawodu, jaki wykonują. Otoż wygląd Alberta MacTea, wprawdzie szefa Agencji, niemniej funkcjonariusza administracyjnego, urzędnika, głosił donośnie: „Supersierżant kontrwywiadu na chwilę przed krwawą rozprawą z bandą terrorystów”.

„Nie?” — zapytał Eccels. — „Calkiem czysty?”

„Gorzej. LeeSing i jego chłopcy długo diubali w tej sprawie. Cofnęli się aż do dnia, kiedy Elias po raz pierwszy wystąpił publicznie. Rok temu w San Francisco narobił zamieszania podczas koncertu na cele dobroczynne. Wtargnął na scenę i straszny publiczność końcem świata. Dalej trop się urywa. Nie wiadomo, czym ten facet zajmował się wcześniej, skąd przybył, jakie imię przedtem nosił. Nic nie wiadomo. Nasz drogi czarny brat nie ma życiorysu. Nie powinien istnieć”.

„A co przysłały nam agencje stanowe?”

„To samo co my wystaliśmy im: prośbę o wszelkie dane. — MacTea spojrział na kopertę tak, jakby bezczęściła ona jego prywatny ołtarz i chciał ją stamtąd usunąć, ale wolał nie brudzić sobie rąk. — Daje ci tu trzech Murzynów. Pedryla z Monterey, syna pastora z Cors Bay i mechanika ze stacji benzynowej w Eureka. Przejrzyj te dokumenty”.

„I?” „Z tamtych trzech miejscowości do tej sceny na koncercie w ubiegłym roku w San Francisco prowadzą ślady, które może okazać się właściwym tropem. Powiadają: może, chociaż musieliśmy mieć rzeczywiście dużo szczęścia. Nasi chłopcy już tam są i działają”.

„A ja?”

„Chciałbym, żebyś ty, Ced, pojechał do Griffin i obejrzał Eliasa ze wszystkich stron. Przykoleguj się do jakiejś gupy jego wiernych uczniów, zrób kilka rund po barach, pogadaj, ponituchaj i sprawdź, czy nasz drogi czarny brat pasuje do któregoś z tych trzech Murzynów. A za tydzień przyjdź do mnie z raportem”.

„Dziękuję ci, Al. Ta robota to urop”.

MacTea uśmiechnął się znacząco. Rozłączył dłoń i położył je na poręczach fotela, wtulając głowę w jego oparcie. Już nie przypominał urzędnika.

„No, a jak złapiesz coś na boku, to przy ostatnim sztychu pomyśl o mnie z wdzięcznością”.

„Wiesz, co zrobię? To od mojego kumpla MacTea, powiem tej cici. — Z najlepszymi życzeniami”.

Wspominając teraz tę rozmowę Eccels poczuł dreszcz podniecenia. Zdjął rękę z kierownicy, by oderwać ją z potu o sąsiednie siedzenie, i zmniejszył gaz, bo jego wypożyczony Aston-Martin zbliżał się do Fredericksburga w Virginii.

Są ludzie, których wygląd nieodparcie kojarzy nam się z określonym zawodem. Mówimy, że ktoś wygląda „jak barman”, „jak dyrektor z branży tekstylnej”, „jak były bokser” i tak dalej. Otoż wygląd Cedrica Eccelsa — mimo że był on doświadczonym pracownikiem Agencji, detektywem z pierwszej linii, mimo że przed rokiem zastrzelił groźnego przestępcę, mimo że w swojej klubowej przeszłości rozpracowywał radykalne ugrupowanie polityczne i udaremnił dwa zamachy — głosił skromnie, aczkolwiek dobitnie: „Kancelista”.

Eccels miał na tę kwestię wyrobiony pogląd. Telewizja odmówiła sukcesu — wyklarował sobie — i nauczyla nas myślenia slajdami. Slajdy zaważnidy naszym życiem duchowym, zastąpiły nam wyobrażenia i pojęcia. Nasze wymódlone czaszki przeobraziły się w końcówki monstrualnego fotoplastykonu. Wiącamy te końcówki, kiedy próbujemy dawne zdarzenie lub czyjąś twarz przywołać na pamięć. Wiącamy je, kiedy marzymy snując plany na przyszłość w gotowych obrazkach w technikolorze. Wiącamy je także, kiedy jakiś problem trzeba poddać analizie, kiedy jakiś przedmiot, widok, sytuację albo osobę chcemy ocenić. Zestawiamy slajdy, porównujemy je ze sobą, a natrafiamy na właściwe i już wiadomo, że ta dziewczyna, która stoi przy słupku miłowym, z plecakiem między nogami i z ręką mentonnie kiwającą na przejeżdżające samochody, jest instruktorką tańca, ponieważ wygląda jak instruktorka tańca z ostatniego odcinka serialu i jak wszystkie inne instruktorki tańca z innych odcinków innych seriali — chociaż zamiast znoszonych trykotów jej biała opinają znoszone dżinsy. Reżyserzy piecizolowicie przechodzą zapisane na kartkach numery programów i przy obsadzie roli instruktorki tańca wystukują odpowiedni numer, by fotoplastykon dla przypomnienia wyświetlił w ich umysłach-końcówkach potrzebny slajd.

— Weźmy tego chłopaka — powiedział Eccels głośno, do tablicy rozdzielczej. — Zdyscyplinowany studentek, który na wakacyjnej włóczędce rżnie wyzwołanego hippisa.

Zdjął nogę z gazu i wdukił pedał hamulca, co tablica rozdzielcza skwitowała zawiedzionym uśmiechem gasnącym na tarczy predkościomierza, gdzie czerwona krecha skurczyła się w pobliżu zera. Eccels zatrzymał samochód na skraju szosy i przez ramie patrzył, jak chłopak idzie w jego stronę, przyspiesza kroku i wreszcie, uśmiechając się, że ten Aston-Martin czeka na niego, podbiega unosząc pociętny worek marines, artystycznie polatany.

— Jedźcie pan do Richmond? Na południe?

— Do Richmond. Na południe. — Eccels zależnie od ilości i humoru przybierał manieri stosowne do swojego wyglądu bądź charakteru Kreacji „Prostaczek kancelista” zachowywał z reguły tylko na te okazje, kiedy przystępował do akcji wchodząc na oncy teren z zamiarem rozpoznania przeciwnika. Teraz umyślił zademonstrować kreację „Otrząskany gość”, którym był poniekąd. — Wskakuj pan do wozu.

Chłopakowi nie trzeba było tego powtarzać. Zwinnie wśliznął się na przednie siedzenie, pociętny worek umieścił z tyłu.

— Jadę na Florydę — oznajmił. — Z przesiadkami. — Zachichotał cicho. — Paa jest czwarty.

— Czwarty?

— Od Newark. Przedwczoraj rano wyjechałem z Nowego Jorku i dopiero teraz dobraćłem do tej dziury. Przesiadka za przesiadką.

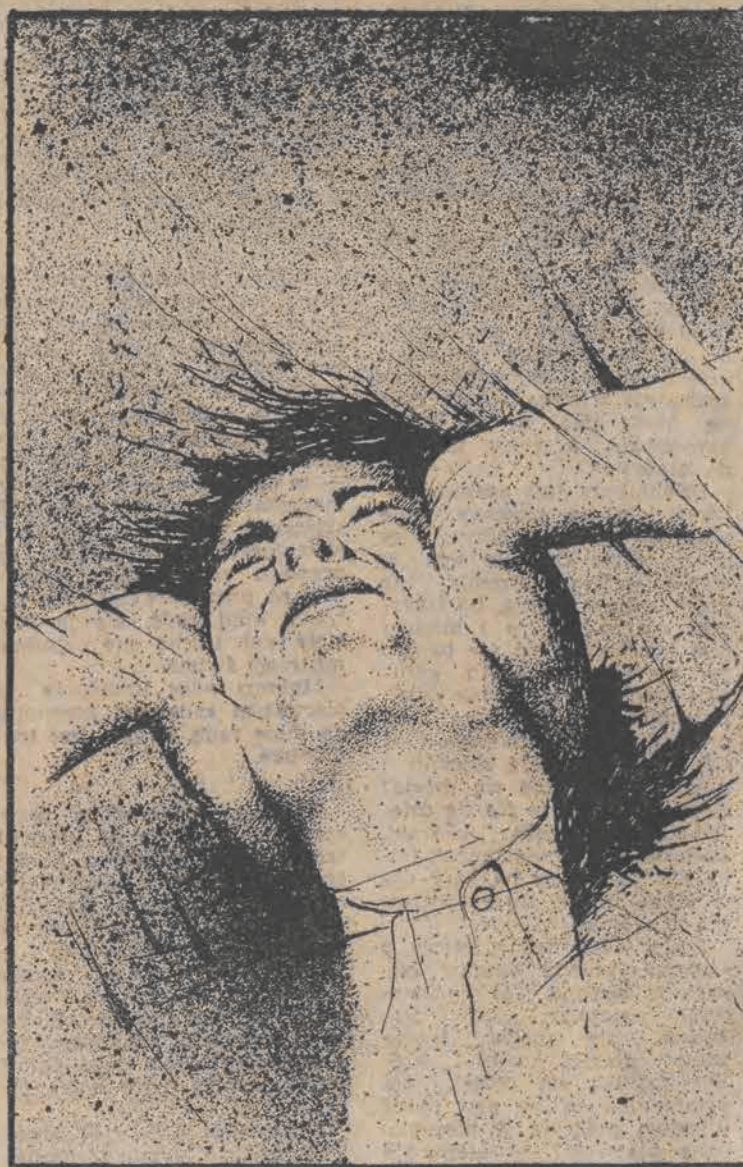
— Taką podróż sprzyja nawiązywaniu nowych znajomości.

— Uch, tak. W Alexandrii wsiadłem do największego Bulcka jaki kiedykolwiek wyprodukowano i kogo widzę za kierownicą? Marvinna Sarroha! Uwierz pan...? — spojrzenie chłopaka zawisło na napisie złożonym z fosforycznych liter wytłoczonych półkolisto na breloku chwytającym się przy kluczyku w stacyjce. — Pan Parkman, tak?

— Parkman to nazwa firmy. Ten samochód jest wypożyczony.

C.D.N.

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia”.



Rys. Janusz Szymański-Glanc